

RAYMOND CHANDLER

ŻEGNAJ, LALECZKO

(Przełożyła Ewa Życieńska)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Była to jedna z tych częściowo, nie całkiem jeszcze murzyńskich przecznic Central Avenue. Właśnie wyszedłem z pewnego trzyfotelowego fryzjerskiego zakładu, w którym według przypuszczeń agencji mógł pracować jako zmiennik fryzjer nazwiskiem Dimitrios Aleidis. Błaha sprawa. Jego żona gotowa była wydać trochę grosza, żeby go mieć z powrotem w domu.

Dzień był ciepły, już prawie koniec marca, stanąłem przed fryzjernią i podniosłem oczy na jaskrawy neon lokalu "U Floriana" z pierwszego piętra. Neonowi przyglądał się jakiś facet. Spoglądał na zakurzone okna w ekstatycznym skupieniu, jak imigrant z Europy, który pierwszy raz ujrzął Statuę Wolności. Był to olbrzymi mężczyzna, mniej więcej sześć stóp i pięć cali wzrostu i gruby jak cysterna na piwo. Stał kilka kroków dalej. Ręce zwiesił beczynnie, pomiędzy olbrzymich paluchów dymiło mu zapomniane cygaro.

Zwinni, cisi Murzyni mijali go w pośpiechu, nie zatrzymując się, obrzucając ukradkowymi spojrzeniami. A było na co spojrzeć. Miał na sobie włochaty kapelusz borsalino, szarą sportową marynarkę z samodziału z białymi golfowymi piłeczkami zamiast guzików, brązową koszulę, żółty krawat, szare flanelowe spodnie w kant i buciki z krokodylej skóry, ozdobione białymi rozpryskami na noskach. Z kieszonki na piersiach kipiała mu chusteczka tego samego jaskrawożółtego koloru co krawat. Za wstążką kapelusza tkwiło kilka farbowanych piór, i to już była przesada. Nawet na Central Avenue, na której tłum wcale nie jest szary, wyglądał mniej więcej tak dyskretnie jak na przykład tarantula na biszkoptowym cieście. Był blade i nie ogolony. Zawsze zresztą wyglądałby na nie ogolonego. Miał kędzierzawe czarne włosy i gęste brwi prawie zrastające się nad grubym nosem, uszy jak na mężczyznę tej postury małe i zgrabne, a oczy błyszczące prawie tak, jakby były zasnuté łzami, co się często zdarza przy szarych oczach. Stał jak posąg, a po dłuższej chwili uśmiechnął się.

Powoli przeszedł przez chodnik w stronę wahadłowych drzwi od schodów na pierwsze piętro. Pchnął je, chłodnym, obojętnym spojrzeniem obrzucił ulicę i wszedł.

Gdyby był mniejszy i dyskretniej ubrany, pomyślałbym, że idzie coś zwędzić. Ale nie w tym ubraniu, nie w takim kapeluszu i nie z taką posturą.

Drzwi odchyliły się z powrotem na zewnątrz i już się prawie przymknęły. Zanim znieruchomiały, znowu gwałtownie odskoczyły na zewnątrz. Coś przeleciało przez chodnik i wylądowało w rynsztoku między dwoma zaparkowanymi wozami. Wylądowało na czworakach, cienko popiskując jak osaczony szczur. Pomału wstało, odnalazło kapelusz i wróciło na chodnik. Był to szczupły brunatno-skóry młodzieniec o wąskich ramionach, w garniturku koloru bzu, z goździkiem w klapie. Włosy miał czarne, przyлизane. Jeszcze przez chwilę nie zamykał ust i skomlał cienko. Przechodnie spoglądali na niego bez zainteresowania. Potem zawadiacko nasadził kapelusz na głowę, przemknął pod ścianę i stawiając na zewnątrz szerokie, płaskie stopy, po cichu odszedł ulicą.

Cisza. Ruch uliczny wrócił do normy. Podeszedłem do tych drzwi i zatrzymałem się. W tej chwili były nieruchome. Wtykałem nos w nie swoje sprawy. Więc pchnąłem drzwi i zajrzałem do środka.

Z półmroku wysunęła się ręka, na której mógłbym usiąść, chwyciła mnie za ramię i zgmiotła je prawie na miazgę. Potem wciągnęła mnie do środka i niedbałym ruchem uniosła na pierwszy schodek. Olbrzymia twarz zajrzała mi w oczy. Głęboki, matowy głos szeptem zapytał:

- Skąd tu mieszańce, koleś? Jak to jest?

Na schodach było ciemno. I cicho. Z góry dobiegały niewyraźne ludzkie głosy, ale tu na dole byliśmy sami. Olbrzym patrzył na mnie z powagą i wciąż miażdżył mi ramię.

- Smoluch - dodał. - Właśnie go wyrzuciłem. Widziałeś?

Puścił moje ramię. Kość chyba nie była złamana, ale ręka mi zdrętwiała.

- To ich lokal - odpowiedziałem rozcierając ramię. - Czego się spodziewałeś?

- Tego nie gadaj, koleś - szepnął olbrzym jak cztery najedzone tygrysy. - Velma tu pracowała. Mała Velma.

Znów sięgnął po moje ramię. Próbowałem się uchylić, ale był szybki jak kot. Stalowe palce znowu się zacisnęły na moich mięśniach.

- Taak - powiedział. - Mała Velma. Osiem lat jej nie widziałem. Więc mówisz, że to knajpa dla smoluchów?

Stęknąłem, że tak.

Podniósł mnie jeszcze dwa stopnie wyżej. Wyrwałem mu się i łokciem próbowałem go odepchnąć. Nie miałem pistoletu. Nie sądziłem, żeby był potrzebny przy szukaniu Dimitriosa Aleidisa. I wątpię, czyby mi się teraz na co zdał. Ten olbrzym na pewno by mi go odebrał i połknął.

- Sam idź na górę i się przekonaj - powiedziałem, starając się stłumić ból w głosie.

Znowu mnie puścił. Spojrzał na mnie ze smutkiem w szarych oczach.

- Nic mi nie jest - oświadczył. - Nie idzie mi o niańkę. Ale skocz ze mną na górę i łyknijmy po jednym.

- Nie podadzą ci. Słyszałeś, że to knajpa dla kolorowych.

- Osiem lat nie widziałem Velmy - powtórzył tym swoim głębokim, smutnym głosem. - Już osiem długich lat, jak jej powiedziałem do widzenia. Od sześciu lat do mnie nie pisze. Ale na pewno się okaże, że coś jej przeszkodziło. Pracowała tu. Miła dziewczyna. To idziemy na górę, co?

- OK! - wrzasnąłem. - Idę z tobą. Ale nie potrzebujesz mnie taszczyć. Daj mi iść. Czuję się dobrze. Jestem dorosły. Sam chodzę siusiu, i w ogóle. Tylko mnie nie taszcz.

- Mała Velma tu pracowała - powiedział miękko. Wcale nie słuchał, co mówię.

Poszliśmy na górę. Pozwolił mi iść o własnych siłach. Ramię mnie bolało. Kark miałem mokry.

ROZDZIAŁ DRUGI

Drugie wahadłowe drzwi oddzielały podest na górze od tego, co znajdowało się w głębi. Olbrzym popchnął je lekko kciukami i weszliśmy na salę. Była długa i wąska, nie za czysta, nie za jasna, dosyć ponura. W rogu, pod kloszem lampy, skupiona przy stole do gry w kości podśpiewywała i rozprawiała grupka Murzynów. Po prawej stronie pod ścianą stał bar. Poza tym urządzenie sali składało się głównie z małych okrągłych stolików, przy których tu i ówdzie siedzieli klienci, mężczyźni i kobiety, wszystko Murzyni.

Śpiew przy stole do gry urwał się nagle i lampa nad nim, gwałtownie szarpnięta, zgasła. W jednej chwili zapadło ciężkie milczenie. Spojrzały na nas oczy, orzechowe oczy w twarzach wszystkich odcieni czerni, od szarego po głęboko czarny. Głowy odwróciły się powoli i te połyskliwe oczy spojrzały w śmiertelnie wrogim milczeniu obcej rasy.

Oparty o bar w głębi stał potężny Murzyn z grubym karkiem, bez marynarki, z różowymi gumkami na rękawach koszuli i różowo-białymi szelkami skrzyżowanymi

na szerokich plecach. Każdy od razu by poznał, że to wykidajło. Powoli opuścił uniesioną dotychczas stopę, powoli odwrócił się i spojrzał na nas, miękko stanął na rozkraczonych nogach i omiółtł wargi szerokim językiem. Twarz miał tak pokiereszowaną, jakby się już zetknął ze wszystkim oprócz pacholka do uwiązywania liny holowniczej. Całą w szramach, spłaszczeniach, zgrubieniach, plamach i pręgach. Była to twarz, która niczego się już nie mogła obawiać. Wszystko, co można by pomyśleć, już się jej przydarzyło.

Krótkie kędzierzawe włosy miał przyprószone siwizną. U jednego ucha brakowało mu dolnego płata małżowiny.

Ten Murzyn był ciężki i rozłożysty. Miał potężne nogi, odrobinę pałakowate, co jest rzadkością u Murzynów. Jeszcze raz przejechał językiem po wargach, uśmiechnął się i ruszył. Podszedł do nas miękko, krokiem skradającego się boksera. Olbrzym czekał na niego w milczeniu.

Murzyn w różowych szelkach położył masywną dłoń na piersi olbrzyma. Choć wielka, jego dłoń wyglądała tam jak spinka. Olbrzym ani drgnął. Wykidajło uśmiechnął się łagodnie.

- Nie dla białych, bracie. Tylko dla kolorowych. Bardzo mi przykro.

Olbrzym oderwał od niego swoje smutne szare oczy i rozejrzał się po sali. Policzki mu się zaróżowiły.

- Knajpa dla smoluchów - powiedział szeptem, zirytowany. Podniósł głos. - Gdzie Velma? - zapytał wykidajkę.

Tamten właściwie się nie roześmiał. Przyjrzał się ubraniu olbrzyma, brązowej koszuli i żółtemu krawatowi, samodziiałowej szarej marynarce i białym golfowym piłeczkom. Pokręcił delikatnie ciężką głową i obejrzał sobie to wszystko jeszcze pod innym kątem. Zerknął w dół na buciki z krokodylej skóry. Cmoknął lekko. Wyglądał na rozbawionego. Pożałowałem go trochę.

- Velma, powiadasz? - zapytał też szeptem. - Nie ma tu żadnej Velmy, bracie. Ani bimbru, ani dziewczynek, ani nic. Tylko ci goście, tylko ci goście.

- Velma kiedyś tu pracowała - powtórzył olbrzym.

Mówił głosem prawie rozmarzonym, jakby był sam jeden gdzieś w lesie i zbierał fiołki. Wydobyłem chusteczkę i jeszcze raz wytarłem sobie kark.

Wykidajło roześmiał się nagle.

- Pewno - powiedział oglądając się do tyłu, na swoją publiczność - Velma kiedyś tu pracowała. Ale już tu Velma nie pracuje. Przeszła na rentę, cha, cha.

- Może być tak sprzątną tę brudną łapę z mojej koszuli - przemówił olbrzym.

Wykidajło ściągnął brwi. Nie był przyzwyczajony, żeby zwracano się do niego w ten sposób. Zabrał rękę z koszuli olbrzyma i zwinął ją w pięść kształtu i koloru mniej więcej dużego bakłażana. Musiał wziąć pod uwagę swoją pracę, opinię twardego chłopca i ludzki szacunek. Poświęcił temu chwilę uwagi i popełnił błąd. Nagłym wyrzutem łokcia, ruchem bardzo silnym i szybkim, wysunął pięść i trafił olbrzyma w szczękę. Przez salę przeleciało leciutkie westchnienie.

Był to dobry cios. Ramię opadło i z zamachu poszło za nim całe ciało. Cios miał w sobie wielką siłę, a człowiek, który go wymierzył, sporą praktykę. Olbrzym nie cofnął głowy dalej jak o cal. Nie spróbował odparować ciosu. Zainkasował go, otrząsnął się z lekka, wydał z głębi krtani cichy dźwięk i chwycił wykidajkę za gardło.

Wykidajło chciał go kopnąć kolaniem między nogi. Olbrzym odwrócił go w powietrzu i rozstawił szerzej jaskrawo obute stopy na łuszczącym się linoleum, jakim pokryta była podłoga. Zgiął wykidajkę wpół i sięgnął prawą ręką do jego paska. Pasek prysnął jak sznurek do pakowania. Olbrzym położył monstrualną dłoń płasko na kręgosłupie wykidajki i nacisnął. Wykidajło poleciał przez całą długość sali, okręcając się, potykając i wywijając rękami. Trzech Murzynów uskoczyło mu z drogi. Wreszcie runął razem z jakimś stolikiem i wyrznął w boazerię nad podłogą z hukiem, który musiano usłyszeć w Denver. Nogi mu drgnęły i leżał bez ruchu.

- Niektórzy - powiedział olbrzym - stawiają się nie wtedy, kiedy trzeba. - Odwrócił się do mnie. - Taak - dodał. - To łknijmy po jednym.

Podeszliśmy do baru. Klienci, pojedynczo, po dwóch, trzech, przemienieni w bezszelestne cienie przemykali przez salę i bezszelestnie znikali za drzwiami u szczytu schodów. Bezszelestnie jak cienie na trawie. Nawet drzwi się za nimi nie kołysały.

Oparliśmy się o bar:

- Whisky z cytryną - powiedział olbrzym. - Mów, co ty.

- Whisky z cytryną - zamówiłem.

Dostaliśmy po whisky z cytryną.

Olbrzym obojętnie kołysał alkoholem w grubej niskiej szklaneczce. Spojrzał z powagą na barmana, chudego i steranego Murzyna w białej kurtce, który poruszał się, jakby go piekły stopy.

- Ty wiesz, gdzie jest Velma?

- Velma, mówi pan? - zaskomlał barman. - Nie widziałem jej tu ostatnio. Nie. W tych dniach nie, psze pana.

- Jak długo tu pracujesz?

- Zaraz... - Barman odłożył ściereczkę, zmarszczył czoło i zaczął obliczać na palcach. - Blisko dziesięć miesięcy chyba. Blisko rok... Bli...

- Zdecyduj się - przerwał mu olbrzym.

Barman zakrztusił się i jabłko Adama zatrzepotało mu na szyi jak kurczak bez głowy.

- Od kiedy ta knajpa jest dla kolorowych? - zapytał obcesowo olbrzym.

- Że co?

Olbrzym zacisnął pięść, w której szklaneczka z whisky niemal znikła.

- Już z pięć lat - powiedziałem. - Ten tutaj nic nie będzie wiedział o białej dziewczynie imieniem Velma. Nikt tu nie będzie wiedział.

Olbrzym spojrzał na mnie, jakbym w tej chwili wyklął się z jajka. Nie wyglądało na to, żeby mu whisky z cytryną poprawiała humor.

- Kto cię, u diabła, prosi, żebyś się wtrącał? - zapytał.

Uśmiechnąłem się. Starąłem się, żeby to wypadło przyjacielsko.

- Zapomniałeś? Ja tu jestem z tobą.

I on się wtedy uśmiechnął, płasko, blado i bez wyrazu.

- Whisky z cytryną - zwrócił się do barmana. - Wyrząśnij pchły z gaci. Obsługa.

Barman zakrzętnął się biegiem, przewracając białkami oczu. Oparłem się plecami o bar i rozejrzałem po sali. Nie było w niej już nikogo oprócz olbrzyma, mnie, barmana i wykidajły roztrzaskanego o ścianę. Wykidajło poruszał się. Poruszał się powoli, jakby z wielkim i bolesnym wysiłkiem. Powoli poczołgał się wzdłuż boazerii jak mucha z jednym skrzydełkiem. Mozolnie czołgał się za stolikami, nagle stary i rozczarowany. Patrzyłem, jak się posuwa. Barman postawił dwie nowe whisky z cytryną. Odwróciłem się do baru. Olbrzym raz, niedbale, obejrzał się na pełznącego wykidajłę i już nie zwracał na niego uwagi.

- Nic nie zostało z tej knajpy - poskarżył się. - Kiedyś była scenka i orkiestra, i wygodne pokoiki, gdzie się człowiek mógł zabawić. Velma trochę śpiewała. Ruda

była. Szykowna jak koronkowe majteczki. Mieliśmy się właśnie pobrać, kiedy mnie zapudłowali.

Wypiłem drugą whisky. Zaczynałem mieć dosyć tej przygody.

- Gdzie cię zapudłowali? - spytałem.

- A jak myślisz, gdzie byłem przez te osiem lat, co to mówiłem?

- Łapałeś motylki.

Stuknął się w pierś palcem jak banan.

- W kiciu. Nazwisko Malloy. Mówią na mnie Myszka Malloy, to przez to, że jestem duży. Skok na bank przy Great Bend. Czterdzieści kawałków. Sam jeden. Może to nic?

- Chcesz teraz pohulać za tę forszę?

Spojrzał na mnie bystro. Za nami coś stuknęło. Wykidajło podniósł się na nogi i trochę się chwiał. Rękę położył na kłamce w drzwiach za stołem do gry w kości. Otworzył drzwi i prawie wpadł za nie. Zamknęły się z trzaskiem. Szczęknął zamek.

- Dokąd te drzwi? - zapytał Myszka Malloy.

Barmanowi oczy się rozpląnęły i z trudem zogniskował spojrzenie na drzwiach, za które wpadł wykidajło.

- To... to do gabinetu pana Montgomery, pszepana. To szef. Ma tam od tyłu gabinet.

- Ten mógłby wiedzieć - powiedział olbrzym. Wypił swoją whisky jednym łykiem. - I lepiej niech nie będzie za dowcipny. Dwa razy to samo.

Powoli przeszedł przez salę, kocim krokiem, zamyślony. Monstrualne plecy uderzyły o drzwi. Były zamknięte. Potrząsnął nimi i odpadł kawałek framugi. Wszedł i zamknął drzwi za sobą.

Cisza. Spojrzałem na barmana. Barman spojrzał na mnie. W oczach zatliła mu się jakaś myśl. Wytarł kontuar, westchnął i sięgnął w dół prawą ręką.

Sięgnąłem przez bar i chwyciłem go za tę rękę. Była cienka, krucha. Trzymając, uśmiechnąłem się do niego.

- Co tam masz, bracie?

Oblizwał wargi. Oparł się o moją rękę i nic nie mówił. Szarość zalala jego twarz.

- Ten facet jest ostry - powiedziałem. - I jak nic może się rozgniewać. Alkohol tak na niego wpływa. Szuka znajomej dziewczyny. Ta knajpa była kiedyś lokalem dla białych. Kapujesz?

Barman oblizał wargi.

- Dawno go tu nie było - dodałem. - Osiem lat. On sobie chyba nie zdaje sprawy, jaki to kawał czasu, choć według mnie można by myśleć, że to dożywocie. Myśli, że wy, tutaj, powinniście wiedzieć, gdzie jest ta dziewczyna. Kapujesz?

- Zdawało mi się, że pan jest z nim - powiedział powoli barman.

- Nic nie mogłem poradzić. Zapytał mnie o coś tam na dole, a potem siłą mnie tu zaciągnął. Na oczy go przedtem nie widziałem. Ale nie lubię, jak mnie ktoś rozstawia po kątach. Co tam masz?

- Mam obrzyna.

- Tsss - szepnąłem. - Prawo zabrania. Słuchaj, ty i ja działamy razem. Masz coś jeszcze?

- Mam jeszcze kopyto - powiedział barman. - W skrzynce na cygara. Puść pan rękę.

- Dobra. I odsuń się trochę. Spokojnie. Nie czas teraz wyciągać artylerię.

- Mówisz pan... - wykrzywił się barman, ciężko opierając zmęczone ciało o moje ramię. - Mówisz...

Urwał. Wywrócił oczy. Drgnął, aż mu głowa podskoczyła.

Z głębi, spoza zamkniętych drzwi za stołem do gry w kości, doleciał głuchy, płaski dźwięk. Mogło to być trzaśnięcie drzwi. Ale nie sądziłem, żeby było. I barmanowi też nie to przyszło na myśl.

Barman zastygł. Z ust pociekła mu ślina. Nasłuchiwałem. Poza tym cisza. Szybko ruszyłem do rogu baru, ale nasłuchiwałem za długo.

Drzwi w głębi otworzyły się, ciężko, miękko wyskoczył zza nich Myszka Malloy i zatrzymał się jak wrośnięty w podłogę z szerokim, bladym uśmiechem na twarzy.

Wojskowy colt 45 wyglądał jak zabawka w jego dłoni.

- Niech sobie nikt nie wyobraża, że jest cwany - powiedział przymilnie. - Łapy na bar i nie ruszać się.

Barman i ja położyliśmy ręce na barze.

Myszka Malloy omiół salę uważnym spojrzeniem. Uśmiech na twarzy miał jak przyklejony. Przesunął stopy i ruszył przez salę. Wyglądał na człowieka, który potrafi sam jeden załatwić bank nawet w takim ubraniu. Podeszedł do baru.

- Do góry, czarny - powiedział cicho. Barman podniósł ręce wysoko w górę. Olbrzym podeszedł do mnie od tyłu i dokładnie obmacał mnie lewą ręką. Czułem jego gorący oddech na szyi. Odsunął się.

- Pan Montgomery też nie wiedział, gdzie jest Velma - oświadczył. - Chciał mi dawać wskazówki o, tym. - Twardą dłonią poklepał pistolet. Odwróciłem się powoli i spojrzałem na niego. - Taak - dodał. - Zapamiętasz mnie. Nie zapomnisz mnie, chłopie. Powiedz tylko tamtym, żeby uważali. - Pomachał pistoletem. - No, to cześć, szczeniaki. Spieszę się na tramwaj.

Ruszył do wyjścia na schody.

- Nie zapłaciłeś za whisky - powiedziałem.

Zatrzymał się i dokładnie mi się przyjrzał.

- Może coś tam masz - stwierdził. - Ale nie będę zanadto cię przyciskał.

Ruszył z powrotem do drzwi, prześliznął się przez nie i jego kroki oddaliły się dudniąc po schodach.

Barman pochylił się. Skoczyłem za bar i odepchnąłem go na bok. Pistolet z odpiłowaną lufą leżał pod ścierką na półce za barem. Obok stało pudło na cygara. W pudle był automatyczny 38. Zabrałem je obydwa. Barman przywarł plecami do półek ze szklaneczkami.

Przeszedłem przez salę do otwartych drzwi za stołem do gry w kości. Za nimi znajdował się korytarz w kształcie litery L, prawie ciemny. Na podłodze leżał wikidajło, rozciągnięty jak długi i nieprzytomny, z nożem w ręku. Pochyliłem się i wyjąłem mu nóż. Wyrzuciłem ten nóż tylnymi schodami. Wikidajło oddychał chrapliwie i rękę miał bezwładną.

Przeszedłem przez niego i otworzyłem drzwi z napisem "Biuro", wykonanym łuszczącą się czarną farbą.

Tuż pod oknem, częściowo przysłoniętym od dołu dyktą, stało małe porysowane biurko. Na krześle widać było wyprostowany korpus mężczyzny. Krzesło miało wysokie oparcie sięgające do nasady szyi siedzącego. Głowa wisiała mu do tyłu, za oparcie krzesła, nos sterczał w przysłoniętym oknie. Właśnie wisiała, jak chusteczka albo zawias.

Szuflada w biurku, po prawej stronie siedzącego, była wysunięta. Wewnątrz leżała gazeta z plamą oliwy. Tu musiał być pistolet. Kiedyś musiało się to wydawać dobrym pomysłem, ale pozycja, w jakiej znajdowała się głowa pana Montgomery, dowodziła, że ten pomysł się nie sprawdził.

Na biurku stał telefon. Położyłem pistolet z odpiłowaną lufą i cofnąłem się, żeby zamknąć drzwi, zanim wezwałem policję. W ten sposób czułem się bezpieczniejszy, a zdaje się, że panu Montgomery to nie przeszkadzało.

Zanim kroki chłopców z wozu patrolowego zadudniły po schodach, wikidajło i barman zniknęli i pozostałem sam na placu boju.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sprawę dostał niejaki Nulty, facet o spiczastym podbródku, zgorzkniałej gębie i długich, żółtych dłoniach, które prawie przez cały czas, kiedy rozmawiał ze mną, trzymał splecione na kolanach. Był to porucznik wydziału śledczego Rejonu Ulicy Siedemdziesiątej Siódmej i rozmawialiśmy w pustym pokoju, w którym naprzeciwko siebie pod ścianami stały dwa biurka zostawiając między sobą tyle miejsca, żeby można się było poruszać, o ile nie spróbowałyby tego dwie osoby naraz. Podłogę pokrywało brudne brunatne linoleum, a w powietrzu wisiał odór starych niedopałków od cygar. Nulty miał wystrzępioną koszulę, a mankiety marynarki podwinięte do środka. Choć wyglądał wystarczająco biednie, aby być uczciwym, nie robił wrażenia człowieka, który mógłby się zmierzyć z Myszką Malloyem.

Zapalił połówkę cygara i rzucił zapalną na podłogę, gdzie już na nią czekało liczne towarzystwo innych. W jego głosie zabrzmiała gorycz.

- Smoluchy. Jeszcze jedno murzyńskie zabójstwo. Oto, na co sobie zasłużyłem po czterdziestu latach twardej harówki w tym wydziale. Ani zdjęć, ani miejsca choćby na cztery linijki w rubryce drobnych ogłoszeń.

Nic nie mówiłem. Podniósł moją wizytówkę, przeczytał ją po raz drugi i rzucił na biurko.

- Filip Marlowe. Detektyw prywatny. Jeden z takich, co? Cholera, wygląda pan krzepko. Co pan robił przez cały ten czas?

- Przez jaki czas?

- Przez cały ten czas, kiedy Malloy skręcał kark temu czarnemu?

- O, to się odbyło w drugim pokoju. Malloy mi nie zapowiadał, że ma zamiar skręcić komuś kark.

- Bujać to my - zauważył Nulty z goryczą. - OK, niech pan buja dalej. Każdy to robi. O kogo tu się martwić? Poczciwy stary Nulty. Dalej, pożartujemy z niego. Z Nulty'ego zawsze się można pośmiać.

- Nie próbuję nikogo bujać. Tak to właśnie było, w innym pokoju.

- Och, oczywiście - powiedział Nulty przez wachlarz kwaśnego cygarowego dymu. - Przecież byłem tam i widziałem. Nie miał pan spluwy?

- Nie przy pracy tego rodzaju.

- Jakiego rodzaju?

- Szukałem fryzjera, który uciekł od żony. Myślała, że da się namówić na powrót do domu.

- Chce pan powiedzieć, jakiś smoluch?

- Nie, Grek.

- OK - powiedział Nulty i splunął do kosza na śmieci. - OK. I spotkał pan tego wielkiego, jak?

- Już panu mówiłem. Znalazłem się tam przypadkiem. Wyrzucił jakiegoś czarnego za drzwi "U Floriana", a ja byłem na tyle głupi, że zajrzałem zobaczyć, co się dzieje. I zabrał mnie na górę.

- Chce pan powiedzieć, że zaprowadził pana na muszce?

- Nie, wtedy nie miał pistoletu. Przynajmniej nie widać było, żeby miał. Przypuszczalnie wziął pistolet od Montgomery'ego. Mnie po prostu zabrał na górę. Zdarza mi się, że jestem taki zgodny.

- Nigdy bym nie przypuszczał - powiedział Nulty. - Wygląda na to, że łatwo pana poderwać.

- Dobra - odpowiedziałem. - O co się sprzeczamy? Ja widziałem tego faceta, pan nie. Mógłby pana albo mnie nosić jak breloczek u zegarka. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że kogoś zabił, jak wyszedł. Słyszałem strzał, ale myślałem, że to któryś z nich się spietrał i strzelił do Malloya, a potem Malloy odebrał mu pukawkę.

- Dlaczego miał pan tak pomyśleć? - zapytał Nulty niemal uprzejmie. - Kiedy załatwiał tamten bank, używał pukawki, no nie?

- Niech pan weźmie pod uwagę, jak był ubrany. Nie przyszedł nikogo zabijać, nie zrobiłby tego tak ubrany. Przyszedł szukać dziewczyny imieniem Velma, która była

jego dziewczyną, zanim go przymknęli za ten skok na bank. Pracowała "U Floriana" czy jak to się tam wtedy nazywało, kiedy to była knajpa dla białych. Tam go przyskrzynili. Łatwo go złapać.

- Jasne - powiedział Nulty. - Nic trudnego przy takiej tuszy i w takim ubraniu.

- Może mieć inny garnitur - zauważyłem. - A także wóz i melinę, i przyjaciół, i forszę. Ale złapie go pan.

Nulty znowu splunął do kosza na śmieci.

- Złapię go - powiedział - mniej więcej wtedy, jak zjem już dwie pary sztucznych szczęk i dojrzeję do trzeciej. Ilu ludzi mi przydzielili do tego? Jednego. Wie pan dlaczego? Posłuchaj pan. Niewarte zachodu. Kiedyś na Wschodniej Osiemdziesiątej Czwartej pięciu smoluchów urządziło sobie łaźnię. Prawdziwy zachód słońca w Harlemie. Jeden już był zimny. Na gratach krew, na ścianach krew, nawet na suficie pełno krwi. Przyjeżdżam, a z ganku już schodzi facet z "Chronicle" i wsiada do wozu. Wykrzywia się do nas i powiada: "Diabli nadali, to tylko smoluchy". Włazł do tej swojej landary, i tyleś go widział. Nawet nie wszedł do środka.

- Może był wypuszczony warunkowo - wtrąciłem. - Będzie panu łatwiej, jeśli tak. Ale trzeba go gładko przymknąć, bo gotów unieszkodliwić cały patrol. Wtedy miejsce w gazetach się znajdzie.

- I sprawę wtedy dostanie kto inny - zakpił Nulty.

Zadzwoił telefon na jego biurku. Wysłuchał i uśmiechnął się żałośnie. Położył słuchawkę, nagryzmolił coś w notesie i w oczach pojawił mu się daleki błysk jak światełko na końcu zakurzonego korytarza.

- Cholera, już go mają. Dzwonili z kartoteki. Mają już odciski palców, gębę i co tam jeszcze. No, to też jest coś. - Zajrzał do notesu. - To rzeczywiście kawał chłopca. Sześć stóp, pięć cali i pół, dwieście sześćdziesiąt cztery funty bez krawata. To ci chłop, cholera. No, do diabła z nim. Już go dali na radio. Pewno na końcu listy wozów poszukiwanych. Zostaje tylko czekać.

Wyrzucił cygaro do spluwaczki.

- Niech pan spróbuje rozejrzeć się za tą dziewczyną - podsunąłem. - Za Velmą. Malloy będzie jej szukał. Od tego się wszystko zaczęło. Niech pan spróbuje tę Velmę.

- Sam niech pan spróbuje - powiedział Nulty. - Ja nie byłem w burdelu już dwadzieścia lat.

Wstałem.

- OK - powiedziałem i ruszyłem do drzwi.

- Hej, zaczekaj pan minutkę! - zawołał. - Żartowałem tylko. Nie ma pan za wiele pracy, co?

Kręciłem papierosem w palcach i patrzyłem na niego czekając przy drzwiach.

- Chciałem powiedzieć, że pan ma czas, żeby się trochę rozejrzeć za tą lałą. To niezły pomysł. Może pan na coś trafić. Może pan się dokładnie rozejrzeć.

- Co będę z tego miał?

Nulty rozłożył ze smutkiem swoje żółte dłonie. Jego uśmiech wyglądał tak samo podstępnie jak zepsuta pułapka na myszy.

- Kiedyś już pan miał z nami kłopoty. Niech pan nie zaprzecza, wiem, że tak. Na drugi raz nic panu nie zaszkodzi mieć kumpla.

- Co mi to da?

- Posłuchaj pan - nalegał Nulty. - Nie jestem tu nikim ważnym. Ale zawsze się panu przyda mieć kogoś w wydziale.

- Czy to wszystko na piękne oczy, czy część płaci pan gotówką?

- Nic gotówką - przyznał Nulty i zmarszczył smutny żółty nos. - Ale bardzo mi trzeba trochę kredytu. Od ostatniej czystki zrobiło się ze mną krucho. Nie zapomnę ci tego, chłopie. Nigdy.

Spojrzałem na zegarek.

- Niech będzie. Jak coś wymyślę, odstąpię ci. A kiedy dostaniesz zdjęcie tej gęby, możesz liczyć na to, że ci ją zidentyfikuję. Po lunchu.

Podaliśmy sobie ręce, a potem przez korytarz koloru gliny i przez schody wydostałem się na ulicę do swojego wozu.

Minęło dwie godziny, odkąd Myszka Malloy opuścił lokal "U Floriana" z wojskowym pistoletem w ręku. Zjadłem lunch w drugistorze, kupiłem ćwiartkę whisky, pojechałem na wschód od Central Avenue i skręciłem w nią od północy. Myśl, jaka mi zaświtała w głowie, była tak samo nieuchwytna jak upał drgający falami nad chodnikiem.

Kierowałem się tylko ciekawością. Ale mówiąc szczerze od miesiąca nie miałem pracy. Nawet darmowe zajęcia było już jakąś odmianą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

“U Floriana” było oczywiście zamknięte. Jakiś absolutnie niewątpliwy tajniak siedział przed lokalem w samochodzie i czytał gazetę jednym okiem. Nie miałem pojęcia, po co zadawali sobie tyle trudu. Nikt tu nic nie wiedział o Myszce Malloyu. Ani wikidajły, ani barmana nie znaleziono. Na całej ulicy nikt o nich nic nie wiedział, a w każdym razie nie pisał ani słowa.

Zwolniłem, wyprzedziłem tajniaka, zaparkowałem za rogiem i siedząc jeszcze w samochodzie przyjrzałem się murzyńskiemu hotelikowi na skos od lokalu “U Floriana” i za najbliższą poprzeczną uliczką. Nazywał się ten hotel “Sans Souci”. Wysiadłem, wróciłem poprzeczną uliczką i wszedłem do hotelu. W hallu pod ścianami stały naprzeciw siebie dwa rzędy twardych krzesel, a między nimi leżał wąski chodniczek z fibry piaskowego koloru. Kontuar stał w głębi, w półmroku, a za nim siedział łysy mężczyzna. Oczy miał zamknięte, pulchne brunatne dłonie splótł na kontuarze przed sobą. Drzemał albo udawał, że drzemie. Na szyi miał krawat z Ascot, który, z wyglądu sądząc, mógł być zawiązany około roku 1880. Zielony kamień w spince przy krawacie nie dorównywał wielkością jabłku. Na krawacie osiadł mu miękkimi fałdami wielki obwisły podbródek, splecione dłonie były spokojne i czyste, paznokcie wypielęgnowane, sine, z szarymi półksiężycami.

Tłoczony napis na metalowej tabliczce u jego łokcia głosił: “Ten hotel podlega Zrzeszeniu Agencji Międzynarodowych”.

Kiedy spokojny brunatny jegomość z namysłem otworzył jedno oko, wskazałem na tabliczkę.

- Jestem z DOH. Mieliście jakie kłopoty?

DOH to Departament Ochrony Hoteli, czyli wydział agencji zajmującej się na szeroką skalę fałszerzami czeków i gośćmi, którzy się wynoszą po cichu schodami dla służby, zostawiając nie zapłacone rachunki i zniszczone walizki obciążone cegłami.

- Braciszku - powiedział recepcjonista wysokim nosowym głosem - z kłopotów właśnie się wykaraskaliśmy. - Zniżył głos o kilka rejestrów i dodał: - Jak się nazywasz? Powtórz no.

- Marlowe. Filip Marlowe...

- Piękne nazwisko, braciszku. Jasne i proste. Wyglądasz dziś całkiem dobrze. - Znow zniżył głos. - Ale nie jesteś wcale z DOH. Lata całe nikogo od nich nie widziałem. - Rozplótł ręce i flegmatycznie wskazał na tabliczkę. - Dostałem ją z drugiej ręki, bracie, robi dobre wrażenie.

- OK - powiedziałem. Oparłem się o kontuar i zakręciłem półdolarówką bączka po nagim porysowanym blacie. - Słyszałeś, co się stało dzisiaj rano “U Floriana” naprzeciwko?

- Braciszku, nie pamiętam.

Otworzył już i drugie oko i przyglądał się, jak na wirującej półdolarówce migoce światło.

- Stuknęli im szefa - powiedziałem. - Niejakiego Montgomery'ego. Ktoś mu przetrącił kark.

- Niech mu ziemia lekką będzie, braciszku. - Znowu zniżył głos. - Glina? - zapytał.

- Prywatny... w zaufaniu... A ja już wiem, komu można zaufać, niech tylko na człowieka spojrzę.

Przyjrzał mi się, zamknął oczy i pomyślał. Otworzył je ostrożnie i popatrzył na wirującą półdolarówkę. Nie mógł się temu oprzeć.

- Kto to zrobił? - zapytał szeptem. - Kto załatwił Sama?

- Jakiś raptus prosto z mamra wściekł się, że to nie lokal dla białych. Zdaje się, że kiedyś był dla białych. Może pamiętasz?

Nic nie odpowiedział. Moneta upadła z lekkim dźwięcznym brzękiem i znieruchomiła.

- Co wolisz - ciągnąłem. - Mogę ci przeczytać rozdział z Biblii albo postawić jednego. Wybieraj.

- Braciszku, Biblię to chyba wolałbym czytać w rodzinnym zaciszu.

Oczy miał żabie, bystre, nieruchome.

- Może właśnie jesteś po lunchu.

- Lunch to jest coś takiego, bez czego człowiek mojego stanu i usposobienia się obywa. - Ściszył głos. - Wejdz za kontuar.

Przeszedłem za kontuar, wydobyłem z kieszeni płaską butelkę firmowego bourbona i postawiłem ją na półce. Wróciłem przed kontuar. Pochylił się i obejrzał butelkę. Chyba był zadowolony.

- Braciszku, nic ode mnie za to nie kupisz - powiedział. - Ale miło mi będzie pociągnąć łyczek w twoim towarzystwie.

Otworzył butelkę, wystawił na kontuar dwa małe kieliszki i po cichu nalał do pełna. Podniósł jeden, starannie go obwąchał i wlał sobie do gardła unosząc w górę mały palec.

Posmakował, pomyślał, skinął głową i powiedział:

- Leci z tej butelki to, co trzeba, braciszku. Czym mogę panu służyć? Nie ma tu szpary w chodniku, której bym nie znał po imieniu. Tak jest, ten napój stał, gdzie należy.

Nalał sobie drugiego.

Opowiedziałem mu, co się stało "U Floriana" i dlaczego. Popatrzył na mnie uroczyście i potrząsnął łysą głową.

- Nie można powiedzieć, lokal Sama też przyzwoity i spokojny - stwierdził. - Już miesiąc, jak tam nikogo nie zakłuli.

- Jak się to wtedy nazywało, kiedy sześć czy osiem lat temu "U Floriana" było knajpą dla białych?

- Taki neon, braciszku, to droga rzecz.

Skinąłem głową.

- Tak też myślałem, nazywał się tak samo. Malloy by pewnie coś wspomniał, gdyby zmienili nazwę. Ale kto by prowadził?

- Dziwię ci się trochę, braciszku. Ten biedny grzesznik nazywał się Florian. Mike Florian.

- I co się stało z Mike'em Florianem?

Murzyn rozłożył miękkie brunatne dłonie. Przemówił głosem głębokim i smutnym:

- Nie żyje, bracie. Bóg go powołał do siebie. W trzydziestym czwartym, może w trzydziestym piątym. Tego dokładnie nie wiem. Zmarnowane życie, braciszku, słyszałem, jakoby zrujnował sobie nerki alkoholem. Grzeszni ludziska padają jak rzeźne bydłeta, ale tam w górze czeka ich miłosierdzie. - Głos opadł mu do rzeczowego tonu: - Cholera wie, co to było.

- Kto po nim został? Nalej sobie jeszcze.

Zakręcił mocno butelkę i pchnął ją przez kontuar.

- Dwa to dosyć, bracie... przed wieczorem. Dziękuję ci. Przy tobie człowiek czuje się człowiekiem... Została wdowa. Jessie.

- A co z nią?

- Szukasz wiedzy, bracie, pytaj wiele. Nie słyszałem. Poszukaj w książce telefonicznej.

W ciemnym kącie hallu była kabina z telefonem. Wszedłem do niej przymykając drzwi na tyle, żeby zapaliło się światło. Poszukałem tego nazwiska w uczeponiej na łańcuszku postrzępionej książce. Ani jednego Floriana. Wróciłem przed kontuar.

- Nic z tego - powiedziałem.

Murzyn pochylił się niechętnie, dźwignął na biurko miejską książkę adresową i posunął ją w moją stronę. Zamknął oczy, zaczynał się nużyć. Tu znalazłem Jessie Florian, wdowę. Mieszkała przy Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy Zachodniej, numer 1644. Zastanowiłem się, czego też mogłem przez wszystkie te lata używać zamiast oleju w głowie.

Zapisałem sobie adres na kartce i pchnąłem książkę z powrotem przez kontuar. Murzyn położył ją na miejsce, podał mi rękę i splótł obie dłonie na kontuarze dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy wszedłem. Powieki powoli mu opadły i wydawało się, że usnął.

Dla niego sprawa była skończona. W połowie drogi do drzwi jeszcze się obejrzałem. Oczy miał zamknięte, oddychał spokojnie i regularnie, pod koniec każdego wydechu wydając wargami krótkie pyknięcie. Łysina mu połyskiwała.

Opuściłem hotel "Sans Souci" i uliczką wróciłem do wozu. Wszystko zapowiadało się bardzo łatwo. Za łatwo.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Posiadłość numer 1644 przy Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy Zachodniej okazała się wyblakłym brunatnym domem z wyblakłym brunatnym trawnikiem od frontu. Wokoło pnia nieśmiertelnej na pozór palmy łysiał nagi placek ziemi. Na ganku stał samotny drewniany fotel na biegunach, a wieczorny wietrzyk trzepał nie przyciętymi pędami zeszlorocznych poinsecji o popękany mur. Za domem na zardzewiałym drucie kołysał się skrzypiąc rząd sztywnych, nie dopranych sztuk bielizny. Odjechałem jeszcze kawałek, zaparkowałem wóz po drugiej stronie ulicy i wróciłem pieszo. Dzwonek nie działał, zapukałem więc w drewnianą ramę siatki w drzwiach. Zaszurały powolne kroki, drzwi się otworzyły i w półmroku pojawiła się przede mną, wycierając nos, rozczochrana kobieta. Twarz miała szarą i napuchniętą. Zwisające strakami włosy były owego niezdecydowanego koloru ni to brązowego, ni blond, za martwe, żeby zachować żółty odcień, i za brudne, żeby mogły być siwe. Tęgie ciało okrywał bezkształtny flanelowy szlafrok, od wielu miesięcy pozbawiony już koloru czy deseni. Tyle, że ją okrywał. Z męskich, brązowych, rozdeptanych pantofli w sposób nie dający się ukryć wyłaziły ogromne paluchy.

- Pani Florian? - zapytałem. - Pani Jessie Florian?

- U-hum - jej głos wywłókł się z krtani jak chory, który z trudem wstaje z łóżka.

- Czy mówię z żoną pana Floriana, który prowadził kiedyś lokal rozrywkowy na Central Avenue? Mike'a Floriana?

Kciukiem odsunęła za olbrzymie ucho kosmyk włosów. W jej oczach zabłysło zdziwienie. Grubym, zaflegmionym głosem odpowiedziała:

- Co... co? To ci dopiero. Z pięć lat już, jak Mike nie żyje.. Jak pan powiada? Kto pan jest?

Przez cały ten czas siatka w drzwiach zamknięta była na haczyk.

- Jestem detektywem. Chciałbym zadać pani kilka pytań.

Przyglądała mi się złowieszczo całą minutę. Następnie z wysiłkiem otworzyła siatkę z haczyka i usunęła się na bok.

- To niech pan wejdzie. Nie zdążyłam jeszcze sprzątnąć - powiedziała utyskliwie. - Glina, co?

Wszedłem do środka i zamknąłem za sobą siatkę na haczyk. Na lewo w rogu pokoju mrucało cicho wielkie, porządne, meblowe radio. Był to tu jedyny przyzwoity mebel. Wyglądało na nowiutkie. Poza nim same rupiecie - brudne, za grubo wyściełane graty, fotel na biegunach, do pary z tamtym na ganku. Prostokątne przejście prowadziło do pokoju stołowego z poplamionym stołem, a wahadłowe drzwi całe poznaczone śladami palców - do kuchni. Stały dwie sfatygowane lampy z jaskrawymi niegdyś abażurami, które dziś wyglądały tak wesoło jak wiekowe prostytutki.

Kobieta usiadła w fotelu na biegunach, klapnęła rannymi pantoflami i spojrzała na mnie. Ja przyjrzałem się radiu i usiadłem na jednej z kanapek. Zauważyła, że przyglądam się odbiornikowi. Fałszywa czułość, cienka jak chińska herbata, pojawiła się na jej twarzy i w głosie.

- To całe moje towarzystwo - powiedziała. Potem zachichotała. - Mike chyba nic nowego nie przeskrobał? Nieczęsto gliny mnie odwiedzają.

W jej chichocie wyczuwało się pijacką rozwlekłość. Oparłem się o coś twardego, sięgnąłem ręką i wydobylem pustą butelkę po dżinie. Kobieta zachichotała znowu.

- Żartowałam - wyjaśniła. - Ale niech mu Pan Bóg da pod dostatkiem tanich blondyn tam, gdzie teraz jest. Tutaj mu ich nigdy nie było dosyć.

- Myślałem raczej o rudej - powiedziałem.

- Może i od rudych nie stronił. - Jej oczy, jak mi się wydało, nie były już takie bez wyrazu. - Nie przypominam sobie. Jakaś ruda w szczególności?

- Tak. Na imię miała Velma. Nie wiem, jakiego używała nazwiska, tyle że na pewno nie prawdziwego. Szukam jej z upoważnienia jej rodziny. Dawny lokal państwa to teraz knajpa dla Murzynów, choć nie zmienili nazwy, i nikt tam w ogóle o niej nie słyszał. Pomyślałem więc, że może pani.

- Ci krewniacy długo się namyślali, zanim jej zaczęli szukać - zauważyła znacząco kobieta.

- Idzie o jakąś małą sumkę. Niewielką. Zdaje się, że Velma im jest potrzebna, żeby się mogli dorwać do tej forsy. Pieniądze zaostrzają pamięć.

- Tak samo napitek - wtrąciła. - Trochę dziś gorąco, nie? Ale pan mówi, że pan ze szpicłów.

Chytre oczy, nieruchoma, uważna twarz. Stopy w męskich pantoflach ani drgnęły.

Podniosłem pustą butelkę i potrząsałem nią. Potem odrzuciłem ją na bok i sięgnąłem do kieszeni po ćwiartkę firmowego bourbonu, którą ledwie napoczęliśmy z recepcjonistą. Oparłem ją o kolano. Kobieta utkwiała w niej oczy nieruchomo, z niedowierzaniem. Wreszcie, jak zręczny kotek, choć nie tak figlarnie, na twarz jej wypełzło podejrzenie.

- Pan nie jest z policji - powiedziała szeptem. - Jeszcze żaden glina nikomu czegoś takiego nie postawił. Co to za kawały, kawalerze?

Jeszcze raz wytarła nos, używając do tego najbrudniejszej chusteczki, jaką w życiu oglądałem. Nie spuszczała oczu z butelki. Podejrzliwość walczyła z pragnieniem i pragnienie brało górę. Jak zawsze.

- Ta Velma była aktorką. Śpiewaczką. Nie poznałaby jej pani? Ale myślę, że pani tam za często nie bywała.

Oczy koloru morskich glonów nie odrywały się od butelki. Obłożony język oblizywał wargi.

- To ci trunek - westchnęła. - Cholera mi do tego, kim pan jest. Tylko ostrożnie ją trzymaj, kawalerze. Nie pora nic upuszczać.

Wstała, wykołysała się z pokoju jak kaczką i wróciła z dwiema brudnymi szklaneczkami z grubego szkła.

- Bez mieszania - oświadczyła. - Wystarczy samo to, co pan przyniósł.

Nalałem jej kielicha, po którym ja chodziłbym po ścianie. Chwyliła go łapczywie, wytrząsnęła sobie do gardła jak tabletkę aspiryny i spojrzała na butelkę. Nalałem jej drugiego i mniejszego dla siebie. Wzięła ze sobą szklaneczkę na fotel. Jej zielone oczy znacznie już pociemniały.

- Ludzie, tego się nawet nie czuje - powiedziała siadając, - Ani człowiek wie, że wypił. O czym to mówiliśmy?

- O jednej rudej imieniem Velma, która kiedyś pracowała w waszym lokalu na Central Avenue.

- Taak. - Łyknęła zawartość drugiej szklaneczki. Podeszedłem i stanąłem przy niej z nachyloną butelką. Sięgnęła po nią. - Taaak. Jak pan mówił? Kto pan jest?

Wyjąłem wizytówkę i podałem. Odczytała ją, pomagając sobie czubkiem języka i wargami, po czym rzuciła na stolik obok i postawiła na niej szklaneczkę.

- O, prywatny. Tego mi pan nie mówił, kawalerze. - Figlarnie pokiwała mi palcem z naganą. - Ale jak o to chodzi, to ten trunek dobrze o panu świadczy. No, to za przestępstwo.

Nalała sobie trzeciego i wypła. Usiadłem i kręcąc papierosem w palcach czekałem. Albo coś wie, albo nie wie. Jeżeli wie, to albo zechce mi powiedzieć, albo nie. Całkiem i proste.

- Szykowna ruda laleczka - powiedziała powoli ochryplym głosem. - Taak, pamiętam ją. Śpiewała i tańczyła. Miała ładne nóżki i nikomu ich nie żałowała. I gdzieś przepadła. Skąd mam wiedzieć, co robią takie wycierusy?

- No, prawdę mówiąc, nie myślałem, że będzie pani wiedziała - stwierdziłem. - Ale to się samo przez się narzucało, żeby do pani przyjść zapytać. Niech się pani częstuje tą whisky... mogę lecieć po więcej, jak nam zabraknie.

- Pan nie pije - powiedziała nagle.

Objąłem dłonią szklaneczkę i wypłem jej zawartość tak powoli, żeby się wydawało, że whisky jest więcej niż rzeczywistość.

- A gdzie jest ta jej rodzina? - zapytała.

- Co to ma do rzeczy?

- Dobra, dobra - zaśmiała się drwiąco. - Wszystkie gliny takie same. W porządku, przystojniaczku. Kto mi postawi kielicha, ten mój kumpel. - Sięgnęła po butelkę i wykonała numer czwarty. - Nie powinnam popijać z panem. Ale jak kogoś lubię, to piję do dna. - Uśmiechnęła się zalotnie z wdziękiem starej balii. - Jak pan będzie

siedział spokojnie, to nie nadeptnie pan na węża - dodała. - Coś sobie przypomniałam.

Wstała z fotela na biegunach, kichnęła, niemal gubiąc szlafrok, zgarnęła go na brzuchu i spojrzała na mnie chłodno.

- Tylko bez podglądania - powiedziała i jeszcze raz wyszła z pokoju, objając się ramieniem o framugę drzwi.

Słyszałem, że poczłapała w głąb domu. Pędy poinsecji tępo stukwały w mur od frontu. Z drugiej strony słyhać było lekkie poskrzypywanie sznura na bieliznę. Przejechał dzwoniąc sprzedawca lodów. Wielkie ładne radio w kącie szeptało o tańcu i miłości głębokim, wibrującym głosem modnego piosenkarza przebojów.

Nagle z głębi domu dobiegły różne hałasy. Jakby ktoś przewracał krzesła, jakby wypadła za daleko wysunięta szuflada. Usłyszałem szamotaninę, dudnienie i stłumione ordynarne wyzwiska. Potem powolne przekręcanie klucza w zamku i skrzypnięcie otwieranego kufra. Znów szamotanina i łoskot. Jakaś taca wylądowała na podłodze. Wstałem z kanapki, przekradłem się do stołowego, a z niego do krótkiego korytarzyka. Zajrzałem przez otwarte drzwi.

Pani Florian chwiała się nad kufrem, wygarniała jego zawartość i ze złością odrzucała z czoła opadające włosy. Była bardziej pijana, niż przypuszczała. Nachyliła się, oparła o kufer, zakasłała i westchnęła. Potem opadła na grube kolana, zanurzyła obie ręce w kufrze i zaczęła w nim grzebać po omacku.

Jej ręce wynurzyły się razem z niepewnie trzymanym przedmiotem. Był to gruby pakiet przewiązany wyblakłą różową wstążeczką. Powoli, niezgrabnie rozwiązała ją. Wysunęła z pakietu jakąś kopertę, znowu się pochyliła i ukryła kopertę po prawej stronie kufra. Z powrotem związała wstążeczkę płaczącymi się palcami.

Wróciłem po cichu do pokoju i usiadłem na swojej kanapce. Rzęząc przy każdym oddechu pani Florian pojawiła się w stołowym i z pakietem w ręce chwiejnie stanęła w przejściu do bawialni.

Triumfalnie uśmiechnęła się do mnie i rzuciła pakiet, który upadł u moich stóp. Podeszła do fotela na biegunach kołysząc się jak kaczką, usiadła i sięgnęła po whisky.

Podniosłem pakiet i rozwiązałem spłowiałą różową wstążeczkę.

- Przejrzyj je pan - chrząknęła. - To zdjęcia. Z gazet. To nie znaczy, żeby o takich wycieruchach pisały gazety, chyba tyle, co w kronice policyjnej. To są zdjęcia z naszego lokalu. Ten łajdak nic mi poza nimi nie zostawił... te zdjęcia i swoje stare łachy.

Przerzuciłem cały plik lśniących fotosów przedstawiających mężczyzn i kobiety w zawodowych pozach. Mężczyźni mieli ostre lisie twarze i występowali w kostiumach dżokejów albo klaunów. Tancerze i komici z trupy objazdowej występującej po stacjach benzynowych. Pewno mało który z nich zawędrował dalej na zachód niż do Main Street. Można ich oglądać w osadach, w których się człowiek zatrzymuje dla odświeżenia zapasu wody, w jako tako przyzwoitych programach rewiowych bud albo w tandetnych teatrykach burleskowych z programami na tyle nieprzyzwoitymi, na ile tylko pozwala prawo, i od czasu do czasu tak dalece jeszcze przekraczającymi to, co dozwolone, że trzeba urządzać obławę albo wytaczać głośny proces. Wracają potem na swoje scenki i dalej szczerzą zęby w sztucznym uśmiechu, sadystyczni i plugawi, całe bractwo nieświeże jak śmierdzący, zakisły pot. Kobiety miały ładne nogi i pokazywały toczony uda wyżej, niż aprobowałby to Will Hays. Ale twarze miały wytarte jak zarękawki buchaltera. Blondynki, brunetki, wielkie krowie oczy z wyrazem pociągającej głupoty. Małe bystre oczka lśniące chciwością ulicznika. Jedna czy dwie twarze wyraźnie zdeprawowane. Jedna czy dwie mogły być rude. Trudno było to poznać z fotografii. Przejrzałem je pobieżnie, bez zainteresowania, i zawiązałem pakiet z powrotem.

- Nikogo bym nie poznał - powiedziałem. - Sam nie wiem, po co to przeglądam.

Łypnęła okiem znad butelki, niepewnie zmagając się z nią prawą ręką.

- Przecież pan szuka Velmy.

- Czy to któraś z tych?

Z twarzy pani Florian wyrzała ordynarna przebiegłość, ale nie znalazła nic zabawnego i wyniosła się gdzie indziej.

- Nie dostał pan zdjęcia od jej... rodziny?

- Nie.

To ją zmartwiło. Jeśli chodzi o dziewczynę, zawsze się znajdzie jakieś zdjęcie, choćby takie w krótkiej sukience i z kokardą we włosach. Powinienem mieć jej zdjęcie.

- Znowu zaczyna mi się pan nie podobać - powiedziała po cichu.

Wstałem, podszedłem do niej ze swoją szklaneczką i postawiłem ją na brzegu stołu obok jej szklaneczki.

- Niech mi pani doleje, zanim pani wykończy tę butelkę.

Sięgnęła po szklaneczkę, a ja szybko się odwróciłem, szybko przeszedłem przez pokój stołowy, przez korytarzyk i wszedłem do zagraconej sypialni z otwartym kufrem

i wywróconą tacą. Usłyszałem za sobą jakiś okrzyk. Bez namysłu zanurzyłem rękę w prawy kąt kufra, wymacałem kopertę i szybko ją wydobyłem.

Kiedy wróciłem do bawialni, pani Florian wstała już z fotela, ale zdążyła się posunąć najwyżej o dwa, trzy kroki. Jej oczy miały szczególną szklistość. Morderczą.

- Siadać! - warknąłem na nią z całym rozmysłem. - Tym razem to nie z tym tępym kłosem Myszką Malloyem ma pani do czynienia.

Strzelałem, prawdę mówiąc, na ślepo, i nie trafiłem. Zamrugła parę razy i spróbowała unieść nos przy pomocy górnej wargi. W króliczym grymasie ukazało się parę poczerniałych zębów.

- Myszka? Ach, Myszka. Co z nim? - zachłysnęła się.

- Myszka grasuje na wolności - wyjaśniłem. - Wyszedł z kicia. Włóczy się z czterdziestką piątką w ręku. Dziś rano zabił jakiegoś Murzyna na Central Avenue, bo tamten nie chciał mu powiedzieć, gdzie jest Velma. Szuka teraz tego judasza, co go osiem lat temu wydał.

Bladość powlokła jej twarz. Przycisnęła sobie butelkę do ust, aż zagulgotało. Trochę whisky rozlało się jej po brodzie.

- I te gliny jego szukają - powiedziała i roześmiała się. - Ha! Gliny!

Miła staruszka. Podobało mi się jej towarzystwo. Z przyjemnością upijałem ją dla swoich niecznych celów. Równy ze mnie facet, zadowolony byłem z siebie. W moim zawodzie zdarza się z łatwością niemal wszystko, ale zaczynało mnie mdlić.

Otworzyłem kopertę, którą dotąd ścisnąłem w ręku, i wydobyłem lśniące zdjęcie. Było takie samo, jak pozostałe, a jednak inne, miłsze. Dziewczyna od pasa w górę ubrana była w kostium pierrota. Pod białą stożkową czapką z czarnym pomponem rozwiewające się włosy miały ciemny połysk, który mógł świadczyć, że jest ruda. Twarz odwrócona była profilem, ale to oko, które było widać, rzucało wesołe błyski. Nie powiedziałbym, że twarz była piękna i nie zepsuta, nie mam takiej wprawy, jeśli idzie o twarze. Ale była ładna. Ludzie byli dla niej mili, czy też jak na to środowisko, w którym się obracała, dosyć mili. Przy tym wszystkim była to twarz bardzo pospolita i cała jej uroda była urodą po prostu szansonistki czy chórzystki. W dużym mieście w południe można spotkać tuzin takich twarzy na przestrzeni jednej przecznicy.

Poniżej pasa zdjęcie ukazywało głównie nogi, i do tego bardzo zgrabne. W dolnym rogu było podpisane: "Zawsze Twoja - Velma Valento".

Pokazałem je pani Florian, ale trzymając tak, aby nie mogła dosięgnąć. Rzuciła się na zdjęcie, ale na próżno.

- Dlaczego je pani schowała? - zapytałem.

Nie odpowiedziała ani słowa, tylko chrapliwie oddychała. Wsunąłem zdjęcie z powrotem do koperty, a kopertę do kieszeni.

- Dlaczego je pani schowała? - powtórzyłem. - Czym się różni od innych? Gdzie jest Velma?

- Nie żyje - odpowiedziała. - To była miła dziewczuszka, ale nie żyje, ty glino. Odczep się.

Tabaczkowe zmierzwione brwi jeździły w górę i w dół. Dłoń jej się otworzyła, butelka upadła na dywan i whisky zaczęła się z bulgotem wylewać. Pochyliłem się i podniosłem butelkę. Pani Florian usiłowała mnie kopnąć w twarz, więc odsunąłem się od niej.

- Nic nie widzę na tym zdjęciu takiego, co by tłumaczyło, dlaczego je pani schowała - powiedziałem. - Kiedy umarła? I jak?

- Jestem stara i schorowana - jęknęła. - Zostaw mnie, ty skurczybyku.

Stałem i patrzyłem na nią bez słowa. Nie przychodziło mi na myśl nic, co mógłbym jej powiedzieć. Po chwili zbliżyłem się z boku i postawiłem płaską butelkę, już prawie pustą, na stoliku obok.

Pani Florian nie odrywała oczu od dywanu. Radio w kącie przyjemnie pomrukiwało. Na oknie zabrzęczała mucha. Minęło sporo czasu, zanim pani Florian przymknęła wargi i przemówiła do podłogi gmatwaniną słów bez znaczenia, z których nic się nie wyłoniło. Następnie roześmiała się, odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się ślinić. Prawą ręką sięgnęła po butelkę i szkło zadzwoniło jej o zęby, kiedy wysuszała ją do dna. Podniosła pustą butelkę w górę, potrząsnęła nią i rzuciła we mnie. Butelka upadła gdzieś w kącie, potoczyła się po dywanie i trzasnęła o boazerię.

Pani Florian jeszcze raz łypnęła na mnie okiem, potem powieki jej opadły i zachrapała.

Mogła udawać, ale było mi wszystko jedno. Nagle miałem dosyć tej sceny, znudziła mi się i przejadła.

Wziąłem z kanapki kapelusz, podszedłem do drzwi z siatką i wysunąłem się za nie. Radio w kącie brzęczało jak przedtem, pani Florian spokojnie chrapała w fotelu. Jeszcze raz szybko na nią spojrzałem, zanim zamknąłem drzwi, potem je zamknąłem, po cichu otworzyłem znowu i zajrzałem jeszcze raz. Oczywiście miała wciąż przymknięte, choć widać było jakiś błysk pod powiekami. Zeszedłem po schodkach i popękany chodnikiem doszedłem do ulicy.

W sąsiednim domu w oknie firanka odsunięta była na bok i tuż przy szybie widać było ściągniętą wścibską twarz starej, siwej kobiety o spiczastym nosie.

Wścibski Nos pilnuje sąsiadów. Na każdej ulicy znajdzie się zawsze przynajmniej jedna taka. Machnąłem do niej ręką. Firanka opadła.

Wróciłem do samochodu, wsiadłem i pojechałem z powrotem do Rejonu Ulicy Siedemdziesiątej Siódmej. Schodami wszedłem na pierwsze piętro do ciasnego i śmierdzącego gabinetu Nulty'ego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nulty wyglądał tak, jakby się w ogóle nie poruszył. Siedział na krześle w tej samej pozycji zapiekłej cierpliwości. Na popielniczce jednak przybyły dwa cygarowe niedopałki, a podłogę gęściej zalegała warstwa wypalonych zapalek.

Usiadłem przy wolnym biurku, a Nulty odwrócił zadrukowaną stroną do góry leżące przed sobą zdjęcie i podał mi je. Było to zdjęcie policyjne, ujęcie en face i z profilu, z odciskami palców pod spodem. Przedstawiało bezsprzecznie Malloya. Sfotografowano go w bardzo ostrym świetle i jego twarz, pozbawiona w ten sposób brwi, wyglądała jak francuska bułeczka.

- Ten sam - powiedziałem zwracając mu zdjęcie.

- Dostaliśmy telegraficznie dane o nim ze stanowego więzienia w Oregon. Odsiedział wszystko z wyjątkiem paru miesięcy. Są widoki. Mamy go w sieci. Nasz patrol gadał z konduktorem na ostatnim przystanku trasy Siódmej Ulicy. Ten konduktor pamiętał faceta tej tuszy i wyglądającego tak samo. Wysiadł na rogu Trzeciej i Aleksandria. Oto, co robi: włamie się do któregoś z tych dużych domów pod nieobecność właścicieli. Pełno tam staroświeckich rezydencji, które znalazły się teraz za daleko od śródmieścia i brak na nie amatorów. Włamie się do którejś, i tam go przyskrzynimy. A co pan porabiał?

- Czy był w fantazyjnym kapeluszu i miał na marynarce piłeczki golfowe zamiast guzików?

Nulty zmarszczył się i zacisnął dłonie na kolanach.

- Nie, granatowy garnitur. A może brązowy.

- O, a może był w sarongu?

- Co? Aha, to był dowcip. Niech mi pan przypomni, żebym się uśmieł w jakiś wolny dzień.

- To nie był Myszka - powiedziałem. - Nie jechałby tramwajem. Miał pieniądze. Niech pan pamięta, jak był ubrany. Nie mógłby włożyć nic gotowego. Ubranie musiało być na niego szyte.

- Dobra, dobra, może mnie pan kiwać - skrzywił się Nulty. - Co pan robił?

- To, co pan powinien zrobić. Ten lokal "U Floriana" nazywał się tak samo, kiedy to była spelunka dla białych. Gadałem z murzyńskim hotelarzem, który zna okolicę. Neon nad drzwiami był kosztowny, więc smoluchy używają go dalej po przejściu lokalu. Właściciel nazywał się Mike Florian. Od kilku lat nie żyje, ale żyje wdowa po nim. Zajmuje posiadłość 1644 przy Pięćdziesiątej Czwartej Zachodniej. Nazywa się Jessie Florian. Nie ma jej w książce telefonicznej, ale jest w miejskiej książce adresowej.

- I po co mi to? Mam się z nią umówić na randkę? - zapytał Nulty.

- Zrobiłem to za pana. Wziąłem ze sobą ćwiartkę whisky. To czarująca dama w średnim wieku z twarzą jak kubek pomysł i jeśli od czasu drugiej kadencji Coolidge'a myła sobie włosy, gotów jestem zjeść własne zapasowe koło, z oponą i obręczą.

- Zostaw pan te żarciki - zachnął się Nulty.

- Zapytałem panią Florian o Velmę. Pamięta pan, o tę rudą Velmę, której szukał Myszka Malloy. Nie nużę pana, mam nadzieję?

- O co się pan obraża?

- I tak pan nie zrozumie. Pani Florian powiedziała, że nie pamięta Velmy. W domu ma same rupiecie oprócz nowego radia wartości siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu dolarów.

- Nie mówił mi pan, że to jest coś, o co warto podnosić krzyk.

- Pani Florian... Jessie dla mnie... powiedziała mi, że jej mąż zostawił jej tylko stare łachy i garść zdjęć tej bandy, która od czasu do czasu występowała w jego spelunce. Wziąłem ją na alkohol, a niech mi pan wierzy, że należy do dziewczynek, co muszą się napić, choćby miały znokautować faceta, który by im stał na drodze do butelki. Po trzeciej czy czwartej kolejce udała się do swej skromnej sypialni roztrzając graty dokoła i wygrzebała z dna starego kufra pakiet zdjęć. Ja jednak przyglądałem się temu bez jej wiedzy i okazało się, że jedno zdjęcie wyjęła z pakietu i ukryła. Toteż po jakimś czasie wymknąłem się tam i zabrałem je.

Sięgnąłem do kieszeni i położyłem przed nim zdjęcie dziewczyny-pierrota. Podniósł je, popatrzył i usta zadrgały mu w kącikach.

- Milutka - powiedział. - Całkiem milutka. Kiedyś bym nie był od tego. Cha, cha!
Velma Valento, co? Co się stało z tą laleczką?

- Pani Florian powiada, że nie żyje... ale to wcale nie tłumaczy, dlaczego schowała to zdjęcie.

- Nie rozumiem. Dlaczego je schowała?

- Nie tłumaczyła się. Na koniec, kiedy ja jej powiedziałem, że Myszka grasuje na wolności, jakby nabrała do mnie antypatii. To się wydaje niemożliwe, co?

- Jedź pan dalej.

- To wszystko. Opowiedziałem panu fakty i przedstawiłem dowód rzeczowy. Jeżeli po tych śladach nie potrafi pan nigdzie dojść, żadne moje gadanie nie pomoże.

- Dokąd mam dojść? To wciąż tylko murzyńskie morderstwo. Poczekajmy, aż złapiemy tego Myszkę. Diabli, od ośmiu lat nie widział tej dziewczyny, chyba że odwiedzała go w mamrze.

- Zgadza się - powiedziałem. - Ale niech pan nie zapomina, że on jej szuka, to jest człowiek uparty. Ale, ale, przecież on siedział za skok na bank. To znaczy, że była nagroda. Kto ją dostał?

- Nie wiem - powiedział Nulty. - Może uda mi się dowiedzieć. Ale po co?

- Ktoś go sypnął. Może on wie, kto. Wtedy i to by miał do załatwienia. - Wstałem. - No, to do widzenia i powodzenia.

- Zostawia mnie pan?

Podszedłem do drzwi.

- Muszę iść do domu, wykapać się, wypłukać gardło i zrobić manicure.

- Chory pan jest?

- Nie. Tylko brudny. Cholernie brudny.

- No, to nie ma pośpiechu. Niech pan siądzie jeszcze chwilę. - Odchylił się do tyłu i założył kciuki za kamizelkę, co go trochę bardziej upodobiło do policjanta, ale nie zrobiło ani odrobinę bardziej pociągającym.

- Nie ma pośpiechu - powtórzyłem. - Skądże. Już nic więcej nie mogę zrobić. Wszystko wskazuje na to, że ta Velma nie żyje, jeżeli pani Florian mówi prawdę... a

w tej chwili nie widzę żadnego powodu, dlaczego miałaby kłamać w tej sprawie. Nic poza tym mnie nie interesowało.

- Uhum - mruknął Nulty podejrzliwie siłą przyzwyczajenia.

- Tak czy owak Myszkę Malloya macie już nagranego, a o to w końcu szło. Więc teraz idę do domu i zajmę się szukaniem jakichś sposobów zarabiania na życie.

- Może nam nie wypalić z tym Myszka - monologował Nulty. - Od czasu do czasu zdarza się komuś wymknąć. Nawet komuś wielkiemu. - Podejrzliwe były także jego oczy, o ile w ogóle miały jakiś wyraz. - Ile panu ta stara wsunęła?

- Co?

- Ile panu wsunęła, żeby się pan odczepił?

- Odczepił od czego?

- Od tego, od czego chce się pan odczepić od tej chwili.

Wyjął kciuki zza kamizelki i zetknął je razem na brzuchu. Uśmiechnął się.

- Och, na rany Chrystusa - powiedziałem i wyszedłem z gabinetu, zostawiając Nulty'ego z rozdziawionymi ustami.

Kiedy już byłem kilka kroków za drzwiami, zawróciłem, otworzyłem je z powrotem po cichu i zajrzałem. Siedział w tej samej pozycji, z kciukami zetkniętymi na brzuchu. Ale już się nie uśmiechał. Minę miał zmartwioną. Usta wciąż otwarte.

Nie poruszył się ani nie podniósł oczu. Nie wiem, czy usłyszał mnie, czy nie. Jeszcze raz zamknąłem drzwi i odszedłem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tegoroczny kalendarz reprodukował Rembrandta, autoportret w tonacji dosyć brudnej, co wynikało z niedoskonałości techniki druku. Na portrecie malarz trzymał zamazaną paletę brudnym palcem, a na głowie miał nie mniej brudny płaski beret. Drugą ręką unosił pędzel, jakby za chwilę miał zamiar popracować, jeżeli dostanie od kogoś zaliczkę. Twarz miał starzejącą się, obwisłą, pełną niesmaku wywołanego życiem i krzepnących skutków alkoholizmu. Była w niej jednak jakaś uporczywa pogoda, która mi się podobała, a oczy jaśniały jak dwie krople rosy.

Okolo pół do piątej przyglądałem mu się właśnie przez szerokość swojego biurka, kiedy zadzwonił telefon i usłyszałem w słuchawce zimny, nienaturalny głos, który brzmiał tak, jakby był całkiem zadowolony ze swojego brzmienia. Zapytał rozciągając zgłoski:

- Czy mówię z panem Filipem Marlowe, prywatnym detektywem?

- Zgadza się.

- Och... to znaczy, tak. Polecono mi pana jako człowieka, któremu można zaufać, że się nie wygada. Chciałbym, żeby pan przyszedł do mnie do domu o siódmej dziś wieczorem. Możemy porozmawiać o pewnej sprawie. Nazywam się Lindsay Marriott i mieszkam na Montemar Vista przy Cabrillo 4212. Czy pan wie, gdzie to jest?

- Wiem, gdzie jest Montemar Vista, proszę pana.

- Tak. Ale ulicę Cabrillo dosyć trudno znaleźć. Ulice tutaj rozplanowane są interesująco, ale kręte i trudne do znalezienia. Radziłbym panu wejść po schodach od kawiarni przy autostradzie. Wtedy Cabrillo będzie pan miał trzecią z kolei przed sobą, a mój dom na niej jedyny. Zatem o siódmej?

- W jakim charakterze chce mnie pan zatrudnić?

- Wolałbym tego nie omawiać przez telefon.

- Nie mógłby mnie pan jednak choć w przybliżeniu zorientować? Montemar Vista jest dosyć daleko.

- Z przyjemnością zwrócę panu koszty, jeżeli nie dojdziemy do porozumienia. Czy ma pan specjalne zastrzeżenia co do charakteru, w jakim chciałbym pana zaangażować?

- Nie, o ile będzie on zgodny z prawem.

Głos stał się lodowaty.

- W innym wypadku nie dzwoniłbym do pana.

Harvardczyk. Prawidłowe użycie trybu warunkowego. Noga mnie zaswędziała, ale nie polepszyło to stanu mojego konta bankowego. Przyprawilem miodem ton własnego głosu i powiedziałem:

- Bardzo się cieszę, że zadzwonił pan do mnie. Będę u pana.

Odłożył słuchawkę i na tym się skończyło. Wydawało mi się, że pan Rembrandt uśmiecha się z leciutką kpina. Wyjąłem swoją biurową butelkę z szuflady i pociągnąłem łyczek. Whisky raz-dwa załatwiła się z kpina na twarzy Rembrandta.

Smuga słońca ześliznęła się z krawędzi biurka i bezszelestnie opadła na dywan. Zmieniające się światła uliczne pobrzękiwały za oknem na bulwarze, z łoskotem przejeżdżały dalekobieżne ciężarówki, a za ścianką działową w biurze adwokackim

monotonnie stukała maszyna do pisania. Ledwie zdążyłem nabić i zapalić fajkę, znowu zadzwonił telefon.

Tym razem to był Nulty. Jego głos brzmiał tak, jakby miał usta pełne pieczonych kartofli.

- No, chyba rzeczywiście nie jestem w tym zanadto bystry - powiedział. - Jeden zero. Malloy odwiedził tę starą Florian.

Ścisnąłem telefon tak, że miał prawo popękać. Poczułem, że mi nagle ziębnie górna warga.

- I co? Zdawało mi się, że macie go w sieci?

- To był inny facet. Malloya wcale tam nie było. Mieliśmy telefon od jakiejś wścibskiej staruszki z Pięćdziesiątej Czwartej Zachodniej. Dwóch facetów odwiedzało tę Florian. Pierwszy zaparkował po drugiej stronie ulicy i zachowywał się jak spryciarz. Obejrzał sobie dobrze tę chałupę, zanim wszedł. Siedział około godziny. Sześć stóp, ciemne włosy, waga średnio ciężka. Wyszedł spokojnie.

- I czuć było od niego whisky - powiedziałem.

- Och, no tak. To był pan, co? Tak, a ten drugi to był Myszka. Facet jaskrawo ubrany i wielki jak dom. On też przyjechał autem, ale stara nie dostrzegła rejestracji, z tak daleka nie mogła przeczytać numeru. Mówi, że to było z godzinę po tym, jak pan tam był. Zanim wsiadł z powrotem do wozu, wyciągnął maszynę i przesunął magazynek. Przynajmniej tak, zdaje mi się, mówi ta stara. To dlatego dzwoniła. Ale nie słyszała żadnych strzałów w domu.

- Musiała się bardzo rozczarować - zauważyłem.

- Aha. Ale kawał! Niech pan przypomni, żebym się uśmieł, jak będę miał wolny dzień. Ale i staruszce się nie udaje. Chłopcy z patrolu pojechali tam, a ponieważ nikt nie odpowiadał na pukanie, weszli do środka. Drzwi od frontu nie były zamknięte. Żadnego nieboszczyka. W domu nikogo. Ta Florianowa się ulotniła. Wstąpili więc do sąsiadki i ona nie mogła sobie darować, że nie zauważyła, jak Florianowa wychodzi. Zameldowali się i wrócili do pracy. A za jakąś godzinę, może półtorej, stara zadzwoniła znowu i powiada, że pani Florian jest z powrotem. Przełączyli ją do mnie, więc pytam, co w tym takiego ważnego, a ta odłożyła mi słuchawkę w połowie zdania.

Nulty przerwał, żeby nabrać tchu, i czekał na komentarz. Nie miałem żadnego. Jęczał i narzekał dalej:

- Co pan z tego rozumie?

- Nic wielkiego. Można się było spodziewać, że Myszka tam pojedzie. Musiał całkiem dobrze znać panią Florian. I oczywiście nie mógł tam za długo siedzieć. Bał się, że prawo już się dogrzebało do pani Florian.

- Tak sobie myślę - powiedział spokojnie Nulty - że może powinienem tam jechać i zobaczyć się z nią... może dowiedzieć się, dokąd chodziła.

- To dobra myśl - pochwaliłem go. - Jeżeli pan znajdzie kogoś, kto by pana podniósł z tego krzesła.

- Co? Aha, znowu dowcipy. Ale to teraz wiele nie zmieni. Myślę, że nie będę się trudził.

- Dobra - powiedziałem. - Gadaj pan, o co idzie.

Zachichotał.

- Malloyowi depczemy już po piętach. Tym razem już go naprawdę mamy. Rozpoznaliśmy go w Girard, jechał na północ wynajętym gratem. W Girard brał benzynę i chłopak ze stacji rozpoznał go według rysopisu, jaki podaliśmy przez radio. Powiada, że wszystko pasowało poza tym, że Malloy przebrał się w ciemny garnitur. Wciągnęliśmy do tego policję okręgową i stanową. Jeżeli dalej będzie jechał na północ, dostaniemy go na granicy Ventury, a jeżeli zboczy na szlak Ridge, musi się zatrzymać w Castaic po kupon kontrolny. Gdyby się nie zatrzymał, uprzedzą ich telefonicznie i zablokują drogę. Jeśli się da, wolelibyśmy nie tracić ludzi. Jak to wygląda?

- Wygląda nieźle - przyznałem. - Jeżeli to rzeczywiście Malloy i jeżeli zrobi to, czego się po nim spodziewacie.

Nulty ostrożnie odchrząknął.

- Taa. Co pan robi w tej sprawie... na wszelki wypadek?

- Nic. Dlaczego miałbym coś robić w tej sprawie?

- Powiodło się panu całkiem dobrze z tą Florianową. Może coś jeszcze przyszłoby jej na myśl.

- Trzeba się panu tylko postarać o pełną butelkę - powiedziałem.

- Pan do niej naprawdę podszedł dobrze. Może powinien pan jej poświęcić więcej czasu.

- Myślałem, że to rzecz policji.

- Och, pewnie. Ale to pański pomysł, żeby zająć się tą dziewczyną.
- Ten ślad wygląda na zgubiony... chyba że Florianową kłamie na ten temat.
- Baby łąą na każdy temat... po prostu, żeby nie wyjść z wprawy - oświadczył ponuro Nulty. - Ale nie jest pan bardzo zajęty?
- Mam pewną sprawę. Wpłynęła już po tym, jak się z panem widziałem. Sprawę, za którą dostanę forszę. Bardzo mi przykro.
- Więc wycofuje się pan?
- Inaczej bym to ujął. Po prostu muszę zarabiać na życie.
- W porządku, kolego. Wszystko w porządku, jeżeli tak pan do tego podchodzi.
- Nie podchodzę do tego ani tak, ani owak - wrzasnąłem prawie. - Po prostu nie mam czasu, żeby być za fagasa dla pana albo dla jakiegoś innego gliny.
- Dobrze, dobrze, obrażaj się pan - powiedział Nulty i położył słuchawkę.

Trzymając głuchą słuchawkę warknąłem:

- Tysiąc siedemset pięćdziesięciu glinów w tym mieście i chcą, żebym dla nich latał na posyłki.

Położyłem słuchawkę i znów pociągnąłem łyk z biurowej butelki.

Po jakimś czasie zszedłem do hallu po wieczorną gazetę. Nulty przynajmniej w jednym miał rację. Jak dotąd morderstwo dokonane na panu Montgomery nie dostało się nawet do działu drobnych ogłoszeń.

Po raz drugi wyszedłem z biura, żeby zjeść wczesną kolację.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dostałem się na Montemar Vista, kiedy zaczynało zmierzchać, ale wciąż jeszcze ocean iskrzył się lekko, a przybój załamywał się wzdłuż wybrzeża szerokim gładkim półkolem. Stado pelikanów przelatywało w formacji bombowej tuż pod piniącym się językiem fal. Samotny jacht zmierzał ku przystani w Bay City. Za nim leżała olbrzymia pustynia fioletowoszarego Pacyfiku.

Na Montemar Vista składało się parędziesiąt domów rozmaitych wielkości i kształtów, zawieszonych na słowo honoru u górskiego stoku i sprawiających wrażenie, że porządne kichnięcie może je zwalić na plażę między kosze z lunchem.

Szosa nad plażą zanurzała się pod szeroki betonowy łuk, który w rzeczywistości był mostem dla pieszych. Od bliższego końca łuku betonowe schody zaopatrzone z jednej strony w grubą cynkowaną poręcz biegły prosto jak linijka na szczyt zbocza. Za łukiem przydrożna kawiarnia wspomniana przez mojego klienta ukazywała jasne i pogodne wnętrze, choć marmurowe stoliki na żelaznych nóżkach, stojące na zewnątrz, pod markizą w paski, były nie zajęte, przy jednym tylko siedziała ciemnoskóra kobieta w spodniach i paliła papierosa w zadumie spoglądając na morze. Przed nią stała butelka piwa. Jednej z żelaznych nóżek od stolika jakiś foksterier używał jako słupa od latarni. Kobieta, kiedy ją mijałem, łajała psa myśląc o czymś innym. Dałem kawiarence zarobić w ten sposób, że wykorzystałem jej parking.

Wróciłem pieszo pod łuk mostu i wszedłem na schody. Był to miły spacer, jeżeli kto lubi zgrzytanie piasku pod nogami. Do Cabrillo wiodło dwieście osiemdziesiąt stopni. Zawiane były piaskiem, a poręcz była zimna i mokra jak brzuch ropuchy.

Kiedy znalazłem się na górze, ocean już nie migotał i pod idącą od niego bryzę przedzierała się jakaś mewa powłócząc złamaną nogą. Usiadłem na najwyższym stopniu, zimnym i wilgotnym, wytrząsałem piasek z butów i poczekałem, aż tętno opadnie mi poniżej stu. Oddychając już znów mniej więcej normalnie, oderwałem przylepioną do pleców koszulę i ruszyłem do oświetlonego domu, jedynego w zasięgu głosu, licząc od schodów.

Był to miły domek, ze spiralnymi, posrebrzanymi nalotem soli schodami prowadzącymi do frontowych drzwi i z imitacją latarni od powozu oświetlającą ganek. Garaż był z boku, pod domem. Drzwi jego były otwarte, zsunięte do góry, a światło lampy z ganku matowo połyskiwało na wielkim wozie-krażowniku z chromowanymi okuciami, ogonem kojota przywiązany do skrzydlatej bogini zwycięstwa na korku chłodnicy i grawerowanymi inicjałami tam, gdzie powinien być firmowy emblemat. Samochód kierownicę miał po prawej stronie i wyglądał tak, jakby kosztował więcej od tego domu.

Wszedłem po spiralnych schodkach, rozejrzałem się za dzwonkiem i użyłem kołatki w kształcie tygrysiej głowy.

Łoskot wchłonęła mgła wczesnego wieczoru. Nie słyszałem żadnych kroków w domu. Czulem na plecach mokrą koszulę jak worek z lodem. Drzwi otworzyły się bezszelestnie i znalazłem się twarzą w twarz z wysokim blondynem w białym flanelowym garniturze i fioletowym jedwabnym szaliku na szyi.

W kłapie marynarki miał bławatek i w zestawieniu z nim jego bladoniebieskie oczy wydawały się wyblakłe. Fioletowy szalik leżał luźno i widać było, że blondyn nie nosi krawata i że ma grubą, gładką i brązową szyję podobną do szyi silnej kobiety. Miał grube rysy twarzy, ale był przystojny; może o cal wyższy ode mnie, to znaczy, mierzył jakieś sześć stóp i cal. Blond włosy układały mu się czy to przy pomocy sztuki

fryzjerskiej, czy z natury w trzy regularne złote fale, które przypominały mi schody i wzbudziły we mnie niechęć. I tak by mi się zresztą nie podobały. Poza tym wszystkim wyglądał właśnie na chłopaczka noszącego biały flanelowy garnitur, fioletowy szalik na szyi i bławatek w klapie.

Lekko odchrząknął i spojrzał nad moim ramieniem na ciemniejące morze. Chłodnym, sztucznym głosem zapytał:

- Proszę?

- Siódma - powiedziałem. - Co do minuty.

- Och, tak. Zaraz, zaraz... pan się nazywa... - urwał i zmarszczył czoło w wysiłku pamięci. Efekt był równie sztuczny jak metryka używanego samochodu. Zostawiłem mu na to z minutkę i powiedziałem:

- Filip Marlowe. Nazywam się tak samo jak dziś po południu.

Skrzywił się na to przelotnie, jakby niezupełnie mu to odpowiadało. Odsunął się na bok i powiedział chłodno:

- Och, tak. Właśnie. Niech pan wejdzie, Marlowe. Mój boy dziś wieczorem wyszedł.

Pchnął drzwi na oścież koniuszkiem palca, jakby już samo otwieranie drzwi trochę go brudziło.

Wchodząc minąłem go i poczułem zapach perfum. Zamknął drzwi, Znaleźliśmy się na niskiej galeryjce z metalową poręczą, otaczającej z trzech stron duże studio-bawialnię. W czwartej ścianie widać było wielki kominek i dwoje drzwi. Na kominku trzaskał ogień. Ściany galeryjki wypełnione były półkami na książki, stały też tu na postumentach jakieś rzeźby pokryte metalicznie lśniąca glazurą.

Po trzech stopniach zeszliśmy do bawialni. Dywan niemal łaskotał mnie w kostki. W pokoju stał wielki koncertowy fortepian z zamkniętym wiekiem. Na nim, na rogu, na kawałku brzoskwiowego aksamitu stał wysoki srebrny wazon, a w nim jedna żółta róża. Pełno było miękkich wyściełanych mebli, wiele poduszek leżało na podłodze, jedno ze złotymi frędzlami, inne bez ozdób. Był to miły pokój, dla miłutkich ludzi. W zacisznym kącie stała wielka kryta adamaszkiem kanapa przypominająca formę odlewniczą. Był to pokój, w którym goście rozsiadają się wygodnie, pociągają absynt przez kostkę cukru, rozmawiają wysokimi i afektowanymi głosami, a czasami po prostu piskiem. Pokój, gdzie wszystko może się zdarzyć z wyjątkiem pracy.

Pan Lindsay .Marriott upozował się w wygięciu fortepianu, pochylił się i powąchał różę, a następnie otworzył francuską emaliowaną papierośnicę i zapalił długiego brunatnego papierosa ze złożonym ustnikiem. Ja usiadłem na różowym krzeselku z nadzieją, że nie zostawię na nim śladu. Zapaliłem camela, wydmuchnąłem dym

przez nos i spojrzałem na kawałek czarnego lśniącego metalu na postumencie. Przedstawiał on pełną, gładką wypukłość z wydrążeniem w środku i dwiema naroślami od zewnątrz. Wlepiłem wzrok w rzeźbę. Marriott to zauważył.

- Interesująca rzecz - wyjaśnił niedbale. - Znalazłem ją właśnie przed paroma dniami. To "Duch poranka" Asty Dial.

- Myślałem, że to "Dwa pryszcze na dupie" Klopsteina - powiedziałem.

Pan Lindsay Marriott zrobił minę, jakby połknął osę. Z wysiłkiem opanował wyraz twarzy.

- Ma pan cokolwiek dziwne poczucie humoru - orzekł.

- Nie dziwne, po prostu niezależne.

- Tak - wycedził chłodno. - Tak, oczywiście. Nie wątpię... Ale... sprawa, w jakiej chciałem się z panem zobaczyć, to w gruncie rzeczy nic wielkiego. Niemal niewarta tego, żeby pana tu fatygować. Spotygam dziś wieczorem paru ludzi i wręczam im pewną sumę. Przyszło mi na myśl, że nie zaszkodziłoby, gdybym miał kogoś ze sobą. Czy nosi pan broń?

- Zdarza się, owszem - odpowiedziałem. Spojrzałem na dołek w jego szerokiej, mięsistej brodzie. Zmieściłaby się w nim szklana kulka.

- Nie życzyłbym sobie, żeby pan miał broń. Nic w ogóle w tym sensie. To jest czysto finansowa transakcja.

- Rzadko zabijam - powiedziałem. - Czy idzie o szantaż?

Zmarszczył brwi.

- Ależ nie. Nie mam zwyczaju dawać okazji do szantażu.

- Zdarza się to najprzywzwoitszym ludziom. Powiedziałbym, właśnie najprzywzwoitszym.

Machnął papierosem. Farbkowe oczy nabrały lekko zamyślonego wyrazu, ale usta się uśmiechnęły. Był to uśmiech z tych, które towarzyszą jedwabnej pętli.

Wydmuchnął trochę dymu i odchylił głowę do tyłu. . Podkreśliło to silną linię jego szyi. Wzrok opadł mu powoli i zajął się moją osobą.

- Spotkam tych ludzi, najprawdopodobniej, w dość odludnym miejscu. Jeszcze nie wiem, gdzie. Oczekuję telefonu ustalającego szczegóły. Mam być gotowy, żeby od razu tam jechać. To będzie niezbyt daleko stąd. Tak było ustalone.

- Dawno pan się umawiał?
- Trzy czy cztery dni temu, prawdę mówiąc.
- Nie spieszył się pan zanadto z zapewnieniem sobie ochrony.

Zastanowił się nad tym. Strzepnął odrobinę ciemnego popiołu z papierosa.

- To prawda. Trudno się było zdecydować. Dla mnie byłoby lepiej jechać samemu i nic mi nie mówiono, czy mam ze sobą kogoś brać, czy nie. Ale z drugiej strony nie jestem bohaterem.

- Oni, oczywiście, znają pana z widzenia?

- Hm, nie jestem pewny. Będę miał przy sobie dużą sumę pieniędzy, i to nie swoich pieniędzy. Działam w czyimś imieniu. Nic by mnie nie usprawiedliwiło, gdybym pozwolił je sobie zabrać, oczywiście.

Zduśnięciem papierosa, rozparłem się na różowym krzeselku i kręciłem kciukami.

- Jak duża to suma... i na co?

- No, doprawdy... - Teraz był to całkiem miły uśmiech, ale w dalszym ciągu mi się nie podobał. - Nie mogę w to wchodzić.

- Potrzebuje mnie pan tylko po to, żebym jechał z panem potrzymać panu kapelusz.

Ręka mu znowu drgnęła i odrobina popiołu spadła na biały mankiet. Strząsnął go i utkwiał wzrok w tym punkcie.

- Przykro mi, ale nie podoba mi się pańskie zachowanie - powiedział ostrym tonem.

- Uskarżano się już na nie - przyznałem. - Ale chyba nic już nie da się z tym zrobić. Zastanówmy się chwilę nad pana propozycją. Chce pan faceta do ochrony, ale żeby nie miał przy sobie broni. Potrzebny panu pomocnik, ale niepożądane jest, żeby wiedział, czego się od niego będzie wymagało. Chce pan, żebym nadstawił karku nie wiedząc, dlaczego ani po co, ani jak wiele ryzykuję. Co pan proponuje za to wszystko?

- Prawdę mówiąc, jeszcze się nad tym nie zastanowiłem.

Policzki miał ciemnoczerwone.

- Czy skłonny pan jest zastanowić się nad tym?

Pochylił się z wdziękiem i uśmiechnął z zaciśniętymi zębami.

- Co by pan powiedział na bombę w nos?

I ja skrzywiłem się w uśmiechu, wstałem i włożyłem kapelusz. Ruszyłem przez dywan w stronę drzwi, ale nie za szybko. Jego głos trzepnął mnie w plecy.

- Za parę godzin pańskiego czasu proponuję panu sto dolarów. Proszę powiedzieć, jeśli to za mało. Ryzyka nie ma żadnego. Podczas napadu komuś z moich przyjaciół zabrano klejnoty... mam je odkupić. Niech pan siada i niech pan nie będzie taką mimozą.

Wróciłem do różowego krzeselka i usiadłem z powrotem.

- W porządku - powiedziałem. - Posłuchajmy, o co chodzi.

Przez pełne dziesięć sekund wytrzymaliśmy nawzajem swój wzrok.

- Czy słyszał pan kiedy o nefrycie Fei Tsui? - zapytał powoli, zapalając kolejnego ciemnego papierosa.

- Nie.

- Tylko ten rodzaj nefrytu przedstawia prawdziwą wartość. Inne zawdzięczają swoją cenę do pewnego stopnia kamieniowi, ale głównie obróbce. Fei Tsui przedstawia wartość sam w sobie. Wszystkie znane żyły tego kamienia zostały wyczerpane setki lat temu. Moja znajoma ma naszyjnik składający się z sześćdziesięciu kamieni, każdy mniej więcej sześciokaratowy i kunsztownie szlifowany. Wartości osiemdziesięciu albo dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów. Rząd chiński posiada naszyjnik odrobinę dłuższy, oceniany na sto dwadzieścia pięć tysięcy. Parę dni temu napadnięto na moją znajomą i zabrano jej naszyjnik. Byłem przy tym, ale nic nie mogłem poradzić. Byłem z nią na przyjęciu wieczorem, potem w Trocadero, a stamtąd jechaliśmy właśnie do niej do domu. Jakiś wóz otarł się o nasz lewy przedni błotnik i zatrzymał się, jak myślałem, po to, żeby przeprosić. Zamiast tego błyskawicznie i gładko dokonano napadu. Trzech czy czterech mężczyzn, właściwie widziałem tylko dwóch, ale jestem pewny, że jeden został w wozie za kierownicą, a zdaje mi się, że mignął mi czwarty za tylną szybą. Moja znajoma miała na sobie nefrytowy naszyjnik. Zabrali go, a na dodatek dwa pierścionki i bransoletkę. Ten, który wyglądał na przywódcę, obejrzał te rzeczy, w świetle małej latarki powoli, bez pośpiechu. Potem zwrócił jej jeden z pierścionków, mówiąc, że to nam powinno dać wyobrażenie, z kim mamy do czynienia, i żebyśmy poczekali na telefon, zanim zameldujemy na policji czy w agencji ubezpieczeniowej. Posłuchaliśmy tych wskazówek. Takich wypadków zdarza się, oczywiście, mnóstwo. Człowiek nikomu nic nie mówi i płaci okup, jeśli chce jeszcze oglądać swoje klejnoty. Jeżeli są ubezpieczone na realną wartość, nie ma może żartowania, ale jeśli przypadkiem to jakaś rzadka sztuka, człowiek skłonny jest raczej zapłacić okup.

Skinałem głową.

- A taki naszyjnik z nefrytów nie trafia się co dzień.

Z rozmarzeniem na twarzy przeciągnął palcem po wypolerowanej powierzchni fortepianu, jakby dotykanie czegoś gładkiego sprawiało mu rozkosz.

- Bynajmniej. Nie ma sobie równego. W ogóle nie powinna go była nosić. Ale moja znajoma należy do lekkomyślnych kobiet. Te inne rzeczy były cenne, ale nic ponad przeciętność.

- Uhm. Ile pan płaci?

- Osiem tysięcy dolarów. Nieprzyzwoicie tanio. Ale tak samo jak moja znajoma nie mogłaby nabyć drugiego takiego naszyjnika, bandyci nie byłoby w stanie łatwo się go pozbyć. Prawdopodobnie znają go wszyscy specjaliści w całym kraju.

- A ta pańska znajoma... zapewne ona jakoś się nazywa?

- Wolałbym na razie nie wymieniać nazwiska.

- Jakie są warunki?

Musnął mnie powłóczystym spojrzeniem swoich bladych oczu. Wydało mi się, że wygląda na dosyć przerażonego, ale nie znałem go zbyt dobrze. Może miał kaca. Nie mógł opanować drżenia ręki, w której trzymał papierosa.

- Od kilku dni prowadzimy rozmowy telefoniczne... ja pośredniczę. Wszystko już ustalone oprócz czasu i miejsca spotkania. Ma ono nastąpić dziś wieczorem. Za chwilę mam mieć telefon w tej sprawie. Nie będzie to nigdzie daleko, jak mówią, i mam być przygotowany, żeby natychmiast wyjechać. Przypuszczam, że idzie im o to, aby nie przygotować żadnej zasadzki. To jest, w porozumieniu z policją.

- Uhm. Czy banknoty są znaczone? Przypuszczam, że to są banknoty?

- Oczywiście. Dwudziestodolarówki. Nie, dlaczego miałyby być znaczone?

- Można to tak zrobić, że znaki widać tylko wtedy, kiedy się je podświetli czarnym światłem. Tak sobie... chyba tylko dlatego, że policja chętnie rozbija takie gangi... jeżeli im się trochę pomoże. Może któregoś z facetów już notowanych nakryją z takim banknotem.

Zmarszczył czoło z namysłem.

- Nie jestem pewien, co to jest czarne światło.

- Ultrafiolet. Niektóre atramenty pod wpływem tych promieni błyszczą w ciemności. Mógłbym to panu załatwić.

— Boję się, że na to już nie mamy czasu - stwierdził krótko.

- To właśnie między innymi mnie niepokoi.

- Dlaczego?

- Dlaczego wezwał mnie pan dopiero dziś po południu? Dlaczego akurat mnie? Kto panu o mnie powiedział?

Roześmiał się. Śmiech miał chłopięcy, ale był to śmiech chłopca niezbyt młodego.

- Ba, prawdę mówiąc, muszę przyznać, że znalazłem pana nazwisko przypadkowo w książce telefonicznej. Widzi pan, nie miałem zamiaru nikogo ze sobą zabierać. Ale dziś po południu przyszło mi na myśl, że może lepiej jechać z kimś.

Zapaliłem jeszcze jednego z moich wygniecionych papierosów przyglądając się jego muskularnej szyi.

- Jaki pan ma plan?

Rozłożył ręce.

- Jechać po prostu tam, dokąd mi każą, wręczyć paczkę z pieniędzmi i odebrać nefrytowy naszyjnik.

- Uhm.

- Zdaje się, że to pana ulubione słówko.

- Jakie słówko?

- "Uhm".

- A gdzie będę ja? Na tylnym siedzeniu?

- Chyba tak. To duży wóz. Z łatwością ukryje się pan z tyłu.

- Posłuchaj pan - powiedziałem, powoli. - Ma pan zamiar jechać ze mną ukrytym w tym wozie na miejsce, które panu wskażą telefonicznie dziś wieczorem. Będzie pan miał przy sobie osiem tysięcy w banknotach, za które ma pan odkupić nefrytowy naszyjnik wartości dwunastokrotnej. Najprawdopodobniej wręczą panu paczkę, której panu nie pozwolą otworzyć... jeżeli w ogóle coś panu dadzą. Równie dobrze mogą tylko zabrać pieniądze, przeliczyć je gdzie indziej i w przypiływie nieoczekiwanej wielkoduszności przysłać panu naszyjnik pocztą. Nic im nie przeszkodzi wykiwać pana. A już na pewno ja bym im nie mógł w tym przeszkodzić. To gangsterzy. Nie

będą się nad nikim rozczulać. Mogą panu nawet dać po głowie, nie za mocno, ale żeby pana unieruchomić, zanim odjadą.

- Tak, prawdę mówiąc, trochę się obawiam czegoś takiego - przyznał spokojnie, choć powieki mu zadrgały. - Pewno dlatego właśnie chciałbym, żeby ktoś ze mną jechał.

- Czy oświetlili pana latarką, kiedy zabierali klejnoty?

Pokręcił głową, że nie.

- To nieważne. Od tamtej pory mieli mnóstwo okazji obejrzeć sobie pana. W takich sprawach bada się dobrze grunt. Rozejrzeli się dokładnie jak dentysta, zanim założy złotą koronkę. Często pan wychodzi z tą panią?

- No... dosyć często - odpowiedział chłodno.

- To mężatka?

- Posłuchaj pan - warknął. - A gdybyśmy tak tę damę w ogóle z tego wyłączyli?

- OK - zgodziłem się. - Ale im więcej wiem, tym pewniej się poruszam. Powinienem nie mieszać się do tej sprawy, panie Marriott. Naprawdę powinienem. Jeżeli tamci chcą zagrać fair, nie jestem panu potrzebny. Jeżeli nie chcą, nie mogę im w niczym przeszkodzić.

- Życzę sobie tylko, aby mi pan towarzyszył - powiedział szybko.

Wzruszyłem ramionami i rozłożyłem ręce.

- OK. Ale to ja będę prowadził wóz i trzymał pieniądze, a pan się będzie bawił w chowanego na tylnym siedzeniu. Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu. Gdyby coś wynikło, po prostu powiemy im prawdę. Nic przez to nie stracimy.

- Nie.

Przygryzł wargi.

- Dostaję sto dolarów za nic. Jeżeli ktoś ma oberwać po głowie, niech to będę ja.

Zmarszczył się i potrząsnął głową, ale po dłuższej chwili twarz mu się rozjaśniła i uśmiechnął się.

- Dobrze - powiedział powoli. - Nie sądzę, żeby to miało większe znaczenie. Będziemy razem. Nie miałby pan ochoty na kropelkę koniaku?

- Uhm. I może mi pan przynieść tę setkę. Lubię czuć forszę w garści.

Wycofał się krokiem tancerza, prawie nieruchomy od pasa w górę. Telefon zadzwonił, zanim jeszcze wyszedł z pokoju. Aparat stał w małej wnęce, która z właściwego salonu wciniała się w galeryjkę. Ale to nie był ten telefon, o którym myśleliśmy. Marriott przemawiał za czule.

Po chwili wrócił tanecznym krokiem z butelką martela z pięcioma gwiazdkami i z pięcioma ślicznymi, szeleszczącymi dwudziestodolarówkami. Jak dotąd, wieczór przebiegał przyjemnie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W domu było bardzo cicho. W oddali słyhać było coś, co mogło być hukiem przyboju, szumem samochodów mknących szosą albo wiatrem w sosnach. Było to oczywiście morze załamujące się na brzegu daleko w dole. Siedziałem i przysłuchiwałem się temu szumowi pogrążony w pełnych troski rozmyśleniach.

Przez ostatnie półtorej godziny telefon dzwonił cztery razy. Oczekiwany dzwonek odezwał się osiem minut po dziewiątej. Marriott rozmawiał krótko, bardzo cichym głosem, potem bezszelestnie odłożył słuchawkę i wstał, jakby hamował ruchy. Twarz miał ściągniętą. Był już przebrany w ciemny garnitur. Bezszelestnie zeszedł do salonu i nalał sobie porządny łyk koniaku. Potrzywał go przez chwilę pod światło z dziwnym, smutnym uśmiechem, raz szybko zakręcił płynem w kieliszku, przechylił głowę i wlał sobie alkohol do gardła.

- No... wszystko gotowe, Marlowe. Pan gotów?

- Jestem gotów od początku. Dokąd jedziemy?

- Na miejsce zwane Purissima Canyon.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Wezmę mapę.

Wydobył mapę, szybko, ją rozłożył i kiedy się nad nią pochylał, światło zamigotało w jego miedzianych włosach. Wskazał palcem. Był to jeden z wielu kanionów odchodzących od bulwaru biegnącego z boczem góry i skręcającego do miasta z przybrzeżnej szosy na północ od Bay City. Wiedziałem mniej więcej, gdzie to jest, ale nic bliższego. Wyglądało na to, że kanion zaczyna się u końca ulicy Camino de la Costa.

- To będzie nie dalej jak dwanaście minut stąd - powiedział szybko Marriott. - Lepiej się zbierajmy. Mamy na wszystko tylko dwadzieścia minut.

Wręczył mi jasny płaszcz, w którym stawałem się wyraźnym celem. Płaszcz leżał na mnie jak ulał. Na głowę włożyłem własny kapelusz. Pod pachą miałem pistolet, chociaż o tym mu nie powiedziałem.

Kiedy wkładałem płaszcz, Marriott, przerzucając w rękach dużą brunatną kopertę z ośmioma tysiącami dolarów, nie przestawał nerwowo mówić:

- Purissima Canyon ma w głębi coś w rodzaju poziomej półki. Oddziela ją od ulicy biały płot z tyczek, ale przecisnąć się można. Polna droga prowadzi w dół, do małej kotlinki, i tam mamy czekać bez świateł. Nie ma naokoło domów.

- My?

- No, to znaczy, teoretycznie, ja.

- Aha.

Podał mi brunatną kopertę. Otworzyłem ją i zajrzałem, co jest w środku. Zawierała rzeczywiście pieniądze, ogromny plik banknotów. Nie przeliczałem ich. Założyłem z powrotem gumkę i wcisnąłem kopertę pod płaszcz. Niemal wgniotła mi żebro.

Podeszliśmy do drzwi i Marriott zgasił wszystkie światła. Ostrożnie otworzył drzwi frontowe i wyrzał w mgłę. Wyszliśmy i przez spiralne, pokryte solą schodki dostaliśmy się na poziom ulicy i do garażu. Było trochę mgliście, jak zawsze w tej okolicy w nocy. Na moment musiałem uruchomić wycieraczki.

Wielki zagraniczny wóz jechał sam, ale dla pozorów trzymałem kierownicę.

Przez dwie minuty zataczaliśmy ósemki wokół zbocza, potem wystrzeliliśmy na szosę obok kawiarenki. Teraz mogłem zrozumieć, dlaczego Marriott kazał mi wejść pod górę schodami. Godzinami mógłbym błądzić po tych krętych splecionych uliczkach nie posuwając się dalej niż robak w puszcze na przynętę.

Światła płynących szosą dwoma strumieniami aut tworzyły niemal dotykálną tęczę. Wielkie maszyny do prażenia kukurydzy toczyły się na północ warcząc, obwieszone jak girlandami nadmiarem zielonych i żółtych świateł. Po trzech minutach, obok dużej stacji benzynowej, skręciliśmy w stronę łądu na drogę wijącą się u zbocza gór. Zrobiło się cicho. Było tu bezludnie, pachniało morskoczną, a od gór dziką szalwią. Tu i ówdzie majaczyło w ciemności samotne żółte okno jak ostatnia pomarańcza. Przejeżdżające auta obmywały asfalt zimnym białym światłem i, warcząc, z powrotem nikały w ciemności. Strzępy mgły uganiały się za gwiazdami po niebie.

Marriott nachylił się ku mnie z głębi ciemnego auta i powiedział:

- Te światła na prawo to klub "Belvedere Beach". Następny kanion to Las Pulgas, a za nim już Purissima. Skracamy na prawo na szczycie drugiego wzniesienia. - Głos miał ściszony i napięty.

Odchrząknąłem i jechałem dalej.

- Niech pan trzyma głowę nisko - powiedziałem przez ramię. - Możemy być przez cały czas obserwowani. Ten wóz widać z daleka jak getry na pikniku w lowa. Facetom może się nie spodobać, że się pan zjawia jako bliźniaki.

Zjechaliśmy w kotlinkę w głębi jakiegoś kanionu, potem wspięliśmy się na wzniesienie, a następnie znów zjechaliśmy w dół i znów wyjechaliśmy wyżej. Nagle Marriott napiętym głosem szepnął mi w ucho:

- Następną ulicą na prawo. Ten dom z czworokątną wieżyczką. Za nim niech pan skręci.

- Może to pan im pomagał wybierać miejsce, co?

- Rzeczywiście. - Roześmiał się ponuro. - Przypadkiem całkiem dobrze znam te kaniony.

Skręciłem na prawo za wielkim narożnym domem z czworokątną białą wieżyczką krytą okrągłymi dachówkami. Światła czołowe omiotły przez chwilę tabliczkę z nazwą ulicy: Camino de la Costa. Sunęliśmy w dół szeroką aleją między słupami latarń bez żarówek, wzdłuż której biegły ścieżki porośnięte zielskiem. Marzenie jakiegoś sprzedawcy parcel przemieniło się tutaj w kaca. W mroku poza zarośniętymi ścieżkami skrzybiały koniki polne i kumkały żaby. Tak cicho sunęło auto Marriotta.

Jeden dom na całą ulicę, potem jeden dom na przestrzeni dwóch ulic, wreszcie w ogóle skończyły się domy. Wciąż jeszcze tu i ówdzie widać było majaczące oświetlone okno, ale na ogół wyglądało na to, że ludzie tu chodzą spać z kurami. Potem nagle asfalt alei przeszedł w polną drogę, w czasie suszy twardą jak beton. Droga zwężała się i opadała łagodnie między ścianami zarośli. Wysoko na prawo wisiały na niebie światła klubu "Belvedere Beach", a daleko przed nimi połyskiwało migotliwie morze. Noc była pełna ostrego zapachu szałwi. Wreszcie w poprzek drogi ukazała się na biało pomalowana bariera i Marriott znowu odezwał się za moim ramieniem:

- Nie sądzę, żeby pan zdołał się wcisnąć. Przejazd wygląda za wąsko.

Wyłączyłem bezszelestny silnik, przygasilem światła i siedziałem, nasłuchując. Nic. Wygasilem światła zupełnie i wysiadłem z wozu. Koniki polne ucichły. Przez krótki moment cisza była tak zupełna, że dobiegł do mnie wizg opon na szosie u stóp skał milę poniżej. Potem po jednym koniki polne odezwały się znowu i ciemność napełniła się ich cykaniem.

- Niech pan się nie rusza. Idę się rozejrzeć - szepnąłem w głąb auta.

Dotknąłem kolby pistoletu pod marynarką i ruszyłem przed siebie. Pomiędzy zaroślami a końcem białej bariery było więcej miejsca, niż wydawało się z auta. Krzaki były podcięte i na drodze widniały ślady opon. Pewno smarkacze przyjeżdżają się tu całować w ciepłe noce. Wszedłem za barierę. Droga schodziła w dół i zakręcała. Niżej była ciemność i dochodził słaby, daleki szum morza. I widać było światła aut na szosie. Szedłem dalej. Droga kończyła się płytką kotlinką ze wszystkich stron otoczoną zaroślami. Wyglądało na to, że prowadzi do niej tylko jedno wejście; to, którym przyszedłem. Stałem w ciszy i nadsluchiwałem.

Powoli mijały minuty, ale czekałem na jakiś nowy dźwięk. Nie doczekałem się żadnego. Wyglądało na to, że jestem sam jeden w kotlinie.

Popatrzyłem na oświetlony klub na plaży. Z okien na piętrze człowiek zaopatrzony w silną lornetę mógłby zapewne świetnie obserwować to miejsce. Dojrzałby przyjeżdżające i odjeżdżające auto, widziałby, kto wysiada, czy grupa ludzi, czy tylko jedna osoba. Z ciemnego pokoju przy pomocy silnej lornety widzi się dużo więcej szczegółów, niż się to wydaje możliwe.

Zawróciłem z powrotem pod górę. Spod krzaka konik polny skrzypnął tak głośno, aż podskoczyłem. Obszedłem zakręt i stanąłem przed białą barierką. Wciąż nic. Czarne auto matowo połyskiwało na tle szarości, która nie była ani ciemnością, ani światłem. Podeszedłem bliżej i postawiłem stopę na błotniku obok miejsca kierowcy.

- To wygląda na próbę - powiedziałem szeptem, ale tak, żeby Marriott w głębi auta mnie dosłyszał. - Żeby sprawdzić, czy pan się stosuje do poleceń.

W głębi zauważyłem niewyraźny ruch, ale nie odpowiedział. Dalej szperałem wzrokiem za krzakami.

Ktokolwiek to był, trzeba powiedzieć, że z łatwością i gładko trzepnął mnie czymś ciężkim w tył głowy. Potem zdawało mi się, że chyba słyszałem świst "pończochy". Może zawsze się tak wydaje - potem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Cztery minuty - mówił głos. - Pięć, może sześć. Musieli się uwinąć szybko i po cichu. Nawet nie krzyknął.

Otworzyłem oczy i przez mgłę spojrzałem w zimne światło jakiejś gwiazdy. Leżałem na wznak. Czulem się słabo.

Głos mówił:

- Może to trwało trochę dłużej. Może razem nawet osiem minut. Siedzieli na pewno w krzakach, akurat tam, gdzie się zatrzymał ten wóz. Facet się łatwo spłoszył. Musieli mu błysnąć w oczy latarką i zemdłał po prostu ze strachu. Śmierdząca ciota.

Cisza. Ukląknęłam na jedno kolano. Ból przeszył mnie na wylot od nasady szyi aż po kostki.

- Potem jeden z nich wsiadł do auta - mówił głos - i czekał na ciebie. Tamci z powrotem się ukryli. Musieli sobie wykalkulować, że on się będzie bał przyjechać sam. Albo coś w jego głosie wzbudziło ich podejrzenia, kiedy rozmawiali z nim przez telefon.

Uniosłem się półprzytomnie na czworaki, nasłuchując.

- Taak, tak to mniej więcej było - powiedział głos.

Był to mój głos. Mówiłem sam do siebie, otrząsając się z omdlenia. Podświadomie starałem się odtworzyć przebieg wydarzeń.

- Zamknij się, ty tumanie - powiedziałem i głos umilkł.

Gdzieś daleko mruczenie samochodów, bliżej skrzypienie koników polnych, specyficzne, przeciągłe, zawodzące "iii..." drzewnych żabek. Wydało mi się, że już nigdy nie będę mógł polubić tych dźwięków.

Uniosłem jedną rękę z ziemi, spróbowałem otrząsnąć z niej lepki sok z szałwi i wytarłem ją o połę płaszcza. Miła praca za sto dolarów. Ręka sama mi znikła w wewnętrznej kieszeni. Oczywiście ani śladu po brunatnej kopercie. Ręka sięgnęła w zanadrze mojej własnej marynarki. Portfel był na miejscu. Zastanowiłem się, czy jest w nim jeszcze moja setka. Pewno nie. Poczułem, że coś ugniata mi żebra z lewej strony. Był to pistolet zawieszony pod pachą.

Zachowali się uprzejmie. Zostawili mi pistolet. Uprzejmy gest - jak zamknięcie facetowi oczu, kiedy się go zasztyletuje.

Pomacałem tył głowy. Miałem na niej kapelusz. Zdjąłem go, nie bez wysiłku, i pomacałem głowę. Pocziwa staruszka, tyle lat mi już służy. Teraz była trochę miękka, trochę spuchnięta i trochę obolała. Ale w gruncie rzeczy to było całkiem delikatne uderzenie. Kapelusz je osłabił. Głowa jeszcze mi posłuży. W każdym razie jeszcze z rok.

Oparłem się o ziemię prawą ręką, uniosłem lewą i przekręciłem ją, żeby spojrzeć na zegarek. Świecąca wskazówka pokazywała dziesiątą pięćdziesiąt sześć, o ile mogłem na tyle skupić wzrok.

Telefonowali o dziesiątej osiem. Marriott rozmawiał może ze dwie minuty. Następne cztery zabrano nam wyjście z domu. Czas upływa bardzo wolno, kiedy się właśnie coś robi. To znaczy, można wykonać wiele posunięć w parę minut. Czy rzeczywiście o to mi chodzi? Do cholery z tym, o co mi chodzi. Dobra, dobra, lepsi ode mnie nie wiedzieli, o co im chodzi. No dobra, chodzi mi o to, że wtedy, powiedzmy, była dziesiąta piętnaście. Jazda zajęła około dwunastu minut. Dziesiąta dwadzieścia siedem. Wsiadam, schodzę do kotlinki, tracę tam prawie całe osiem minut i wracam na drogę, żeby poddać swoją głowę tej kuracji. Dziesiąta trzydzieści pięć. Odliczmy minutę, żebym miał czas upaść i zaryć twarzą w piach. A zaryłem twarzą w piach, bo mam podrapaną brodę. Piecze. Czuję, że jest podrapana. Stąd wiem, że jest podrapana. Nie, nie widzę tego. Nie muszę tego widzieć. Broda należy do mnie, i wiem, czy jest podrapana, czy nie. Może się komuś nie podoba? Dobra, dobra, zostawcie mnie w spokoju i dajcie mi pomyśleć. Tylko czym?...

Zegarek wskazywał dziesiątą pięćdziesiąt sześć. To znaczy, że leżałem bez czucia dwadzieścia minut.

Dwadzieścia minut snu. Po prostu dłuższa drzemka. Przez ten czas dałem się wymknąć tej bandzie i straciłem osiem tysięcy dolarów. No to i co? W dwadzieścia minut można zatopić krążownik, strącić ze trzy, cztery samoloty i odprawić dwie egzekucje. Można umrzeć, ożenić się, wylecieć z pracy i znaleźć nową, dać sobie wyrwać ząb albo usunąć migdałki. W dwadzieścia minut można nawet wstać z łóżka rano. Może i dostać szklankę wody w nocnym klubie.

Dwadzieścia minut snu. To długo. Szczególnie w chłodną noc, na powietrzu. Zacząłem dygotać.

Wciąż jeszcze klęczałem. Zaczynał mnie drażnić zapach szałwi. Lepkiego soku, z którego zbierają miód dzikie pszczoły. Miód jest słodki, o wiele za słodki. W żołądku wszystko mi się zakręciło. Zaciśnałem mocno zęby i w ostatniej chwili udało mi się przełknąć. Pot wystąpił mi kroplami na czole, ale nie przestawałem się trząść. Dźwignąłem się na jedną nogę, wreszcie stanąłem na dwóch i wyprostowałem się, trochę chwiejnie. Czułem się jak amputowana noga.

Pomału się odwróciłem. Auto zniknęło. Polna droga ciągnęła się pusta w stronę niskiego wzniesienia, w stronę asfaltowanej ulicy, wylotu Camina de la Costa. Na lewo widniała na tle ciemności biała malowana bariera z tyczek. Błada poświata na niebie za niską ścianą zarośli to pewno światła Bay City. A dalej na prawo i bliżej widać światła klubu "Belvedere".

Wróciłem na miejsce, gdzie stało auto, wydobyłem z kieszeni latareczkę w kształcie wiecznego pióra i zacząłem szperać jej nikłym światłem po ziemi. Ziemia była tu czerwona i gliniasta, twardniejąca na kość podczas suszy, ale takiej suszy nie było. Było trochę mgły i na powierzchni ziemi osiadło dosyć wilgoci, aby mógł się odcisnąć ślad wozu. Widziałem, bardzo niewyraźnie, odciski ciężkich, dziesięciowarstwowych

opon Vogue. Skierowałem na nie światło i pochyliłem się, a wtedy ból z lekka mnie zamroczył. Ruszyłem za śladami. Przez paręnaście stóp biegły prosto naprzód, potem skręcały na lewo. Nie wracały. Biegły do przejścia u lewego końca białej bariery. Tam straciłem je z oczu.

Podszedłem do bariery i skierowałem swoje światelko na krzaki. Gałęzie były świeżo połamane. Poszedłem dalej, w dół skręcającą drogą. Ziemia była tu jeszcze miększa. Znów ślady ciężkich opon. Zszedłem niżej, za zakręt, i znalazłem się na skraju kotlinki otoczonej zaroślami.

Tu właśnie stało auto, chrom i szklisty lakier lśniły trochę nawet w ciemności, a czerwone tylne światelko odbiaskowe zapaliło się w blasku mojej latarki. Tu właśnie stało, milczące, ciemne, ze wszystkimi drzwiami zamkniętymi. Ruszyłem ku niemu powoli, zgrzytając zębami przy każdym kroku. Otworzyłem tylne drzwi i skierowałem promyk światła do środka. Pusto. Przednie siedzenie też było puste. Silnik był wyłączony. Klucz od stacyjki wisiał na cienkim łańcuszku. Nie dojrzałem nigdzie poszarpanego obicia, stłuczonego szkła, krwi, trupa. Wszystko w schludnym porządku. Zamknąłem drzwi i powoli obszedłem auto dokoła, szukając jakiegoś znaku i nic nie znajdując.

Nagle dosłyszałem coś i zamarłem.

Usłyszałem pulsowanie silnika nad krawędzią krzaków. Nie odskoczyłem dalej jak o krok. Latarka w moim ręku zgasła. Sam ze siebie wsunął mi się do ręki pistolet. Światła czołowe zabłysły w górę, ku niebu, iż powrotem opadły w dół. Warkot silnika pozwalał się domyślać, że to jakieś małe auto. I brzmiało w nim zadowolenie, jakie daje silnikowi wilgoć w powietrzu.

Światła czołowe zeszyły jeszcze niżej i stały się jaśniejsze. Auto było na zakręcie polnej drogi. Wysunęło się w dwóch trzecich i zatrzymało. Przytknął włączany reflektor, promień światła zakołysał się w bok, przetrzymano go tam, a potem wystrzelił do przodu. Auto ruszyło w dół. Wysunąłem pistolet z kieszeni i skuliłem się za silnikiem samochodu Marriotta.

Do kotlinki wsunęło się małe coupe nieokreślonego kształtu i koloru i wykręciło się tak, że jego światła czołowe obmacały sedan od maski po bagażnik. Szybko schowałem głowę. Światło przeleciało nade mną jak miecz. Coupe zatrzymało się. Silnik ucichł. Światła zgasły. Cisza. Teraz otworzyły się drzwi i czyjaś lekka stopa dotknęła ziemi. Znów cisza. Nawet koniki polne ucichły. Teraz promień światła przeciął ciemność nisko przy ziemi, równoległe do niej, parę cali nad ziemią. Nadleciał, i żadną miarą nie zdążyłem na czas cofnąć przed nim stóp. Zatrzymał się na moich stopach. Cisza. Promień światła podniósł się i znowu obmacał maskę wozu

Nagle zabrzmiał śmiech. Był to śmiech dziewczyny. Nerwowy, napięty jak struna mandoliny. Dziwny dźwięk w tym miejscu. Biały promień znów zeskokczył pod wóz i osiadł na moich stopach.

Głos przemówił i to wcale nie piskliwie:

- W porządku tam. Wyłazić i ręce do góry, i żeby w tych rękach nic, do diabła, nie było. Jesteś na muszce.

Nie poruszyłem się.

Światło zadrgało trochę, jakby drgnęła trzymająca je ręka. Jeszcze raz przejechało powoli wzdłuż wozu. Głos przeszył mnie jeszcze raz.

- Niech pan słucha, panie nieznajomy. Mam w ręku dziesięciostrzałowy automat. Trafiam. Pana stopy nie są kuloodporne. Na co pan liczy?

- Dostyc tych głupstw... bo wytrącę go pani z ręki! - warknąłem. Każde moje słowo brzmiało, jakby ktoś zrywał deski z dachu kurnika.

- O... taki twardy z pana jegomość. - Głos jej zadrżał, była to miła uchu przelotna chwila. I zabrzmiał znów mocno. - Wyłazi pan? Liczę do trzech. Niech pan zważy, jakie panu daję fory... dwanaście grubych cylindrów, może szesnaście. Ale strzał w stopy jest bolesny. Kości stóp zrastają się całe lata, a czasami nie zrastają się wcale...

Powoli wyprostowałem się i spojrzałem prosto w strumień światła.

- I ja gadam za dużo, kiedy mam pietra - powiedziałem.

- Nie... niech się pan nie rusza ani o krok! Kim pan jest?

Ruszyłem w jej stronę obchodząc wokół auto. Kiedy już tylko sześć stóp dzieliło mnie od ciemnej smukłej sylwetki za latarką, zatrzymałem się. Strumień światła tkwił na mnie bez drgnienia.

- Proszę się nie ruszać - rzuciła ostro dziewczyna, kiedy się zatrzymałem. - Kim pan jest?

- Popatrzmy na ten pani pistolet.

Wysunęła go w światło. Wycelowany był w mój żołądek. Był to mały pistolet, wyglądał na kieszonkowego automatycznego colta.

- Ech, to - powiedziałem. - Ta zabaweczka. Nawet się w niej nie mieści dziesięć naboí. Tylko sześć. To tylko pistolecik. Do strzelania motylków. Tym się strzela motylki. Nie wstydzi się pani opowiadać mi takich jawnych kłamstw?

- Oszalał pan?

- Ja? Napadnięto mnie i uśpiono na "pończochę". To możliwe, że jestem trochę zwariowany.

- Czy to... czy to pańskie auto?

- Nie.

- Kim pan jest?

- Co pani tam oglądała tym swoim reflektorem?

- Aha. To pan tu jest od pytań. Pan i władca. Oglądałam pewnego mężczyznę.

- Blondyn? Włosy ułożone w fale?

- Nie w tej chwili - powiedziała szeptem. - Może kiedyś.

To mną wstrząsnęło. Jakoś nie spodziewałem się tego.

- Nie widziałem go - zająknąłem się. - Śledziłem z latarką w rękę ślady opon w dół wzgórza. Czy ciężko ranny?

Posunąłem się jeszcze o krok. Pistolecik skoczył w moją stronę i światło ani nie drgnęło.

- Spokojnie - szepnęła. - Spokojnie. Pana przyjaciel nie żyje.

Przez chwilę nic nie mówiłem.

- Tak - powiedziałem wreszcie. - Chodźmy na niego popatrzeć.

- Stójmy tu, gdzie stoimy, i nie ruszajmy się, a pan niech mi powie, kim pan jest i co się stało. - Jej głos brzmiał dźwięcznie. Nie zdradzał strachu. Nie żartował.

- Marlowe. Jestem Filip Marlowe. Detektyw. Prywatny.

- Waśnie... jeżeli to prawda. Niech pan tego dowiedzie.

- Mam zamiar wyjąć portfel.

- Nie sędę. Niech pan zostawi ręce tam, gdzie je pan właśnie trzyma. Na razie obejdzimy się bez dowodów. I co pan powie?

- Ten człowiek może żyć.

- Ale nie żyje. I to mózg mu widać na miejscu twarzy. Gadaj pan, i to szybko.

- Jak już mówiłem... on może żyć. Chodźmy go obejrzyć.

Posunąłem się znowu w jej stronę.

- Jeszcze krok, a przedziurawię pana na wylot! - ucięła.

Posunąłem się jeszcze trochę. Latarka podskoczyła lekko. Myślę, że dziewczyna odsunęła się o krok.

- Za wiele pan ryzykuje, mój panie - powiedziała szeptem. - Ale zgoda, pan idzie pierwszy, ja za panem. Wygląda pan nie najlepiej. Gdyby nie to...

- Zastrzeliłaby mnie pani. Oberwałem pończochą po głowie. Zawsze od tego dostaję sińców pod oczami.

- Ma pan stosowne poczucie humoru... jak pomocnik grabarza - powiedziała prawie płacząc.

Odrzuciłem się od światła i natychmiast skierowało się ono na ziemię przede mną. Przeszedłem obok małego coupe, zwykłego małego samochodziku połyskującego schludnie w świetle przymglonych gwiazd. Wyszedłem polną drogą za zakręt. Słyszałem jej kroki tuż za sobą, światłem wskazywała mi drogę. Cisza zapadła teraz zupełna, pomijając nasze kroki i oddech dziewczyny. Własnego nie słyszałem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W połowie zbrocza spojrzałem w prawo i zobaczyłem jego stopę. Dziewczyna skierowała światło latarki. Wtedy zobaczyłem go całego. Powinienem go być spostrzec, kiedy schodziłem w dół, ale wtedy szedłem pochylony, szperając po ziemi światłem latarki w poszukiwaniu śladów opon. Moja latarka wielkości wiecznego pióra dawała krążek światła nie większy od ćwierćdolarówki.

- Niech mi pani da tę latarkę - rozkazałem i wyciągnąłem rękę do tyłu.

Włożyła mi ją do ręki bez słowa. Ukląknę na jedno kolano. Poczułem przez spodnie zimną i wilgotną ziemię.

Leżał na wznak tuż pod krzakiem jak porzucone ubranie, co zawsze znaczy to samo. Jego twarz przedstawiała widok, jakiego jeszcze w życiu nie oglądałem. Włosy miał

ciemne od krwi, piękne blond fale były zlepione krwią i jakąś gęstą szarą mazią, jak śluzem.

Dziewczyna za mną oddychała ciężko, ale nic nie mówiła. Trzymałem światło na jego twarzy. Rozkwasili ją na miazgę. Jedna ręka zastygła odrzucona w bok, palce były skurczone. Płaszcz, do połowy skręcony, leżał pod nim, jakby się potoczył, kiedy padał. Nogi miał skrzyżowane. Z kącika ust wypływała strużka czarna jak brudny olej.

- Niech pani trzyma na nim światło - powiedziałem, oddając jej latarkę. - Jeżeli nie robi się pani od tego niedobrze.

Wzięła latarkę i przytrzymała ją bez słowa i bez drgnienia jak stary morderca weteran. Wyjąłem jeszcze raz swoją latarkę-pióro i zacząłem mu przetrząsać kieszenie, starając się go nie poruszyć.

- Nie powinien pan tego robić - zauważyła nerwowo. - Nie powinien go pan dotykać, dopóki nie przyjedzie policja.

- To prawda. I chłopcy z patrolu nie powinni go dotykać, dopóki nie przyjedzie wydział kryminalny, a ci znowu nie mogą go dotykać, dopóki nie obejrzy go lekarz, dopóki fotografowie go nie sfotografują i specjalista nie zdejmie odcisków palców. A wie pani, jak długo może to potrwać? Parę godzin.

- Racja - powiedziała. - Chyba zawsze ma pan rację. Chyba już taki pan jest. Ktoś go musiał nienawidzić, żeby mu tak zmiażdżyć głowę.

- Nie sądzę, żeby tu wchodziły w grę osobiste porachunki - warknąłem. - Są ludzie, co po prostu lubią miażdżyć czyjeś głowy.

- Zważywszy, że nie wiem, o co chodzi, jakże mogłabym się tego domyślić - odcięła się.

Przeszukałem mu ubranie. W jednej kieszeni w spodniach miał luzem trochę monet i banknotów, a w drugiej wytłaczany skórzany portfelik na klucze i scyzoryk. W tylnej lewej kieszeni znalazłem jeszcze zwitek banknotów, polisę ubezpieczeniową, prawo jazdy i parę recept. W kieszeni marynarki luzem zapalki, zatknięty za kieszeń złoty ołówek, dwie batystowe chusteczki, cienkie i białe jak płatki delikatnego szronu. Dalej emaliowaną papierośnicę, z której, jak widziałem, wyjmował swoje brunatne papierosy ze złożonymi ustnikami. Były południowoamerykańskie, z Montevideo. A w drugiej wewnętrznej kieszeni znalazłem drugą papierośnicę, której przedtem nie widziałem. Była z haftowanego jedwabiu, po obu stronach ozdobiona smokami, z szylkretowym zameczkiem takim cienkim, że w ogóle trudno go było zauważyć. Muśnięciem palca otworzyłem zameczek i popatrzyłem na trzy za długie rosyjskie papierosy zatknięte za gumkę. Pomacałem jednego. Robił wrażenie starego, wyschłego i wiotkiego. Wszystkie trzy miały puste ustniki.

- Palił tamte inne - powiedziałem przez ramię. - Te musiał przechowywać dla jakiejś znajomej. Wygląda na chłopczyka, co ma kupę przyjaciółek.

Dziewczyna nachyliła się i oddychała mi teraz prosto w szyję.

- To pan go nie znał?

- Poznałem go dopiero dziś wieczorem. Wynajął mnie jako ochronę.

- Ładna ochrona.

Nic na to nie odpowiedziałem.

- Przepraszam - powiedziała prawie szeptem. - Nie znam oczywiście okoliczności. Myśli pan, że mogą być narkotyzowane? Mogę zobaczyć?

Podąłem jej haftowaną papierośnicę.

- Znałam kiedyś kogoś, kto palił narkotyzowane - powiedziała. - Trzy głębsze i trzy marihuany, i trzeba go było kluczem kanalizacyjnym odrywać od żyrandola.

- Proszę nie ruszać światłem.

Chwila ciszy i coś zaszeleściło. Zaraz odezwała się znowu:

- Przepraszam.

Oddała mi papierośnicę. Wsunąłem ją z powrotem do kieszeni. Wyglądało na to, że to wszystko. Wynikało z tego tylko tyle, że go nie okradziono.

Podniosłem się i wyjąłem portfel. Pięć dwudziestodolarówek tkwiło w nim nadal.

- Lepsze towarzystwo - powiedziałem. - Biorą tylko grubszą forszę.

Światło latarki padało nisko na ziemię. Schowałem z powrotem portfel, wsunąłem latareczkę do kieszeni i nagle sięgnąłem po pistolecik, który dziewczyna wciąż trzymała w tej samej ręce, co latarkę. Upuściła latarkę, ale pistolet jej zabrałem. Odsunęła się ode mnie szybko. Nachyliłem się i podniosłem latarkę. Na chwilę oświetliłem jej twarz, potem zgasłem latarkę.

- Nie musi się pan zachowywać brutalnie - powiedziała, wkładając ręce do kieszeni długiego zakietu z szorstkiego materiału, z poszerzonymi ramionami. - Ja nie sądzę, żeby to pan go zabił.

Podobał mi się jej chłodny, spokojny głos. Podobało mi się jej opanowanie. Przez moment staliśmy w ciemnościach naprzeciwko siebie nic nie mówiąc. Widziałem krzaki i odblaski światła na niebie.

Skierowałem światło na jej twarz. Zmrużyła oczy. Była to mała, wrażliwa twarz o wielkich oczach. Twarz, pod którą widać było subtelny rysunek kości, twarz jak skrzypce Stradivariusa. Bardzo miła twarz.

- Pani jest ruda - powiedziałem. - Wygląda pani na Irlandkę.

- I nazywam się Riordan. Co z tego? Niech pan zgasi to światło. Nie jestem ruda, włosy mam kasztanowe.

Zapytałem:

- Jak pani na imię?

- Anna. I niech mnie pan nie nazywa Anią.

- Skąd pani się tu wzięła?

- Wyjeżdżam sobie czasem w nocy na spacer. Po prostu nie mogę usiedzieć w domu. Mieszkam sama. Jestem sierotą. Znam tę okolicę jak własną kieszeń. Przejżdżałam właśnie i zobaczyłam, że w kotlinie miga światło. Pomyślałam, że dziś trochę za zimno dla młodych parok. I one przecież nie używają światła, co?

- Ja nigdy nie używałem. Strasznie pani ryzykowała, Anno.

- To samo bym powiedziała o panu. Miałam pistolet. Nie bałam się. Żadne prawo nie zakazuje tu wjeżdżać.

- Uhm. Tylko prawo samozachowawcze. Proszę. Dziś w nocy nie na mnie kolej być sprytnym. Przypuszczam, że ma pani pozwolenie na broń.

Podąłem jej pistolet kolbą naprzód. Przyjęła go i wsunęła do kieszeni.

- To dziwne, jacy ludzie bywają ciekawi, nie? Ja trochę pisuję. Artykuły sensacyjne.

- Daje to jakieś pieniądze? .

- Cholernie mało. Czego pan szukał... po jego kieszeniach?

- Niczego szczególnego. To moja pasja. Mieliśmy ze sobą osiem tysięcy na wykupienie klejnotów skradzionych pewnej damie. Ograbili nas. Dlaczego go zabili, nie wiem. Moim zdaniem, nie wyglądał na faceta, który by się bardzo stawiał. I nie słyszałem walki. Kiedy go dopadli, byłem na dole w kotlinie. On był na górze w

wozie. Mieliśmy wjechać do kotlinki, ale wydało mi się, że jest za wąsko, żeby wprowadzić wóz i nie podrapać go. Więc zszedłem tam pieszo i to wtedy, kiedy tam byłem, musieli go załatwić. Potem któryś z nich wsiadł do wozu i trzepnął mnie na sucho. Oczywiście myślałem, że to on wciąż siedzi w wozie.

- To znaczy, że nie był pan taki strasznie tępy - powiedziała.

- Coś mi się w tej pracy nie podobało od samego początku. Czułem, że coś jest nie tak. Ale potrzebna mi była ta forsa. Teraz muszę iść na policję i świecić oczami. Podwieź mnie pani do Montemar Vista? Tam zostawiłem swój wóz. On tam mieszkał.

- Oczywiście. Ale chyba któreś z nas powinno przy nim zostać. Może pan weźmie mój wóz... albo może ja pojedę i wezwę policję.

Spojrzałem na zegarek. Lekko świecące wskazówki zbliżały się do północy.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem, dlaczego. Chyba tak będzie lepiej. Załatwię to sam.

Nic nie powiedziała. Zeszliśmy z powrotem w dół, wsiedliśmy do jej samochodziku, zapaliła silnik, wykręciła wóz bez włączania świateł, wprowadziła go na wzgórze i wyjechała przez lukę w barierze. Włączyła światło za najbliższą przecznicą.

Bolała mnie głowa. Jechaliśmy w milczeniu aż do pierwszego domu na asfaltowej części ulicy.

- Powinien się pan czegoś napić - powiedziała. - Może byśmy pojechali do mnie na coś mocniejszego? Może pan ode mnie zadzwonić na policję. I tak muszą przyjeżdżać z Zachodniego Los Angeles. Tu jest tylko straż pożarna.

- Niech już pani jedzie prosto na wybrzeże. Sam się tym zajmę.

- Ale dlaczego? Ja się ich nie boję. Moje zeznanie może panu pomóc.

- Nie potrzebuję pomocy. Muszę się zastanowić. Chcę być przez chwilę sam.

- Ja... Dobrze... - wymamrotała.

Usłyszałem jakiś nieokreślony gardłowy dźwięk i skręciła na bulwar. Dojechaliśmy do stacji benzynowej przy nadmorskiej szosie i skręciliśmy na północ, do Montemar Vista i przydrożnej kawiarenki. Była oświetlona jak luksusowy liniowiec. Dziewczyna

wjechała w zatoczkę przy krawężniku, ja wysiadłem i przytrzymałem drzwi. Wymacałem w portfelu wizytówkę i podałem jej.

- Któregoś dnia może pani potrzebować silnego ramienia - powiedziałem. - Niech mi pani da znać. Tylko niech mnie pani nie wzywa, gdyby sprawa wymagała inteligencji.

Postukała moją wizytówką o kierownicę i powiedziała powoli:

- Mnie pan znajdzie w książce telefonicznej Bay City. Ulica Dwudziesta Piąta osiemset dziewiętnaście. Należy mi się medal z bruku za pilnowanie własnego nosa. Niech pan wpadnie dokonać dekoracji. Myślę, że jeszcze wciąż kręci się panu w głowie od tego ciosu.

Szybko zawróciła wozem na szosę i zobaczyłem, jak jej bliźniacze światła odblaskowe rozplywają się w ciemności.

Minąłem łuk mostu i kawiarenkę, poszedłem na parking i wsiałem do swojego samochodu. Przed sobą miałem bar i znowu rzucały mną dreszcze. Wydało mi się jednak, że mądrzej zrobię, jeżeli wejdę na posterunek policji w Zachodnim Los Angeles tak, jak to zrobiłem dwadzieścia minut później: trzeźwy jak niemowlę i zielony na twarzy jak nowy banknot dolarowy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Minęło półtorej godziny. Ciało już było zabrane, teren przeszukany, a ja opowiedziałem swoje ze trzy czy cztery razy. Siedzieliśmy we czterech w pokoju dyżurnego na posterunku w Zachodnim Los Angeles. W budynku panowała cisza, tylko jakiś pijak w celi w oczekiwaniu na odwiezienie do śródmieścia na pierwszą poranną rozprawę sądową wydawał okrzyki australijskiego Buszmena.

Ostre białe światło padało spoza szkła reflektora na płaską powierzchnię stołu, na której rozłożono przedmioty wyjęte z kieszeni Lindsaya Marriotta, przedmioty wyglądające teraz tak samo martwo i bezdomnie jak ich właściciel. Mężczyzna za stołem naprzeciwko mnie nazywał się Randall i reprezentował Wydział do Spraw Zabójstw w Centrali w Los Angeles. Był to mężczyzna pięćdziesięcioletni, szczupły i spokojny, o gładkich, żółtawosiwych włosach i zimnych oczach. Zachowywał dystans. Miał ciemnoczerwony krawat w czarne kropki, które bezustannie tańczyły mi przed oczami. Za nim i za smugą światła przyczało się dwóch potężnych byków jak dwaj prywatni goryle pilnujący z obu stron moich uszu.

Ugniotłem w palcach papierosa, zapaliłem i poczułem, że mi nie smakuje. Siedziałem i przyglądałem się, jak spala mi się w palcach. Czułem się, jakbym miał z osiemdziesiąt lat i jakby proces starzenia się postępował dalej bardzo szybko.

- Im częściej opowiada pan tę bajeczkę, tym głupiej ona brzmi - mówił chłodno Randall. - Ten Marriott bez wątpienia już od kilku dni omawiał z nimi warunki złożenia

okupu i nagle, na parę godzin przed ostatecznym spotkaniem, dzwoni do człowieka najzupełniej obcego i najmuje go jako ochronę.

- Właściwie nie jako ochronę - wtrąciłem. - Nawet mu nie powiedziałem, że mam broń. Do towarzystwa.

- Skąd się o panu dowiedział?

- Najpierw mówił, że od wspólnego znajomego. A potem, że po prostu znalazł moje nazwisko w książce telefonicznej.

Randall delikatnie pogrzebał wśród rzeczy leżących na stole i wydobyl białą kartę, jakby dotykał czegoś niezbyt czystego. Pchnął ją przez stół.

- Miał pana kartę wizytową. Taką dla klientów.

Spojrzałem na wizytówkę. Leżała wśród banknotów razem z kilkoma innymi kartami wizytowymi, których nie potrudziłem się przejrzeć w kotlinie kanionu Purissima. Rzeczywiście to była moja wizytówka. I rzeczywiście wyglądała dosyć brudno jak na człowieka typu Marriotta. W jednym rogu miała okrągłą tłustą plamę.

- Jasne - powiedziałem. - Rozdaję swoje wizytówki, ile razy nadarzy mi się okazja. To oczywiste.

- Marriott powierzył panu pieniądze - zauważył Randall. - Osiem tysięcy dolarów. Okazał sporo zaufania.

Zaciągnąłem się papierosem i wydmuchnąłem dym ku sufitowi. Światło raziło mnie w oczy. Czulem ból w potylicy.

- Przykro mi, ale nie mam tych ośmiu tysięcy.

- Oczywiście. Nie siedziałby pan tutaj, gdyby je pan miał. A może tak?

Na twarzy odbiła mu się teraz chłodna drwina, wyglądało to jednak sztucznie.

- Dużo bym zrobił za osiem tysięcy - powiedziałem. - Ale gdybym chciał uśpić faceta na kichę, uderzyłbym go najwyżej dwa razy w potylicę.

Randall leciutko skinął głową. Jeden z tajniaków za jego plecami splunął do kosza na śmieci.

- To jedna z zastanawiających okoliczności. Morderstwo wygląda na robotę amatorską, ale oczywiście mogło tak być celowo zaaranżowane. Te pieniądze nie należały do Marriotta, co?

- Nie wiem. Odniosłem wrażenie, że nie, ale to było tylko wrażenie. Nie chciał mi powiedzieć, kim jest zamieszana w tę sprawę kobieta.

- Nic o Marriottcie nie wiemy... jak dotąd - powiedział powoli Randall. - Przypuszczam jednak, że nie jest wykluczone, że on sam chciał ukraść te osiem tysięcy.

- Hm? - zdziwiłem się.

Prawdopodobnie to okazałem. Wyraz gładkiej twarzy Randalla nie uległ zmianie.

- Przeliczył pan pieniądze?

- Ależ nie. Po prostu przyjąłem paczkę. Były w niej pieniądze i wyglądało na to, że jest ich dużo. Powiedział, że osiem tysięcy. Po co miałby je kraść ode mnie, jeżeli już je miał, zanim ja się pojawiłem na scenie?

Randall popatrzył w kąt sufitu i ściągnął w dół kąciki ust. Wzruszył ramionami.

- Cofnijmy się trochę - zaczął. - Napadli na Marriotta i jakąś kobietę, zabrali ten nefrytowy naszyjnik i inne rzeczy, a potem zaproponowali zwrot za sumę niewątpliwie dosyć niską, zważywszy przypuszczalną wartość klejnotów. Marriott miał doręczyć ten okup. Zamierzał doręczyć go sam i nie wiemy, czy tamci sobie to zastrzegli i czy była o tym mowa. Zwykle w takich sprawach są dosyć drobiazgowi. Ale Marriott najwidoczniej doszedł do wniosku, że może zabrać pana ze sobą. Obydwaj sądziliście, że macie do czynienia ze zorganizowanym gangiem i że tamci będą przestrzegali reguł swojego zawodu. Marriott miał pietra. To by nie było nic dziwnego. Chciał kogoś mieć ze sobą. Pan był tym kimś. Pan jednak jest dla niego człowiekiem zupełnie obcym, ot, nazwiskiem z wizytówki, którą dostał nie wiadomo od kogo, według niego od jakiegoś wspólnego znajomego. Wreszcie w ostatniej chwili Marriott decyduje się, żeby panu oddać pieniądze i żeby to pan załatwił sprawę, a sam się chowa w głębi wozu. Pan mówi, że to był pana pomysł, ale on mógł się z tym liczyć, że pan to zaproponuje, a gdyby pan nie zaproponował, jemu mogłoby to wpaść do głowy.

- Z początku mu się ten pomysł nie podobał - powiedziałem.

Randall znów wzruszył ramionami.

- Udawał, że mu się nie podoba... ale ustąpił. Więc wreszcie dostaje telefon i ruszacie na opisane przez niego miejsce. Wszystko to wychodzi od Marriotta. Pan wie tylko to, co on panu powiedział. Kiedy tam zajeżdżacie, ma pan wrażenie, że nikogo nie ma. Powinien pan wjechać do tej kotlinki, ale przejazd wydaje się za wąski na ten duży samochód. I w gruncie rzeczy nie był wystarczająco szeroki, bo po lewej stronie wóz jest paskudnie porysowany. No i wysiada pan, idzie pan do tej kotlinki, nic pan nie słyszy ani nie widzi, czeka pan parę minut i wraca do wozu, a wtedy ktoś,

kto w nim siedział, wali pana w potylicę. Przypuśćmy, że to Marriott chciał zgarnąć te pieniądze i zwalić na pana... czy nie postąpiłby właśnie w taki sposób?

- Nic ująć, nic dodać - powiedziałem. - Marriott mnie ogłuszył, zabrał forszę, ale potem pożałował i roztrzaskał sobie czaszkę. Oczywiście przedtem zakopał forszę pod krzaczkiem.

Randall spojrział na mnie nieporuszony.

- To jasne, że miał pomocnika. Obaj mieliście dostać po głowie, a pomocnik miał dać nogę z pieniędzmi. Tylko że ten pomocnik przechytrzył Marriotta i zabił go. Pana zabijać nie musiał, bo pan go nie zna.

Popatrzyłem na niego z podziwem i zdusiłem niedopałek w drewnianej popielniczce, która kiedyś miała w środku szkło.

- Moja teoria pasuje do faktów... o ile je znamy - ciągnął spokojnie Randall. - Nie jest wcale głupsza od wszystkich innych teorii, jakie moglibyśmy w obecnej chwili wymyślić.

- Z jednym faktem się nie zgadza... Przecież uderzył mnie ktoś, kto siedział w samochodzie. To by mi kazało podejrzewać Marriotta... niezależnie od innych faktów. Ale jego nie podejrzewam, bo został zabity.

- Najbardziej właśnie pasuje do tej teorii sposób, w jaki pana ogłuszyli - powiedział Randall. - Nie wspominał pan Marriottowi, że pan ma broń, ale mógł zobaczyć, że coś panu sterczy pod pachą, albo mógł pana po prostu o to podejrzewać. Więc chciał pana wtedy uderzyć, kiedy pan się nie będzie spodziewał. A nie spodziewał się pan żadnego niebezpieczeństwa właśnie z głębi wozu.

- W porządku - zgodziłem się. - Przekonał mnie pan. Ta teoria pasuje, jeżeli cały czas zakładamy, że pieniądze nie należały do Marriotta, że je chciał ukraść i że miał pomocnika. Zaplanował sobie, że w pewnej chwili obaj ockniemy się z guzami na głowie, bez pieniędzy, że się przeproszą, idziemy do domu i zapominamy o wszystkim. Tak się to kończyło? To znaczy, czy wyobrażał sobie, że tak się to skończy? Przecież i on musiał być przekonany, że to zagra.

Randall uśmiechnął się krzywo.

- I mnie się to nie podoba. Po prostu sprawdzałem tę teorię. Zgadza się z faktami, o ile je znam, a nie znam ich za dobrze.

- Za mało wiemy, żeby bodaj zacząć teoretyzować - powiedziałem. - Dlaczego nie mielibyśmy założyć, że mówił prawdę i że może rozpoznał jednego z bandytów?

- Mówi pan, że pan nie słyszał żadnej walki, żadnego krzyku?

- Nie słyszałem. Ale mogli go szybko złapać za gardło. Albo mógł się tak przestraszyć, że ani pisnął, kiedy się na niego rzucili. Powiedzmy, że obserwowali nas zza krzaków i zobaczyli, że schodzę na dół. Pamięta pan, że oddaliłem się trochę. Ponad trzydzieści kroków. Wtedy oni podchodzą, zaglądną do wozu i znajdują tam Marriotta. Ktoś mu przystawia pistolet do oczu i każe po cichu wyjść. Wtedy go ogłuszają. Ale coś, co powiedział, czy też jego mina każe im przypuszczać, że któregoś z nich poznał.

- Po ciemku?

- Owszem - obstawałem przy swoim. - To musiało być coś takiego. Pewne głosy zostają człowiekowi w pamięci. Ludzi się poznaje nawet po ciemku.

Randall potrząsnął głową.

- Jeżeli to był zorganizowany gang bajterów, nie zabiliby bez szczególnej prowokacji.
- Urwał nagle i jego oczy zrobiły się szklane. Zamknął usta bardzo powoli, bardzo mocno. Coś mu przyszło do głowy. - Przechwycenie - powiedział.

Kiwnąłem głową.

- Zdaje się, że to jest myśl.

- I jeszcze coś - powiedział. - Jak się pan tu dostał?

- Własnym autem.

- A gdzie stało pana auto?

- W dole przy Montemar Vista, na parkingu kawiarni.

Spojrzał na mnie z głębokim namysłem. Dwóch tajniaków za jego plecami nie spuszczało ze mnie podejrzliwego wzroku. Pijak w celi usiłował jodłować, ale miał chrypę i to go zniechęcało. Zaczął płakać.

- Wróciłem pieszo do szosy - powiedziałem. - Zatrzymałem jakiś samochód. Prowadziła go samotna dziewczyna. Zatrzymała się i podwiozła mnie w dół.

- To ci dziewczyna. Późno w noc, żywego ducha na szosie, a ona się zatrzymuje.

- Noo. Są dziewczyny zdolne do tego. Nie zdążyłem jej poznać, ale wyglądała na przyzwoitą.

Przyjrzałem im się, wiedząc, że mi nie wierzą, i zastanowiłem się, dlaczego zmyślam tę bajeczkę.

- To było małe auto - dodałem. - Chevrolet coupé. Nie zanotowałem numeru.

- Ha, nie zanotował numeru - powtórzył jeden z tajniaków i znowu splunął do kosza na śmieci.

Randall pochylił się do przodu i przyjrzał mi się uważnie.

- Na pańskim miejscu, Marlowe, dałbym spokój, jeżeli ukrywa pan coś z myślą, żeby samemu zająć się tą sprawą i zrobić sobie trochę reklamy. Nie wszystko w pana relacji mi się podoba i dam panu czas, żeby pan sobie to przez noc przemyślał. Jutro będę pana prawdopodobnie prosił o zeznanie pod przysięgą. Tymczasem pozwoli pan, że dam panu pewną radę. Chodzi o morderstwo, a to już sprawa policji, i nie życzymy sobie pańskiej pomocy, nawet gdyby się mogła przydać. Chcemy od pana tylko faktów, jasne?

- Jasne. Czy mogę już iść do domu? Nie czuję się dobrze.

- Może pan już iść do domu.

Spojrzenie miał lodowate.

Wstałem i ruszyłem do drzwi w głuchym milczeniu. Kiedy zrobiłem już cztery kroki, Randall odchrząknął i zagadnął od niechcienia:

- Ale, ale, jeszcze jeden drobiazg. Czy nie zauważył pan, jakie papierosy palił Marriott?

Odwrociłem się.

- Owszem. Brunatne. Południowoamerykańskie, we francuskiej papierošnicy z emalii.

Randall pochylił się do przodu, wyłowił haftowaną jedwabną papierošnicę spośród przedmiotów na stole i przyciągnął ją do siebie.

- A to pan kiedy widział?

- Jasne, właśnie się jej przyglądam.

- Ja pytam, czy nie widział jej pan wcześniej dziś wieczorem.

- Zdaje mi się, że tak. Gdzieś ją widziałem. A o co idzie?

- Nie przeszukiwał pan ciała?

- Niech już będzie - powiedziałem. - Tak. Przejrzałem mu kieszenie. Ta papierośnica była w kieszeni. Przykro mi, ale to zwyczajna ciekawość zawodowa. Nic nie poruszyłem. Ostatecznie to przecież był mój klient.

Randall ujął haftowaną papierośnicę oburącz i otworzył ją. Siedział i patrzył. Była pusta. Trzy papierosy zniknęły.

Mocno zaciąłem zęby i utrzymałem wyraz zmęczenia na twarzy. Nie poszło to łatwo.

- Czy nie widział pan, żeby zapalał papierosa z tej papierośnicy?

- Nie.

Randall chłodno skinął głową.

- Jak pan widzi, jest pusta. Mimo to jednak miał ją w kieszeni. Jest w niej trochę proszku. Dam go do zbadania pod mikroskopem. Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że to marihuana.

- Gdyby miał marihuanę - powiedziałem - sądzę, że chętnie by sobie pociągnął dziś wieczorem. Potrzebował czegoś podnoszącego na duchu.

Randall ostrożnie zamknął pudełeczko i odsunął je od siebie.

- To wszystko - rzucił na pożegnanie. -I niech się pan nie wtrąca.

Wyszedłem.

Na dworze mgła opadła i gwiazdy świeciły jasno jak zrobione z chromu na niebie z czarnego aksamitu. Jechałem szybko. Miałem wielkie pragnienie, a bary były pozamykane.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wstałem o dziewiątej, wypłem trzy filiżanki czarnej kawy, obmyłem sobie potylicę w lodowatej wodzie i przeczytałem obydwie poranne gazety, które położono mi pod drzwi. Znalazłem jeden akapit i parę linijek poświęconych Myszce Malloyowi, ale Nulty'emu nie udało się umieścić swojego nazwiska. O Lindsayu Marriotcie nie było wzmianki, chyba że umieszczono ją w kronice towarzyskiej.

Ubrałem się, zjadłem dwa jajka na miękko, wypłem czwartą filiżankę kawy i obejrzałem się w lustrze. Oczy wciąż jeszcze miałem trochę podkrążone. Kiedy otwierałem już drzwi, żeby wyjść, zadzwonił telefon.

Był to Nulty. Mówił ze złością:

- Marlowe?

- Tak. Złapał go pan?

- O, tak. Mamy go. - Urwał i roześmiał się szyderczo. - Na drodze do Ventura, jak mówiłem. Aleśmy mieli zabawę! Sześć stóp i sześć cali, zbudowany jak keson, jechał do San Francisco na Wystawę. Na przednim siedzeniu wynajętego grata miał pięć ćwiartek i z szóstej popijał prowadząc spokojniutko siedemdziesiąt na godzinę. Wystarczyło zmobilizować dwóch stanowych glinów ze spluwami i pałkami.

Tu przerwał, a ja już przygotowałem w myśli parę dowcipnych powiedzonek, ale w tej chwili żadne z nich nie wydało mi się zabawne. Nulty mówił dalej:

- No, więc poćwiczył trochę z tymi glinami, a kiedy już byli tacy zmęczeni, że się pospali, zaparkował przy nich, wyrzucił radio do rowu i sam zasnął. W jakiś czas potem chłopaki się ocknęli i z dziesięć minut tłukły go pałkami po głowie, zanim zauważył. Kiedy się zaczął niecierpliwic, założyli mu bransoletki. Bez trudu. Przymknęliśmy ptaszka. Prowadzenie wozu po pijanemu, picie w samochodzie, obraza funkcjonariusza policji przy pełnieniu obowiązków służbowych dwa razy, złośliwe niszczenie własności publicznej, usiłowanie ucieczki z aresztu, przestępstwo mniejsze od rozmyślnych prób okaleczenia, zakłócenie spokoju i parkowanie na szosie. To ci zabawa, co?

- O co ci chodzi? - zapytałem. Nie opowiadasz mi tego, żeby się przechwalać.

- To był nie ten facet - Odpowiedział z furią Nulty. - Ten ptaszek nazywa się Stojanowski, mieszka w Hemet i właśnie skończył pracę nurka przy budowie tunelu San Jack. Żona i czworo dzieci. No, ale baba się wścieknie. Co pan robi z Malloyem?

- Nic. Boli mnie głowa.

- Jak tylko będzie pan miał chwilę wolnego czasu...

- Nie liczę na to - przerwałem mu. - Ale dziękuję. Kiedy szykuje się przesłuchanie u koronera w sprawie tego Murzyna?

- Niech się pan nie martwi - warknął Nulty i położył słuchawkę.

Pojechałem na Hollywood Boulevard, wstawiłem wóz na parking przy biurowcu i dostałem się windą na swoje piętro. Otworzyłem drzwi do maleńkiej poczekalni. Nigdy nie zamykałem ich na klucz, na wypadek gdyby zjawił się klient gotów czekać.

Panna Anna Riordan spojrzała na mnie znad magazynu i uśmiechnęła się.

Miała na sobie tabaczkowego koloru kostium, a pod nim biały golf. W świetle dnia jej włosy były wyraźnie kasztanowe, a na nich siedział kapelusz o główce nie większej

niż szklaneczka whisky i kresach, w których można by schować całotygodniowe pranie. Siedział jej na głowie pod kątem około czterdziestu pięciu stopni, tak że krawędzią runda prawie dotykał ramienia. Mimo to wyglądał sztywnie. A może właśnie dlatego.

Miała mniej więcej dwadzieścia osiem lat. Dosyć wąskie czoło, wyższe, niż wymaga elegancja. Nos mały i wścibski, górną wargę odrobinę za długą, a usta więcej niż odrobinę za szerokie. Oczy szaroniebieskie, cętkowane złotem. Miły uśmiech. Wyglądała na porządnie wyspaną. Była to miła twarz, z tych, których nie sposób nie lubić. Ładna, ale nie w ten sposób ładna, żeby trzeba było zabierać ze sobą kasztet, ile razy zaprosi się ją do lokalu.

- Nie wiedziałam dokładnie, jakie są pana godziny przyjęć - powiedziała. - Więc czekałam. Zdaje się, że pana sekretarka dziś nie przyszła.

- Nie mam sekretarki.

Przeszedłem przez poczekalnię, żeby otworzyć drzwi do kancelarii, i włączyłem brzęczyk połączony z drzwiami wejściowymi.

- Wejdźmy do mojej celi skupienia.

Minęła mnie w przejściu, owiewając lekkim zapachem bardzo suchego drzewa sandałowego, zatrzymała się i popatrzyła na pięć zielonych szafek ze skoroszytami, na wytarty rdzawoczerwony dywan, niedbale omiecione z kurzu graty i niezbyt czyste zasłony.

- Zdaje mi się, że przydałby się panu ktoś do odbierania telefonów - zauważyła. - Kto by od czasu do czasu odsyłał pana zasłony do pralni.

- Odeślę je sam. Na święty nigdy. Niech pani siada. Czasem tracę parę małych ważnych zleceń. I mam dużo bieganiny. Ale oszczędzam forszę.

- Rozumiem - odpowiedziała z powagą, pieczołowicie kładąc wielką zamszową torebkę na rożku pokrytego szkłem biurka. Usiadła wygodniej i wzięła jednego z moich papierosów. Zapalając go dla niej oparzyłem sobie palec papierową zapalką.

Wypuściła wachlarz dymu i uśmiechnęła się spoza niego. Ładne, dosyć duże zęby.

- Pewno się pan nie spodziewał, że tak prędko spotkamy się znowu. Jak pańska głowa?

- Kiepsko. Nie, nie spodziewałem się.

- Policja grzecznie się z panem obeszła?

- Mniej więcej tak jak zawsze.
- Nie przeszkadzam panu w czymś ważnym?

- Nie.

- Mimo to zdaje mi się, że nie jest pan zanadto zadowolony z moich odwiedzin.

Nabiłem fajkę i sięgnąłem po zapaliki. Ostrożnie zapaliłem fajkę. Przyglądała się temu z aprobatą. Mężczyźni palący fajki to ludzie solidni. Czekają ją rozczarowanie co do mojej osoby.

- Staralem się nie mieszać pani do tego - powiedziałem. - Właściwie sam nie wiem, dlaczego. Ale teraz to już nie moja sprawa. Wczoraj wieczorem wypilem piwo, którego sam nawarzyłem, zaaplikowałem sobie butelkę jako środek nasenny i dziś to już sprawa policji. Ostrzegli mnie, żebym się nie wtrącał.

- Powodem, dla którego starał się pan mnie w to nie mieszać - wyjaśniła spokojnie - były pańskie obawy, że policja nie uwierzy, aby mogła mnie tam wczoraj ściągnąć do tej kotlinki zwykła niewinna ciekawość. Doszukałoby się jakichś brudnych pobudek i wycisnęliby mnie jak cytrynę.

- Skąd pani wie, że ja też nie byłem tego zdania?

- I gliny to tylko ludzie - zauważyła bez związku.

- Podobno zaczynają jako ludzie.

- O dziś rano jesteśmy w cynicznym nastroju. - Rozejrzała się po kancelarii leniwym, ale uważnym spojrzeniem. - Czy panu to dobrze idzie? To znaczy, finansowo? To jest, czy pan dużo zarabia... z takimi gratami?

Chrząknąłem.

- A może powinnam raczej pilnować własnego nosa i nie zadawać impertynenckich pytań?

- Nie wiem, czyby się to pani udało.

- No, staramy się właśnie o to oboje. Niech mi pan powie, dlaczego krył mnie pan wczoraj wieczorem? Czy to z tego powodu, że mam rudawe włosy i jestem zgrabna?

Nie odpowiedziałem.

- Spróbujmy czego innego - powiedziała wesoło. - Chciałby pan wiedzieć, do kogo należał ten nefrytowy naszyjnik?

Czułem, jak twarz mi sztywnieje. Wytężyłem myśli, ale nie mogłem sobie przypomnieć na pewno. Nagle jednak przypomniałem sobie. Nie mówiłem jej ani słowa o nefrytowym naszyjniku.

Sięgnąłem po zapalki i zapaliłem na nowo zgasłą fajkę.

- Nie zależy mi tak bardzo na tym. A dlaczego pani pyta?

- Bo ja wiem.

- Uhum.

- Jak się to objawia, kiedy pan wpada w prawdziwie gadatliwy nastrój... kiwa pan palcem w bucie?

- Dobra - warknąłem. - Po to pani tu przyszła. W porządku, niech pani mówi.

Niebieskie źrenice rozszerzyły się i przez chwilę wydało mi się, że trochę zwilgotniały. Przygryzła górną wargę i przytrzymała ją tak, spuszczając wzrok na biurko. Następnie wzruszyła ramionami, puściła przygryzioną wargę i szczerze się do mnie uśmiechnęła.

- O, wiem, że jestem okropnie wścibska. Ale mam w sobie coś z psa gończego. Mój ojciec był policjantem. Nazywał się Cliff Riordan i przez siedem lat był naczelnikiem policji w Bay City. Myślę, że to dlatego.

- Zdaje się, że sobie przypominam. Co się z nim stało?

- Zwolnili go. To go załamało. Banda szulerów, na której czele stał niejaki Laird Brunette, zorganizowała sobie pomyślnie wybory na burmistrza. Powierzyli więc tatusiowi kartotekę i dział identyfikacji, które w Bay City są rozmiarów znaczka pocztowego. Toteż tatuś to rzucił, objął się jeszcze parę lat, i wkrótce potem zmarł. Mama zmarła niedługo po nim. I dwa lata już jestem sama.

- Przepraszam - powiedziałem.

Zdusiła papierosa. Nie było na nim śladu szminki.

- To dlatego zawracam panu głowę tą historią, że to tłumaczy, dlaczego daję sobie radę z policją. Sądzę, że powinnam to była powiedzieć panu wczoraj wieczorem. Dowiedziałam się więc dziś rano, kto się zajmuje tą sprawą, i poszłam go odwiedzić. Z początku był trochę zły na pana.

- Nie szkodzi - uspokoiłem ją. - Gdybym nawet powiedział mu całą prawdę, i tak by mi nie uwierzył. Najwyżej odgryzie mi ucho.

Miała urażoną minę. Wstałem i otworzyłem drugie okno. Hałas ruchu ulicznego wpadał do pokoju falami, jak mdłości. Czułem się parszywie. Wysunąłem najniższą szufladę biurka, wydobylem biurową whisky i nalałem sobie szklaneczkę.

Panna Riordan przyglądała mi się z dezaprobatą. Już nie byłem solidnym człowiekiem. Nic nie powiedziała. Wypiłem, odstawiłem butelkę na miejsce i usiadłem.

- Nie poczęstował mnie pan - powiedziała chłodno.

- Przepraszam. Dopiero jedenasta, a może nawet jeszcze nie. Nie wygląda mi pani na osobę pijącą.

W kącikach oczu zarysowały jej się zmarszczki.

- Czy to komplement?

- W moim środowisku tak.

Zastanowiła się nad tym. Nie miało dla niej znaczenia, jak zresztą i dla mnie, kiedy się też zastanowiłem. Ale po whisky poczułem się dużo lepiej.

Pochyliła się do przodu i powoli przeciągała rękawiczkami po szkle na biurku.

- Może chciałby pan zaangażować sobie pomoc? Gdyby to pana kosztowało tylko dobre słowo od czasu do czasu?

- Nie.

Skinęła głową.

- Tak też myślałam, że pewno nie. Najlepiej powiem panu tylko, co wiem, i pójdę do domu.

Nic nie odpowiedziałem. Znowu zapaliłem fajkę. Z fajką człowiek wygląda na zamyślonego, kiedy nic nie myśli.

- Przede wszystkim przyszło mi do głowy, że tego rodzaju naszyjnik jest na pewno przedmiotem muzealnym i dobrze znanym - zaczęła.

Trzymałem zapaloną zapalniczkę w powietrzu, przyglądając się, jak płomień podpełza mi do palców. Zdmuchnąłem ją bez pośpiechu, położyłem na popielniczkę i powiedziałem:

- Nic pani nie mówiłem o żadnym nefrytowym naszyjniku.

- Tak, ale powiedział mi porucznik Randall.
- Powinno mu się założyć kłódkę na usta.
- On znał mojego ojca. Obiecałam nic nie mówić.
- Ale mówi pani.
- Pan i tak wie, głuptasie.

Jej ręka nagle frunęła w górę, jakby chciała położyć ją na ustach, ale zatrzymała się w połowie drogi, opadła powoli z powrotem i źrenice jej się rozszerzyły. Było to dobrze odegrane, tylko przedstawienie zepsuł fakt, że za dobrze ją znałem.

- Bo przecież pan wiedział? - wyrzuciła z siebie szeptem.
- Myślałem, że to diamenty. Bransoletka, para kolczyków, wisiorek, trzy pierścionki, do tego jeden ze szmaragdem.
- Kiepski dowcip. I niezbyt bystry.
- Nefryty Fei Tsui. Bardzo rzadkie. Szlifowane, około sześciu karatów każdy, razem sześćdziesiąt sztuk. Warte osiemdziesiąt tysięcy.
- Pan ma takie miłe brązowe oczy - powiedziała. - I zdaje się panu, że pan taki twardy.
- No więc do kogo ten naszyjnik należy i jak się pani dowiedziała?
- Dowiedziałam się bardzo łatwo. Pomyślałam sobie, że na pewno będzie wiedział najlepszy jubiler w mieście, więc poszłam i zapytałam kierownika sklepu u Blocka. Powiedziałam mu, że jestem pisarką i chcę napisać artykuł o rzadkich nefrytach... no, wie pan.
- A on uwierzył pani rudym włosom i zgrabnej figurce.

Zarumieniła się aż po skronie.

- No, w każdym razie powiedział mi. Naszyjnik należy do pewnej bogatej damy, która mieszka w Bay City, w posiadłości położonej w kanionie. Do pani Lewin Lockridge Grayle. Jej mąż jest właścicielem banku inwestycyjnego czy czegoś tam, straszliwie bogaty, wart ze dwadzieścia milionów. Był kiedyś właścicielem stacji radiowej w Beverly Hills, a pani Grayle tam pracowała. Ożenił się z nią pięć lat temu. To zabójcza blondyna. Pan Grayle to starszy człowiek, chory na wątrobę, przesiaduje w domu i zażywa kalomel, a pani Grayle bywa i bawi się wspaniale.

- Ten kierownik od Blocka - wtrąciłem - to bywały człowiek.

- Och, głuptas! Nie dowiedziałam się tego wszystkiego od niego. Tylko o naszyjniku. Resztę wiem od Giddy'ego Gertie Arbogasta.

Sięgnąłem do najniższej szuflady i po raz drugi wydobyłem butelkę.

- Jeszcze się okaże, że jest pan jednym z tych pijanych detektywów.

W jej głosie zabrzmiał niepokój.

- Dlaczego nie? Rozwiązują wszystkie sprawy bez najmniejszego wysiłku. Niech pani mówi dalej.

- Giddy Gertie prowadzi kronikę towarzyską w "Chronicle". Znam go od lat. Waży dwieście funtów i ma hitlerowski wąsik. Poszukał akt Grayle'ów w swoim archiwum. Niech pan popatrzy.

Sięgnęła do torebki i pchnęła mi przez biurko fotografię pięć na trzy.

Była to fotografia blondynki. Blondynki, na widok której biskup zdolny by był wybić dziurę w witrażu. Była ubrana wizytowo, pewno na czarno z białymi dodatkami, w odpowiednim kapeluszu i trochę wyniosła, ale nie zanadto. Miała wszystko, co trzeba, z którejkolwiek się spojrzało strony. Około trzydziestki.

Szybko nalałem do szklaneczki i przelękając sparzyłem sobie gardło.

- Niech pani to zabiera - powiedziałem. - Bo zacznę podskakiwać.

- No, przyniosłam to dla pana. Przecież będzie się pan chciał z nią zobaczyć.

Spojrzałem jeszcze raz na zdjęcie i wsunąłem je pod bibułę.

- Może dziś wieczorem o jedenastej?

- Niech pan posłucha, to nie żarty. Dzwoniłam do niej. Przyjmie pana. W sprawie tego naszyjnika.

- Można zacząć i tak.

Poruszyła się niecierpliwie, więc przestałem żartować i przystroiłem twarz z powrotem w stroskany wyraz doświadczonego weterana.

- W jakiej sprawie zobaczy się ze mną?

- Oczywiście w sprawie swojego naszyjnika. To było tak. Zadzwoiłam do niej i chociaż kosztowało mnie to wiele trudu, żeby rozmawiać z nią osobiście, dopięłam swego. Opowiedziałam jej bajeczkę tę samą, co kierownikowi od Blocka, ale to nie chwyciło. Sądząc po głosie, miała kaca. Wspomniała coś o porozumieniu się z jej sekretarzem, ale udało mi się utrzymać ją przy telefonie i zapytałam, czy to prawda, że ma naszyjnik z nefrytów Fei Tsui. Po zastanowieniu odpowiedziała, że tak. Zapytałam, czy mogę go zobaczyć. Zapytała mnie z kolei, po co? Powtórzyłam jeszcze raz swoją bajeczkę, ale i tym razem nie kupiła. Słyszałam, jak ziewa i objężdża kogoś obok za to, że mnie z nią połączył. Wtedy powiedziałam, że pracuję dla Filipa Marlowe. Zapytała na to: "No to co?" Dosłownie.

- Nie do wiary. Ale dzisiaj wszystkie damy z towarzystwa mówią jak ulicznice.

- Nie byłabym taka pewna - odparła ze słodyczą panna Riordan. - Może niektóre z nich są ulicznicami. Zapytałam ją więc, czy ma telefon bezpośredni, a ona mnie, co mnie to obchodzi. Ale zabawne, że nie położyła słuchawki.

- Myślała o tym nefrycie i nie wiedziała, do czego pani zmierza. I Randall mógł już do niej dzwonić.

Panna Riordan potrząsnęła głową.

- Nie, do niego zadzwoniłam później i nie wiedział, do kogo należy naszyjnik, dopóki mu nie powiedziałam. Był dosyć zdziwiony, że doszłam do tego.

- Przyzwyczaj się do pani - powiedziałem. - Chyba będzie musiał. I co dalej?

- Wtedy zapytałam panią Grayle: "Czy wciąż chce go pani odzyskać?" Tymi słowami. Nie wiedziałam, jak to powiedzieć inaczej. Musiało to być coś, co by ją trochę zaniepokoiło. I pomogło. Szybko podała mi inny numer. Zadzwoiłam pod ten numer i powiedziałam, że chciałabym ją zobaczyć. Robiła wrażenie zaskoczonej. Musiałam jej wszystko opowiedzieć. Nie podobało jej się to. Ale właśnie się zastanawiała, dlaczego nie ma wiadomości od Marriotta. Chyba myślała, że wyjechał z pieniędzmi na południe czy coś takiego. Więc mam się z nią widzieć o drugiej. Wtedy opowiem jej o panu, jaki to pan jest miły i dyskretny, i że będzie pan odpowiednim człowiekiem, żeby jej pomóc w odzyskaniu naszyjnika, jeżeli jeszcze jest szansa, i tak dalej. Już rozważa tę myśl.

Nic nie mówiłem, tylko popatrzyłem na nią. Wyglądała na urażoną.

- O co chodzi? Niedobrze postąpiłam?

- Nie potrafi pani w żaden sposób zrozumieć, że to już teraz jest sprawa policji, a mnie ostrzegli, żebym się nie mieszał?

- Pani Grayle ma niezaprzeczone prawo zaangażować pana, jeżeli zechce.

- Zaangażować do czego?

Niecierpliwie zamykała i otwierała torebkę.

- Och, mój Boże... taka kobieta... z jej urodą... czy pan nie rozumie... - Urwała i przygryzła wargę. - Co to za typ był ten Marriott?

- Ledwo go poznałem. Moim zdaniem wyglądał trochę na pederastę. Niezbyt mi się podobał.

- Czy należał do mężczyzn, co się podobają kobietom?

- Niektórym kobietom. Innym chce się rzygać.

- No, wygląda na to, że mógł się podobać pani Grayle. Bywała z nim.

- Prawdopodobnie bywa z setkami mężczyzn. Bardzo niewielka teraz szansa na odzyskanie tego naszyjnika.

- Dlaczego?

Wstałem, przeszedłem przez pokój i mocno uderzyłem dłonią w ścianę. Po drugiej stronie trzeszcząca maszyna na chwilę ustała, ale po sekundzie zaczęła trzaskać na nowo. Wyjrzałem przez otwarte okno w studnię między naszym budynkiem a hotelem "Mansion House", Zapach bijący z kawiarni był tak mocny, że można by na nim postawić garaż. Wróciłem do biurka, wstawiłem butelkę whisky z powrotem do szuflady, zasunąłem ją i usiadłem. Zapaliłem fajkę po raz ósmy czy dziewiąty i ponad niestarannie wytartym z kurzu szkłem spojrzałem ostrożnie na poważną i otwartą buzię panny Riordan.

Taką twarz można bardzo polubić. Wyszminekowanych blondyn można mieć tuzin za piątkę, ale taką twarz rzadko. Uśmiechnąłem się do niej.

- Posłuchaj, Anno. Zabijanie Marriotta było durnym błędem. Szajka organizująca ten napad nigdy by czegoś takiego nie odstawiła. Wiesz, co się musiało zdarzyć? Musieli sobie wziąć do pomocy jakiegoś nerwowego szczeniaka, który stracił głowę. Marriott zrobił fałszywy ruch i ten szczeniak go trzepnął, i to stało się tak szybko, że niczemu nie można było zapobiec. To zorganizowana szajka, dobrze poinformowana o klejnotach i zwyczajach kobiet, które je noszą. Żądają umiarkowanego wykupu i grają fair. A tu jest jeszcze to morderstwo, które w ogóle do wszystkiego nie pasuje. Moim zdaniem, ten, kto to zrobił, to już od kilku godzin truposz utopiony głęboko w Pacyfiku z ciężarkami u nóg. A nefryty albo poszły razem z nim, albo tamci mają jakieś pojęcie o ich prawdziwej wartości i ukryli je gdzieś, gdzie mogą długo poleżeć... może lata całe, zanim się ośmielą znowu je wydobyć. Albo, jeżeli to naprawdę duża szajka, nefryty mogą wypłynąć na drugiej półkuli. Te osiem tysięcy, których żądali, wydaje się bardzo małą sumą, jeżeli znali prawdziwą wartość nefrytu. Ale mieliby trudności ze

sprzedaniem. Jednego jestem pewny. Nie mieli najmniejszego zamiaru nikogo mordować.

Anna Riordan przysłuchiwała mi się z lekko rozchylonymi ustami i wyrazem fascynacji na twarzy, jakby patrzyła na dalajlamę.

Pomału zamknęła usta i raz skinęła głową.

- Pan jest wspaniały - powiedziała miękko. - Ale pomyłony.

Wstała i przygarnęła do siebie torebkę.

- Więc pójdzie pan zobaczyć się z nią czy nie?

- Randall nie może mi zabronić... jeżeli to wyjdzie od niej.

- W porządku. Idę do jeszcze jednego redaktora kroniki towarzyskiej i jeśli to możliwe, dowiem się czegoś więcej o Grayle'ach. O jej życiu uczuciowym. Przecież chyba ma jakieś.

Twarz obramowana kasztanowymi włosami miała wyraz rozmarzony.

- Kto go nie ma? - zadrwiłem.

- Ja nigdy nie miałam. Tak naprawdę.

Podniosłem rękę i zamknąłem sobie usta. Spojrzała na mnie ostro i skierowała się w stronę drzwi.

- O czymś pani zapomniała - powiedziałem.

Zatrzymała się i odwróciła.

- O czym?

Obrzuciła wzrokiem blat biurka.

- Pani cholernie dobrze wie, o czym.

Wróciła z powrotem do biurka i z powagą pochyliła się nad nim w moją stronę.

- Dlaczego by mieli zabijać tego, co zabił Marriotta, jeżeli nie bawią się w morderstwa?

- Bo to jest taki typ, który się kiedyś da złapać i będzie śpiewał... kiedy go odstawiają od tego, czym się tam szpikuje. Ja mówiłem, że oni nie zabijają klientów.

- Skąd pan taki pewny, że ten zabójca jest narkomanem?

- Nie jestem pewny. Tylko tak powiedziałem. Większość pederastów to narkomani.

- Och. - Wyprostowała się i skinęła głową z uśmiechem. - Przypuszczam, że pan to miał na myśli - powiedziała, a potem szybko wyjęła z torby i położyła na biurku małą bibułkową torebkę.

Sięgnąłem po nią, ostrożnie zdjąłem gumkę i rozwinałem papier. Znajdowały się w nim trzy grube i długie rosyjskie papierosy z ustnikami. Spojrzałem na nią nic nie mówiąc.

- Wiem, że nie powinnam była ich zabierać - tłumaczyła się prawie bez tchu. - Ale wiedziałam, co to za papierosy. Zwykle mają normalną bibułkę, ale ostatnio w okolicy Bay City skręcają je w ten sposób. Widziałam kilka. Pomyślałam sobie, że to nie najlepiej dla biedaka, żeby go znaleziono martwego z papierosami z marihuaną w kieszeni.

- Powinna pani była zabrać i papierośnicę - zauważyłem spokojnie. - Zostały w niej okruchy. I podejrzane było, że jest pusta...

- Nie mogłam... przy panu. Już... już miałam tam wrócić i zabrać ją. Ale właściwie nie starczyło mi odwagi. Czy miał pan z tego powodu kłopoty?

- Nie - skłamałem. - Dlaczego miałbym mieć jakieś kłopoty?

- Cieszę się, że nie - powiedziała rozmarzonym tonem.

- Dlaczego pani nie wyrzuciła tych papierosów?

Zastanowiła się nad tym. Torebkę przyciskała do boku, a absurdalnie szerokie rondo kapelusza przekrzywione było tak, że zasłaniało jej jedno oko.

- Chyba dlatego, że jestem córką policjanta - wyjaśniła wreszcie. - Po prostu nie wyrzuca się dowodów rzeczowych.

Jej uśmiech był kruchy i pełen winy, a policzki zarumienione. Wzruszyłem ramionami.

- No... - słowo to zawisło w powietrzu jak dym w zamkniętym pokoju. Usta panny Riordan pozostały uchylone. Nie pomagałem jej. Rumieniec pogłębił się na jej twarzy.

- Bardzo mi przykro. Nie powinnam była tego robić.

I to przemilczałem.

Bardzo szybko podeszła do drzwi i zniknęła.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Szturchnąłem jeden z tych rosyjskich papierosów palcem, po czym jeden przy drugim ułożyłem je równym rzędkiem i skrzywnąłem krzesłem. Po prostu nie wyrzuca się dowodów rzeczowych. Więc są dowodem rzeczowym. Dowodem czego? Że ten człowiek od czasu do czasu palił marihuanę, człowiek, który wyglądał na takiego, dla którego wszystko, co egzotyczne, było pociągające. Z drugiej strony wielu twardych chłopaków pali marihuanę, tak samo członkowie orkiestr, dzieciaki w szkolnym wieku i przyzwoite dziewczyny, które już machnęły ręką. Amerykański haszysz. Zielsko, które rośnie byle gdzie. Obecnie uprawa zabroniona. To nie byle co w kraju tak wielkim jak Stany Zjednoczone.

Siedziałem, pykałem fajkę, przysłuchiwałem się trzaskaniu maszyny do pisania za ścianą i łoskotowi zmieniających się na bulwarze Hollywood świateł ulicznych, i wiośnie szeleszczącej w powietrzu jak papierowa torba niesiona po asfalcie przez wiatr.

Papierosy były spore, ale rosyjskie papierosy często są duże, a marihuana ma twarde liście. Indiańskie konopie. Amerykański haszysz. Dowód. Jezu, co za kapelusze noszą kobiety. Głowa mnie bolała. Pomyłony.

Wyjąłem scyzoryk, otworzyłem małe nie stępione ostrze, to, którym nie czyściłem fajki, i sięgnąłem po jednego papierosa. To właśnie zrobi policyjny laborant. Przede wszystkim rozetnie jednego na połowę i obejrzy zawartość pod mikroskopem. Może się w środku zdarzyć jakaś niespodzianka. Niezbyt to prawdopodobne, ale co, u diabła, i tak mu płacą miesięczną pensję.

Rozciąłem jednego na pół. Ustnik był dosyć trudny do przecięcia. Nie szkodzi, ze mnie twardy facet, i tak go przetnę. Niech mi kto zabroni.

Z rozciętego ustnika rozwinął się rozcięty lśniący kartonik z jakimś napisem. Wyprostowałem się i zgarnąłem kawałki. Spróbowałem ułożyć je porządnie na biurku, ale ślizgały się po szkle. Chwyciłem drugiego papierosa i zajrzałem do ustnika. Teraz inaczej posłużyłem się scyzorykiem. Obmacałem papieros aż do miejsca, w którym zaczynał się ustnik. Bibułka na całej długości była jednolicie cienka, wyczuwało się przez nią zawartość papierosa. Odciąłem ostrożnie sam ustnik, a następnie jeszcze ostrożniej przeciąłem go wzdłuż, ale tylko po wierzchu. Rozwinął się i w środku znalazłem drugi kartonik, zwinięty i tym razem nietknięty.

Z zadowoleniem rozwinąłem go. Była to wizytówka jakiegoś faceta. Cienka, bladokremowa, tyle że nieczysto biała. A na niej wyłaczane i subtelnie wycieniowane litery. W lewym dolnym rogu numer telefonu ze Stillwood Heighte. W lewym górnym rogu napis: "Tylko wizyty zamówione". Pośrodku druczkiem też dyskretnym, choć większym: "Jules Amthor". Poniżej trochę mniejszym druczkiem: "Psychiatra konsultant".

Wziąłem do ręki trzeciego papierosa. Tym razem, choć z wielkim trudem, udało mi się jednak wysunąć wizytówkę bez rozcinania czegokolwiek. Była taka sama. Wsunąłem ją z powrotem na miejsce.

Spojrzałem na zegarek, położyłem fajkę na popielniczkę i jeszcze raz musiałem spojrzeć na zegarek, żeby zobaczyć, która godzina. Zawinałem dwa rozcięte papierosy i zniszczoną wizytówkę w część bibułki, a trzeciego, całego, z wizytówką w środku, w pozostałą część bibułki i obydwie paczuszki zamknąłem w biurku.

Siedziałem i rozmyślałem nad tą wizytówką. Jules Amthor, psychiatra konsultant, tylko wizyty zamówione, numer telefonu w Stillwood Heights, żadnego adresu. Trzy takie same, zwinięte w trzech papierosach z marihuaną w chińskiej czy też japońskiej jedwabnej papierośnicy, oprawionej w imitację szylkretu, przedmiot, który może kosztować trzydzieści pięć do siedemdziesięciu pięciu centów w byle orientalnym sklepiku, Hooey Phooey Sing, Long Sing Timg czy coś podobnego, w którym syczy do człowieka ugrzeczniony Japoniec, serdecznie się śmiejąc, kiedy mu mówią, że kadzidło Księżyc Arabii pachnie jak dziewczyny w pokoiku od tyłu u Sadie'ego we Frisko.

A wszystko to w kieszeni nieboszczyka posiadającego poza tym inną, rzeczywiście kosztowną papierośnicę, zawierającą papierosy, które rzeczywiście palił.

Musiał o niej zapomnieć. To nie miało sensu. A może w ogóle to nie była jego papierośnica. Może znalazł ją w jakimś hallu hotelowym. Zamiast oddać zostawił w kieszeni. Zapomniał. Jules Amthor, psychiatra konsultant.

Zadzwoił telefon i bezmyślnie podniosłem słuchawkę. Głos brzmiał chłodnym zdecydowaniem policjanta, który ma o sobie dobrą opinię. To był Randall. Ten nie ujadął. Był typem lodowato chłodnym.

- Więc pan nie wie, kim była ta dziewczyna wczoraj wieczorem? I podwiozła pana na bulwar, a pan pieszo przyszedł aż do szosy. Pięknie pan kłamie, panie Marlowe.

- Może ma pan córkę i wolałby pan, żeby reporterzy z kamerami nie wyskakiwali z krzaków świecąc jej w twarz lampami błyskowymi.

- Nakłamał mi pan.

- Z przyjemnością.

Milczał przez chwilę, jakby podejmując jakąś decyzję.

- Zapomnijmy o tym - powiedział. - Widziałem się z nią. Przyszła i powiedziała mi, co wie. To córka człowieka, którego znałem i szanowałem, tak się składa.

- Ona panu powiedziała, a pan jej.

- Powiedziałem jej to i owo - przyznał chłodno. - Miałem powód. Z tego samego powodu dzwonię do pana. Śledztwo w tej sprawie będzie tajne. Mamy szansę nakryć tych bajterów i chcemy to zrobić.

- O, to już jest morderstwo porachunkowe. Dobra.

- Ale, ale, te okruchy to była marihuana, wie pan, w tej śmiesznej papierošnicy... tej w smoki. Jest pan pewny, że nie widział pan, żeby palił z niej papierosa?

- Zupełnie pewny. W mojej obecności palił tylko te inne. Ale nie byliśmy razem cały czas.

- Aha. No, toby było wszystko. Niech pan nie zapomina, co panu wczoraj mówiłem. Żadnych pomysłów w tej sprawie. Wszystko, czego od pana chcemy, to milczenie. Inaczej...

Urwał. Ziewnąłem w słuchawkę.

- Słyszałem to - szczerknął. - Myśli pan może, że mówię na wiatr. Otóż tak nie jest. Jedno fałszywe posunięcie z pana strony, a znajdzie się pan za kratkami jako świadek.

- Chce pan powiedzieć, że sprawa nie przedostanie się do prasy?

- Morderstwo - tak, ale nie dowiedzą się, co się kryje poza nim.

- I pan się tego nie dowie - powiedziałem.

- Ostrzegałem już pana dwa razy - oświadczył. - Trzeciego razu nie przewiduję.

- Jak na kogoś, kto ma wszystkie karty w ręku, za wiele pan gada.

W odpowiedzi usłyszałem odkładaną słuchawkę. O, do diabła z nim, niech on się martwi.

Chwilę pospacerowałem po kancelarii, żeby się uspokoić, nalałem sobie małą whisky, znowu spojrzałem na zegarek nie widząc, która godzina, i z powrotem zasiadłem przy biurku.

Jules Amthor, psychiatra konsultant. Konsultacje tylko z góry umówione. Dajcie mu czas i forszę, a znajdzie radę na wszystko, od zajeżdżonego męża po plagę szarańczy. Taki jest ekspertem od awanturek miłosnych biednych frustratów, kobiet niechętnie sypiających samotnie, włóczęgów obojga płci, którzy nie pisują do domu, od rad, czy sprzedać posiadłość już dzisiaj, czy wstrzymać się rok, czy przyjęcie danej roli obniży czyjaś popularność, czy ją zwiększy. I mężczyźni pewno przychodzą do niego po kryjomu, silne, zdrowe chłopcy ryczące jak lwy w swoich biurach i

ukrywające pod bielizną sflaczałe mięśnie. Głównie są to jednak kobiety, pulchne i zaspane albo chude i zżerane ogniem, stare i rozmarzone, a także młode, podejrzewające się o kompleks Elektry, kobiety wszelkiego kalibru, wszelakich kształtów, w każdym wieku, które jednak jedna rzecz łączy - posiadanie pieniędzy. Pan Jules Amthor nie będzie się parzył czwartkowymi godzinami przyjęć w szpitalu stanowym. Jego interesuje gotówka. Jemu płacą w gotówce i bez zwłoki te bogate suki, które trzeba molestować o zapłacenie rachunku za mleko.

Szarlatan, kuglarz jarmarczny, facet, którego karty wizytowe zwinięte w papierosach z marihuaną znalazły się w kieszeni nieboszczyka.

Zapowiadało się to świetnie. Podniosłem słuchawkę telefonu i poprosiłem centralę o ten numer w Stillwood Heights.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Odpowiedział głos kobiety, suchy i z cudzoziemska zachrypły:

- Allo?

- Czy mogę mówić z panem Amthorem?

- O nie. Żałuję. Bar-dzo mi przy-kro. Amthor nie przyjmuje telefony. Jestem jego sekretarka. Zechcę coś powtórzyć?

- Jaki tam jest adres? Chcę się z nim zobaczyć.

- Ach, pan sobie życzy zasięgnąć poradę? Bardzo się ucieszy. Ale Jest bar-dzo za-jęty. Kiedy pan życzy go zobaczyć?

- Natychmiast. Dzisiaj.

- O - głos wyrażał ubolewanie - to nie może być. Mo-że na drugi tydzień. Zobaczę w terminarzu.

- Niech pani posłucha - powiedziałem. - Nie obchodzi mnie jego terminarz. Ma pani ołówek?

- Ależ mam ołówek. Ja...

- Niech pani zanotuje. Nazywam się Filip Marlowe. Mój adres: Hollywood, Cahuenga Building 615. To jest na bulwarze Hollywood, obok Ivar. Numer telefonu Glenview 7537.

Przeliterowałem jej trudniejsze słowa i czekałem.

- Tak, panie Marlowe. Zanotowałam.

- Chcę się zobaczyć z panem Amthorem w sprawie człowieka nazwiskiem Marriott. - I to nazwisko przeliterowałam. - To bardzo pilne. Sprawa życia i śmierci. Chcę go zobaczyć natychmiast. N-a-t-y-c-h-m-i-a-s-t. Natychmiast. Od razu, inaczej mówiąc. Czy mówię wyraźnie?

- Mówi pan bardzo dziwnie - powiedział z cudzoziemską głosem.

- Nie. - Podniosłem aparat i potrząsnąłem nim. - Czuję się świetnie. Mówię jak zawsze. To bardzo delikatna sprawa. Pan Amthor na pewno będzie chciał mnie przyjąć. Jestem prywatnym detektywem. Ale nie chcę jednak chodzić na policję, dopóki się z nim nie zobaczę.

- O - głos stał się zimny jak barowy obiad. - To pan jest z policji, nie?

- Niech pani posłucha - wyjaśniłem. - Nie jestem z policji. Jestem prywatnym detektywem. Do spraw poufnych. Ale mimo to sprawa jest bardzo pilna. Zadzwoń pani? Ma pani mój numer.

- Si. Mam numer telefonu. Pan Marriott... jest chory?

- No, nie czuje się najlepiej - powiedziałem. - Pani go zna?

- Ależ nie. Pan mówi, sprawa życia i śmierci. Amthor leczy wielu ludzi...

- Tym razem niewypał - powiedziałem. - Czekam na telefon.

Położyłem słuchawkę i schyliłem się po butelkę z whisky. Czułem się jak przepuszczony przez maszynkę do mięsa. Minęło dziesięć minut. Telefon zadzwonił. Ten sam głos powiedział:

- Amthor zobaczy pana o szóstej.

- Dobra. Adres?

- Przyśle auto.

- Mam swoje auto. Chcę tylko...

- On przyśle - powiedział chłodno głos i szcęknęła słuchawka.

Jeszcze raz spojrzałem na zegarek. Był już najwyższy czas na lunch. W żołądku paliło mnie po ostatnim łyku whisky. Nie byłem głodny. Zapaliłem papierosa. Smakował jak chusteczka pracownika kanalizacji. Przez szerokość kancelarii skinąłem głową panu Rembrandtowi, wziąłem kapelusz i wyszedłem. Byłem już w

połowie drogi do windy, zanim przyszło mi to do głowy. Przyszło mi to do głowy zniecka, bez żadnego powodu, spadło jak cegła z dachu. Stałem, oparłem się o marmurową ścianę, okręciłem kapelusz na głowie i nagle roześmiałem się.

Idąc właśnie z windy do swojego biura dziewczyna obrzuciła mnie spojrzeniem z rodzaju tych, od których ma się doznawać uczucia, jakby człowiekowi oczko poleciało na plecach. Pomachałem jej ręką, wróciłem do kancelarii i chwyciłem słuchawkę telefonu. Zadzwoiłem do znajomego, który pracował w dziale nieruchomości niewielkiego przedsiębiorstwa.

- Czy można uzyskać dane o jakiejś posiadłości znając tylko jej adres? - zapytałem go.

- Oczywiście. Mamy podwójną ewidencję. O co chodzi?

- Chodzi o posiadłość 1844 przy Pięćdziesiątej Czwartej Zachodniej. Chciałbym coś wiedzieć o stanie tytułu posiadania.

- Lepiej zadzwonię ci za chwilę. Jaki to numer?

Zadzwoił mniej więcej po trzech minutach.

- Weź ołówek - powiedział. - To jest parcela 8, przecznica Caradaya 11, przy szosie Maplewood 4. Parcela oraz pewne zabezpieczenia zapisane są na wdowę Jessie Pierce Florian.

- Taak. Jakie zabezpieczenia?

- Połowa należnych podatków, dwie dziesięcioletnie obligacje na inwestycje uliczne, za dziesięć lat zapłacony podatek od kanału burzowego, wszystko bez zaległości, także pierwsza rata zabezpieczenia hipotecznego na 2600 dolarów.

- Chcesz powiedzieć, jedna z tych nieruchomości, z których mogą was z dnia na dzień spłacić?

- No, niezupełnie z dnia na dzień, ale dużo szybciej niż w przypadku zastawu hipotecznego. Nic w tym nadzwyczajnego, poza sumą. Jak na tę dzielnicę jest wysoka, chyba że to nowy dom.

- Dom jest bardzo stary i zniszczony - powiedziałem. - Moim zdaniem wart tysiąc pięćset.

- A więc sprawa bezsprzecznie dziwna, tym bardziej że dopiero cztery lata temu dokonano wpłaty.

- W porządku, do kogo dom należy? To jakieś towarzystwo inwestycyjne?

- Nie. Osoba prywatna. Gość nazwiskiem Lindsay Marriott, kawaler. Zgadza się?

Nie pamiętam, co mu powiedziałem ani jak podziękowałem. Przypuszczam, że brzmiało to zrozumiale. Usiadłem i wlepiłem oczy w ścianę.

Nagle przestało mnie piec w żołądku. Poczułem głód. Zszedłem do baru w "Mansion House", zjadłem lunch i wyprowadziłem auto z parkingu przy budynku, w którym była moja kancelaria.

Odjechałem w kierunku południowo-wschodnim, w stronę Pięćdziesiątej Czwartej Zachodniej. Tym razem nie wiozłem ze sobą alkoholu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przecznica wyglądała zupełnie tak samo jak wczoraj. Ulica była pusta, zastałem na niej tylko ciężarówkę z lodem, dwa Fordy na podjazdach przed garażami i tuman kurzu niknący za zakrętem. Powoli minąłem numer 1644, zaparkowałem trochę dalej i przyjrzałem się obu domom sąsiadującym z przedmiotem mojego zainteresowania. Cofnąłem się, już pieszo, stanąłem przed nim i obejrzałem wytrwałą palmę i nędzny, nie podlewany skrawek trawnika. Dom wydawał się pusty, choć pewno nie był. Miał tylko taki wygląd. Opuszczony fotel na biegunach stał na ganku w tym samym miejscu co wczoraj. Na ścieżce walala się rzucona przez roznosiciela gazeta. Podniosłem ją i trzepnąłem o nogę, a wtedy zobaczyłem, że w sąsiednim domu, w najbliższym oknie od frontu, poruszyła się firanka.

Znowu wczorajsza wścibska. Ziewnąłem i nasunąłem głębiej kapelusz. Od wewnątrz spiczasty nos niemal rozpląszczył się o szybę. Nad nim siwe włosy i oczy, które z miejsca, gdzie stałem, wyglądały zwyczajnie, jak oczy. Nie śpiesząc się przeszedłem dróżką pod spojrzeniem tych oczu. Skręciłem w stronę jej domu. Wszedłem po drewnianych schodkach i zadzwoniłem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, jak na sprężynie. Okazała się wysoką staruchą z zajęczym podbródkiem. Oglądane z bliska jej oczy były przeszywające jak blask odbity od spokojnej wody. Zdjąłem kapelusz.

- Czy to pani wzywała policję w związku z panią Florian?

Przyjrzała mi się zimno, wzrokiem, któremu nic nie uszło, przypuszczalnie nawet ciemna myszka na mojej prawej łopatce.

- Nie powiem, że nie, młodzieńcze, i nie powiem, że tak. Kim pan jest?

Miała wysoki, nosowy głos, stworzony po to, żeby przekrzyczeć osiem włączonych naraz połączeń telefonicznych.

- Jestem detektywem.

- To dopiero. Dlaczego pan tak od razu nie powie? Cóż ona teraz zrobiła? Nic nie dostrzegłam, a nie przestałam czuwać ani na chwilę. Henry robił mi wszystkie zakupy. Nie słyszałam ani szmeru.

Jednym szarpnięciem otworzyła siatkę w drzwiach z haczyka i wciągnęła mnie do środka. W hallu pachniało politurą. Meble wyglądały na stare i kiedyś stylowe. Wyściełane, wykładane innym kolorem drzewa i na kantach zdobione rzeźbami w kształcie muszli. Weszliśmy do pokoju od frontu. Tu na wszystkim, na czym się dało, przypinane były patarafki z bawełnianej koronki.

- Ja już pana kiedyś widziałam? - zapytała nagle, z czającym się w głosie podejrzeniem. - Ależ tak. To pan...

- Tak. A jednak jestem detektywem. Kto to jest Henry?

- O, to tylko mały Murzynek, on mi załatwiaesyłki. Więc czego pan sobie życzy, młody człowieku? - Poglądziła białoczerwony, czysty fartuch i błysnęła na mnie oczkiem. Dla wprawy klapnęła sztucznymi zębami z magazynu gotowych artykułów dentystycznych.

- Czy policja była tu u pani po tym, jak odwiedzili dom pani Florian?

- Jaka policja?

- Mundurowa - wyjaśniłem cierpliwie.

- Owszem, zajrzeli tu na minutkę. Nic nie wiedzieli.

- Niech mi pani opiszetego dużego... tego, co miał broń, na której widok zdecydowała się pani zadzwonić.

Opisała go z całkowitą dokładnością. Był to na pewno Malloy.

- Jakim autem przyjechał?

- Małym. Ledwie się w nim mieścił.

- I tylko tyle może pani powiedzieć? To morderca!

Rozdziawiła usta, ale w oczach pozostał jej wyraz zadowolenia.

- Co pan mówi! Szkoda, że nie umiem panu więcej powiedzieć. Ale nigdy się za bardzo nie znałam na autach. Morderstwo, mówi pan? Człowiek ani chwili nie jest bezpieczny w tym mieście. Kiedy się tu sprowadziłam dwadzieścia dwa lata temu, prawie nie zamykaliśmy drzwi. A teraz, jak mówią, ci gangsterzy, przekupiona policja i politycy strzelają się karabinami maszynowymi. To skandal, młody człowieku.

- Owszem. Co pani wie o pani Florian?

Stuliła wąskie usta w ciup.

- Nie żyje z sąsiadami. Późno w noc nie przykręca radia. Śpiewa. Z nikim nie rozmawia. - Pochyliła się trochę. - Nie mówię na pewno, ale według mnie ona pije.

- Czy często ją ktoś odwiedza?

- Nikt jej nigdy nie odwiedza.

- Pani by oczywiście wiedziała, pani...

- Morrison. Co też pan mówi, oczywiście! Cóż innego mam do roboty, jak wyglądać przez okno?

- Jestem pewny, że to ciekawe. Czy pani Florian dawno tu mieszka?

- Chyba z dziesięć lat. Kiedyś miała męża. Wyglądał mi na nic dobrego. Umarł. - Urwała i zamyśliła się. - Chyba umarł śmiercią naturalną - dodała. - Nie słyszałam, żeby było inaczej.

- Zostawił jej pieniądze?

Wzrok jej opadł niżej, a podbródek za nim. Mocno wciągnęła powietrze.

- Pan pił - powiedziała zimno.

- Właśnie miałem wrywany ząb. Dentysta dał mi się napić.

- Nie jestem za tym.

- Whisky to nic dobrego, chyba że jako lekarstwo - powiedziałem.

- Nie jestem za tym nawet na lekarstwo.

- Chyba ma pani rację. Czy mąż zostawił jej jakieś pieniądze?

- Skąd mogłabym wiedzieć?

Usta miała wielkości suszonej śliwki i równie pomarszczone. Przestała mi ufać.

- Czy nikogo u niej nie było od czasu policji?

- Nie widziałam.

- Dziękuję pani bardzo. Nie będę już zabierał czasu. Była pani bardzo uprzejma i wiele mi pani pomogła.

Wyszedłem z pokoju i otworzyłem drzwi na dwór. Udała się za mną. Odchrząknęła i parę razy szczęknęła sztucznymi zębami.

- Pod jaki numer mam dzwonić w razie czego? - zapytała, mięknąc trochę.

- Uniwersytet 4-5000. Niech pani prosi porucznika Nulty'ego. Z czego ona żyje? Z emerytury?

- Tu nie mieszkają emeryci - wyjaśniła zimno.

- Założę się, że ten kredens był kiedyś ozdobą Sioux Falls - zauważyłem przyglądając się rzeźbionemu kredensowi, który stał w hallu, ponieważ był za duży na pokój jadalny. Miał rzeźbione krawędzie, cienkie rzeźbione nóżki, cały pokryty był fornirem, a od frontu ozdobiony malowidłem przedstawiającym kosz owoców.

- To Mason City - wyjaśniła miękko, - Tak, drogi panie, oboje z George'em mieliśmy kiedyś piękny dom. Wszystko, co najlepsze.

Otworzyłem drzwi siatkowe, wyszedłem i stojąc za nimi jeszcze raz jej podziękowałem. Uśmiechała się już. Uśmiech miała równie przenikliwy jak spojrzenie.

- Co miesiąc na pierwszego odbiera list polecony - powiedziała nagle.

Odwrociłem się i zaczekałem. Nachyliła się do mnie.

- Widzę, jak listonosz podchodzi do drzwi, żeby podpisała. Co miesiąc na pierwszego. Wtedy się ubiera i wychodzi. I nie wraca całymi godzinami. Pół nocy potem wyspiewuje. Czasami już chciałam wzywać policję, tak się wydzierała.

Poklepałem ją po złowrogim, chudym ramieniu.

- Pani jest jedna na tysiąc - pochwaliłem ją. Włożyłem kapelusz, uchyliłem go przed nią i odszedłem. W połowie dróżki coś sobie przypomniałem i odwróciłem się. Wciąż stała jeszcze za siatkowymi drzwiami, nie zamykając wewnętrznych. Wszedłem z powrotem na schodki.

- Jutro jest pierwszy - powiedziałem. - Pierwszy kwiecień. Prima aprilis. Niech się pani postara upewnić, czy dostanie ten list polecony, dobrze?

Błysnęły ku mnie jej oczki. Roześmiała się wysokim starczym chichotem.

- Prima aprilis - chichotała. - Może go nie dostać. Śmiała się, kiedy odchodziłem. Brzmiało to tak, jakby kura dostała czkawki.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W sąsiednim domu nikt nie odpowiedział na moje dzwonienie i pukanie. Drzwi siatkowe nie były zamknięte od środka. Pchnąłem drzwi wewnętrzne. Też były otwarte. Wszedłem.

Nic się nie zmieniło, tak samo nawet czuć było dżinem. Na podłodze jednak nie było pobjowiska butelek. Brudna szklaneczka stała na stoliku przy krześle, na którym siedziała wczoraj pani Florian. Radio było włączone. Podszedłem do kanapy i pomacałem za oparciem. Znalazłem tam tę samą pustą butelkę co wczoraj, a przy niej jeszcze jedną.

Zawołałem. Nikt nie odpowiedział. Potem wydało mi się, że dosłyszałem przeciągłe smutne westchnienie, na pół jęk. Poszedłem dalej i zakradłem się do małego korytarzyka. Drzwi do sypialni były uchylone i to spoza nich wydobywały się te jękliwe odgłosy. Wsunąłem głowę i zajrzałem.

Pani Florian leżała w łóżku. Leżała płasko na wznak pod naciągniętą aż po brodę bawełnianą kołdrą. Jeden z puszystszych pomponików przy kołdrze włożył jej prawie do ust. Podłużną żółtą twarz miała sflaczałą, półmartwą. Brudne włosy plątały się po poduszce. Powoli otworzyła oczy i spojrzała na mnie bez wyrazu. W pokoju panował mdlący zaduch snu, whisky i brudnej bielizny. Na łuszczącym się od szarobiałej farby biureczku tykał budzik za sześćdziesiąt dziewięć centów. Tykał tak głośno, że mógłby wstrząsać ścianami. W lustrze nad nim odbijało się zniekształcone oblicze leżącej. Kufer, z którego wyjęła przedwczoraj fotografie, wciąż był otwarty.

- Dobry wieczór, pani Florian - powiedziałem. - Choruje pani?

Z trudem złączyła razem wargi, potarła jedną o drugą, wysunęła język, zwilżyła je i poruszyła szczękami. Głos, który wydostał się z jej ust, brzmiał jak zdarta płyta. W oczach zabłysła świadomość, ale bynajmniej nie zadowolenie.

- Złapał go pan?

- Myszkę?

- Jasne.

- Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że niedługo złapię.

Z wysiłkiem uniosła oczy do góry, zamrugła i znów je otworzyła, jakby próbowała zetrzeć z nich jakąś mgielkę.

- Powinna, pani zamykać dom - powiedziałem. - On może wrócić.

- Pan myśli, że się boję Myszki, co?

- Tak się pani zachowywała, kiedy rozmawiałem z panią wczoraj.

Zastanowiła się nad tym. Była to dla niej mozolna praca.

- Ma pan coś do picia?

- Nie, dziś nic nie przyniosłem. Miałem trochę mało gotówki.

- Dżin jest tani. I dobry.

- Mógłbym skoczyć po butelczynę. Jeszcze chwilka. Więc nie boi się pani Malloya?

- Dlaczego miałabym się go bać?

- W porządku. Nie boi się pani. Więc c z e g o się pani boi?

Oczy jej zabłyśły życiem, które utrzymało się w nich przez moment i znowu zgasło.

- Ech, daj pan spokój. Wy wszyscy, gliny, jesteście tacy sami. Rzygać się chce.

Nic nie powiedziałem. Oparłem się o futrynę drzwi, wsunąłem papierosa do ust i starałem się tak go przekrzywić, żeby dotknąć nosa. To dużo trudniejsze, niż się wydaje.

- Gliny - powiedziała powoli, jakby mówiła sama do siebie - nigdy go nie złapią. Jest sprytny, ma forszę i ma przyjaciół. Tracisz czas, glino.

- O, to nawyk zawodowy - wyjaśniłem. - Zresztą, prawdę mówiąc, działał w samoobronie. Gdzie on może być?

Zachichotała i otarła usta bawełnianą koldrą.

- Śmierząca wazelina - powiedziała. - Spryciarz. Wciąż wam się zdaje, że w ten sposób coś uzyskacie.

- Podobał mi się ten Myszka - przyznałem.

W jej oczach zapaliło się zainteresowanie.

- Pan go poznał?

- Byłem z nim wczoraj... kiedy zabił tego czarnego na Centralnej.

Szeroko otworzyła usta i zaniosa się śmiechem, nie robiąc przy tym więcej hałasu niż facetka, która by przełamывwała bułkę. Łzy spłynęły jej z oczu po twarzy.

- Wielki silny chłop - powiedziałem. - Ale ma swoje czułe miejsce. Bardzo go przycisnęło z tą Velmą.

Oczy jej się zamglily.

- Myślałam, że to rodzina jej szuka - powiedziała miękko.

- Owszem. Ale, jak pani mówi, ona nie żyje. Nic z tego. Gdzie się jej zmarło?

- W Dalhart, w Teksasie. Zaziębiła się, rzuciło się jej na piersi, i koniec.

- Była pani przy tym?

- Cholera, nie. Słyszałam tylko.

- Oo. A od kogo pani słyszała?

- Od jakiejś facetki. Nie pamiętam w tej chwili imienia. Może pomógłby mi łyk czegoś uczciwego. Czuję się jak w Dolinie Śmierci.

“A wyglądasz jak zdechły muł”, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos.

- Jeszcze jedna drobnostka - powiedziałem - a potem może skoczę po trochę dżinu. Sam nie wiem po co, ale sprawdziłem tytuł własności pani domu.

Zesztywniała pod koldrą, leżała jak drewniana. Nawet jej zaropiałe powieki zastygły półprzymknięte, nieruchome. Oddech ustał.

- Zważywszy niewielką wartość nieruchomości w tej dzielnicy - mówiłem - suma zabezpieczenia hipotecznego jest szczególnie duża. Wpłacającym jest gość nazwiskiem Lindsay Marriott.

Raptownie zamruwała powiekami, ale poza tym się nie poruszyła. Wlepiała we mnie oczy.

- Pracowałam kiedyś u niego - wyjaśniła wreszcie. - Służyłam w jego rodzinie. On się mną teraz trochę opiekuje.

Wyjąłem nie zapalonego papierosa z ust, przyjrzałem mu się bezmyślnie i wetknąłem go w usta z powrotem.

- Wczoraj po południu, parę godzin po tym, jak widziałem się z panią, pan Marriott zadzwonił do mnie do kancelarii. Zaproponował mi pracę.

- Co za pracę? - Głos miała teraz bardzo zachrypły.

Wzruszyłem ramionami.

- Tego pani nie mogę powiedzieć. To tajemnica. Byłem u niego wczoraj wieczorem.

- Ty przebiegły sukinsynu - powiedziała ochryple i wsunęła rękę pod pościel.

Patrzyłem na nią nic nie mówiąc.

- Przebiegły glina - zadrwiła.

Przeciagnałem ręką w górę i w dół po framudze drzwi. Była oślizła. Samo to dotknięcie sprawiło, że zapragnąłem wziąć kąpiel.

- No, to tyle - powiedziałem gładko. - Zastanawiałem się tylko, dlaczego mnie wzywał. Może nic w tym nie ma. Po prostu przypadek. Ale wyglądało to tak, jakby coś się za tym kryło.

- Przebiegły glina - powtórzyła bezmyślnie. - I to nawet nie prawdziwy glina. Zbujany.

- Możliwe. No, to do widzenia pani. Ale, ale, coś mi się wydaje, że jutro nie dostanie pani listu poleconego.

Odrzuciła na bok pościel i poderwała się z płonącymi oczami. Coś załśniło w jej prawej ręce. Był to mały pistolet. Stary i zniszczony, ale z wyglądu jeszcze groźny.

- Gadaj - warknęła. - I to szybko.

Zajrzałem w wylot lufy, a on z kolei zajrzał mi w oczy, choć niezbyt pewnie. Trzymająca pistolet ręką zadrżała, mimo że oczy pani Florian nadal płonęły. W kącikach jej ust pienila się ślina.

- Możemy się sprzymierzyć, pani i ja - zaproponowałem.

Jej szczeka i pistolet opadły jednocześnie. Od drzwi dzieliło mnie tylko parę cali. Jeszcze pistolet nie opadł, a ja już wysliznąłem się za drzwi i przez alkowę dostałem się do pokoju od frontu.

- Niech pani to przemyśli! - zawołałem za siebie.

Żadnego odgłosu, nic zupełnie.

Przeszedłem szybko przez pokój, przez sień i wyszedłem z domu. Kiedy oddalałem się ścieżką, po plecach przebiegały mi mrówki. Mięśnie mi drgały.

Nic się nie stało. Odszedłem ulicą, wsiadłem do wozu i odjechałem.

Ostatni dzień marca, a gorąco było jak w lecie. Prowadząc wóz miałem ochotę zdjąć marynarkę. Przed komisariatem na Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy dwóch policjantów z auta patrolowego klęło nad wgiętym zderzakiem. Za wahadłowymi drzwiami zastałem umundurowanego porucznika, który za barierką przeglądał wykaz mandatów. Zapytałem go, czy Nulty jest na gorze. Powiedział, że chyba tak, i zapytał, czy jestem jego znajomym. Odpowiedziałem, że tak. Oświadczył, że w porządku, wobec tego mogę wejść. Wszedłem po wydeptanych schodach, minąłem korytarz i zapukałem do drzwi. Ktoś odchrząknął, więc wszedłem.

Nulty dłubał w zębach, siedząc na jednym z krzesel, a o drugie opierając nogi. Oglądał swój lewy kciuk, unosząc wyprostowaną rękę na wysokość oczu. Moim zdaniem kciuk wyglądał jak należy, ale spojrzenie Nulty'ego było ponure, jakby myślał, że sprawa jest beznadziejna.

Opuścił rękę na udo, zestawiał stopy na podłogę i z kciuka przeniósł spojrzenie na mnie. Był w ciemnoszarym garniturze, a na biurku przed nim wygnieciony ogryzek cygara czekał, aż skończy z dłubaniem w zębach.

Odsunąłem leżącą na drugim krześle, nie przywiązaną filcową poduszeczkę, usiadłem i wsadziłem sobie papierosa do ust.

- To pan - powiedział Nulty i spojrzał na wykałaczkę, żeby sprawdzić, czy jest już dosyć żłuta.

- Udało się coś?

- W sprawie Malloya? Już się nią nie zajmuję.

- A kto?

- Nikt. Po co? Facet dał nogę. Puściliśmy w ruch dalekopis i mają już listy gończe. Cholera, dawno zniknął w Meksyku.

- No, w końcu zabił tylko czarnego - powiedziałem. -To tylko wykroczenie.

- Nadal to pana interesuje? Zdawało mi się, że ma pan jakieś zajęcie.

Obrzucił moją twarz odbierającym energię spojrzeniem bladych oczu.

- Byłem zajęty wczoraj wieczorem, ale to się już skończyło. Ma pan jeszcze zdjęcie tego pierrota?

Sięgnął pod bibułę i pomacał. Wydobył je. Dziewczyna była ładna jak wczoraj, popatrzyłem na jej twarz.

- Właściwie to moja własność - wyjaśniłem. - Wolałbym je zatrzymać, jeżeli nie jest panu potrzebne do kartoteki.

- Chyba powinno być w aktach - powiedział Nulty. - Zapomniałem. W porządku. Niech je pan sobie zatrzyma. Oddałem już akta.

Wsunąłem zdjęcie do kieszeni na piersiach i wstałem.

- No, to chyba wszystko - westchnąłem, odrobinę za lekko.

- Coś mi tu śmierdzi - stwierdził chłodno Nulty.

Spojrzałem na kawałek szpagatu na rogu jego biurka. Oczy Nulty'ego poszły za moim spojrzeniem. Rzucił wykałaczkę na podłogę i wetknął żółte cygaro do ust.

- Ale nie to - sprostował.

- To nic konkretnego. Jak będę miał większą pewność, nie zapomnę o panu.

- Przyciskają mnie. Potrzeba mi oddechu, chłopie.

- Człowiek tak zapracowany jak pan na pewno zasługuje na odpoczynek - powiedziałem.

Potał zapałkę o paznokcie, zrobił zadowoloną minę, ponieważ zapaliła się od jednego razu, i wciągnął dym z cygara.

- Żałuję - dodał ze smutkiem, kiedy wychodziłem.

W korytarzu było cicho, w całym budynku panował spokój. Na dole przed wejściem tych dwóch z wozu patrolowego wciąż oglądało wgięty zderzak. Pojechałem z powrotem do Hollywood.

Akurat dzwonił telefon, kiedy wchodziłem do kancelarii. Sięgnąłem poprzez biurko i podniosłem słuchawkę.

- Halo?

- Czy mówię z panem Filipem Marlowe?

- Tak, tu Marlowe.

- Tu rezydencja pani Grayle. Pani Lewin Lockridge Grayle. Pani Grayle chciałaby widzieć pana u siebie możliwie szybko, jeśli to panu odpowiada.

- Gdzie?

- Oto adres: Bay City, Aster Drive 862. Czy mogę powiedzieć, że będzie pan nie dalej jak za godzinę?

- Czy to pan Grayle?

- Ależ nie, proszę pana. Jestem kamerdynerem.

- Jak pan usłyszy dzwonek u drzwi, to będę ja - powiedziałem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Rezydencja pani Grayle leżała nad oceanem i czuło się ocean w powietrzu, choć sprzed bramy nie widać było brzegu. Aster Drive zakręcała w tym miejscu łagodnym łukiem. Zabudowana była od strony lądu zwyczajnymi miłymi domkami, ale od strony kanionu leżały wielkie milczące rezydencje, otoczone murami wysokości czterech metrów, ukryte za bramami z kutego żelaza i ozdobnymi żywopłotami; poza nimi, o ile można tam się było dostać, świeciło słońce specjalnego gatunku i panował spokój w chronionych od hałasu enklawach, przeznaczony tylko dla wyższych klas.

W półotwartej bramie stał mężczyzna w granatowej rosyjskiej bluzie, czarnych lśniących sztylpach i jaskrawych spodniach. Był to ciemnowłosy, przystojny chłopak o potężnych barach i połyskliwych gładkich włosach. Daszek zawadiackiej czapki rzucał mu miękką cień na oczy. Trzymał papierosa w kąciku ust i głowę miał lekko przechyloną, jakby po to, żeby dym nie wpadał mu do nosa. Na jednej ręce nosił gładką czarną rękawiczkę, druga była goła. Na trzecim palcu miał ciężki pierścionek.

Nie widziałem nigdzie numeru, ale to powinien być numer 862. Zatrzymałem samochód, wychyliłem się i zapytałem. Długo się namyślał, zanim odpowiedział. Musiał mnie bardzo dokładnie obejrzeć. A także samochód, którym przyjechałem. Podszedł do mnie, po drodze niedbałym ruchem opuszczając rękę bez rękawiczki na biodro. Był to rodzaj niedbałości obliczony na przyciągnięcie uwagi.

Zatrzymał się parę kroków od mojego auta i jeszcze raz mi się przyjrzał.

- Szukam rezydencji państwa Grayle - powiedziałem.

- To tutaj. Nikogo nie ma w domu.

- Czekają na mnie.

Skinął głową. Oczy mu zalśniły jak woda.

- Nazwisko?

- Filip Marlowe.

- Niech pan tu zaczeka.

Odszedł powolnym krokiem, nie śpiesząc się, w stronę bramy i otworzył żelazne drzwiczki wbudowane w jeden z masywnych słupów. W środku znajdował się telefon. Krótco coś powiedział do mikrofonu, zatrzasnął drzwiczki i wrócił do mnie.

- Ma pan jakiś dowód?

Dałem mu zerknąć na prawo jazdy przytwierdzone do kolumny kierownicy.

- To niczego nie dowodzi - orzekł. - Skąd mam wiedzieć, że to jest pański samochód?

Wyciągnąłem kluczyk ze stacyjki, pchnąłem drzwi i wysiadłem. W ten sposób znalazłem się już tylko o pół kroku od niego. Miał przyjemny oddech. Co najmniej "Haig and Haig".

- Znowu sięgałeś do kredensu? - zapytałem.

Uśmiechnął się. Zmierzył mnie spojrzeniem. Dodałem:

- Słuchaj, pogadam z kamerdynerem przez telefon. On mnie pozna po głosie. Czy to mi otworzy te drzwi, czy muszę je otwierać twoją zakutą pałą?

- Ja tu tylko pracuję - odpowiedział miękko. - Gdyby nie to...

Nie dopowiedział reszty i uśmiechał się dalej.

- Miły z siebie chłopak - oświadczyłem i poklepałem go po ramieniu. - Dartmouth czy Dannemora?

- Jezu - powiedział. - Dlaczego pan od razu nie mówi, że pan jest glina?

Obydwaj wyszczerzyliśmy do siebie zęby. Machnął ręką i wszedłem za uchyloną bramę. Alejka zakręcała i dwa wysokie strzyżone żywopłoty ciemnej zieleni całkowicie osłaniały ją od ulicy i od strony domu. Przez bramkę w zieleni dojrzałem japońskiego ogrodnika zajętego pieleniem olbrzymiego dywanu trawy. Pośrodku wielkiej aksamitnej płaszczyzny wyciągał pojedyncze chwasty i krzywił się na nie jak to Japończycy. Dalej zielony mur z powrotem się zamykał i na przestrzeni stu stóp znowu nic nie mogłem dostrzec. Żywopłot kończył się szerokim półkolem, w którym stało kilka samochodów.

Jednym z nich było małe coupé. Stało tam też parę bardzo ładnych ostatnich modeli dwukolorowego Buicka, dobrych na skrzynki pocztowe, a także czarna limuzyna z kratą na masce silnika z matowego niklu i z kapslami wielkości kół rowerowych. Obok parkował długi sportowy faeton ze spuszczanym dachem. Krótki i bardzo szeroki betonowy podjazd prowadził do bocznego wejścia do domu.

Na lewo od parkingu teren obniżał się i widać było dalej ogród z czterema fontannami po rogach. Wejście było zamknięte furtką z kutego żelaza, ozdobioną pośrodku skrzydlatym amorkiem. U wejścia i w głębi stały popiersia na lekkich kolumnkach i kamienne ławy z zaczajonymi gryfami. Była tam też owalna sadzawka z kamiennymi nenufarami, a na jednym z kamiennych liści siedziała wielka kamienna żaba. Jeszcze dalej różowa kolumnada wiodła do czegoś podobnego do ołtarza z obu stron otoczonego żywopłotem, jednak nieszczelnym, tak że słońce rysowało arabeski na stopniach ołtarza. A zupełnie w głębi po lewej widać było dziki ogród, niezbyt wielki, z zegarem słonecznym w pobliżu załomu muru wzniesionego na kształt ruiny. I kwiaty, miliony kwiatów.

Sam dom nie był niczym nadzwyczajnym. Mniejszy niż pałac Buckingham, dosyć szary jak na Kalifornię, i przypuszczalnie wyposażony w mniejszą ilość okien niż gmach Chryslera.

Przemknąłem się do bocznego wejścia i nacisnąłem dzwonek, a gdzieś w głębi usłyszałem głęboki i miękki jak kościelne dzwony dźwięk gongu.

Człowiek w sztuczkowej kamizelce ze złożonymi guzikami otworzył drzwi, ukłonił się, odebrał ode mnie kapelusz i na tym skończył swoje zajęcie na ten dzień. W półmroku za nim drugi mężczyzna w sztuczkowych zaprasowanych na ostro spodniach, czarnym żakiecie, kołnierzyku z długimi rogami i w szarym krawacie w paski pochylił siwą głowę mniej więcej o cal w moją stronę i zapytał:

- Pan Marlowe? Zechce pan tędy, proszę...

Odeszliśmy w głąb hallu. Był to bardzo cichy hall. Nigdzie ani bzykania muchy. Na podłodze leżały wschodnie dywany, na ścianach wisiały obrazy. Skręciliśmy za róg, ale hall się nie kończył. Przez francuskie okno mignął w oddali fragment błękitnej wody i przypomniałem sobie, prawie zaskoczony, że jesteśmy nad Pacyfikiem i że ten dom stoi na krawędzi kanionu.

Kamerdyner podszedł do jakichś drzwi, otworzył je wpuszczając do hallu odgłosy rozmowy, odsunął się na bok, a ja wszedłem. Był to ładny pokój z wielkimi fotelami i szezlongami krytymi bladożółtą skórą i ustawionymi wokół kominka, przed którym na lustrzanej, choć nie śliskiej podłodze leżał dywan cienki jak jedwab i stary jak ciotka Ezopa. Jeden bukiet kwiatów pysznił się w rogu pokoju, drugi na niskim stole, ściany były pokryte matową tapetą, wszędzie komfort, przestrzeń i wygoda, akcenty nowoczesne w połączeniu z bardzo starymi, a przez szerokość pokoju w zapadłym nagle milczeniu spojrzały w moją stronę trzy osoby.

Jedną z nich była Anna Riordan, która wyglądała tak samo jak wtedy, kiedy widziałem ją po raz ostatni, tyle że trzymała w ręce szklanekę bursztynowego płynu. Drugą osobą był wysoki i szczupły mężczyzna o kamiennym rysunku brody, głębokich oczach i bezbarwnej twarzy. Można by ją było określić tylko jako

chorobliwie żółta. Wyglądał na ponad sześćdziesiąt lat, a raczej grubo ponad sześćdziesiąt. Był w ciemnym biurowym ubraniu z czerwonym goździkiem w klapie. Robił wrażenie przygnębionego.

Trzecią była blondyna. Miała na sobie elegancką blado-niebieską suknię. Nie zwróciłem zbyt wielkiej uwagi na jej ubranie. Było dla niej szyte, i to szyte przez dobrego krawca. Pomyślane było tak, żeby wyglądała bardzo młodo i żeby jej oczy koloru lapis-lazuli wyglądały bardzo niebiesko. Jej włosy miały barwę złota ze starych obrazów i zadano sobie z nimi akurat tyle trudu, ile trzeba, ale nie za wiele. Wszystkie okągłości miała na miejscu, i pod tym względem nikt nie byłby w stanie nic ulepszyć. Suknia była dosyć prosta, wyjąwszy diamentową broszkę pod brodą. Dłonie miała całkiem duże, ale kształtne, a paznokcie umalowane jaskrawo, według mody, na kolor prawie amarantowy. Właśnie darzyła mnie jednym ze swoich uśmiechów. Robiła wrażenie osoby skorej do tego, ale jej oczy zachowywały nieruchomy wyraz, jakby myślała powoli i ostrożnie. Usta miała zmysłowe.

- Jak to miło z pana strony, że pan przyszedł - powiedziała. - To mój mąż. Zrób panu Marlowe cocktail, kochanie.

Pan Grayle podał mi rękę. Była zimna i lekko wilgotna. Oczy miał smutne. Zmieszał szkocką whisky z wodą sodową i wręczył mi szklaneczkę.

Usiadł w kąciku i milczał. Wypiłem połowę ze szklaneczki i wyszczerzyłem zęby do panny Riordan. Spojrzała na mnie z jakimś roztargnieniem, jakby co innego przychodziło jej na myśl.

- Sądzi pan, że pan będzie mógł coś dla nas zrobić? - zapytała blondyna, mówiąc powoli i zaglądając do swojej szklaneczki. - Będę zachwycona, jeżeli tak. Ale strata to raczej nieduża w porównaniu z koniecznością dalszego zwracania sobie głowy gangsterami i tymi okropnymi ludźmi.

- Prawdę mówiąc, niewiele wiem w tej sprawie - powiedziałem.

- Mam nadzieję, że to leży w pana możliwościach. Obdarowała mnie uśmiechem, który poczułem w portfelu. Wypiłem whisky do końca. Zmęczenie mi przeszło. Pani Grayle nacisnęła guziczek wprawiony w oparcie skórzanego fotela i wszedł służący. Niedbale wskazała na tacę. Rozejrzał się i przyrządził dwie nowe szklaneczki. Panna Riordan sprytnie zwlekła z dopiciem tej, którą trzymała w ręku, a pan Grayle najwidoczniej w ogóle nie pił. Służący wyszedł.

Pani Grayle i ja unieśliśmy szklanki. Pani Grayle, trochę niedbale, założyła nogę na nogę.

- Nie wiem, czy mogę coś pomóc - powiedziałem. - Wątpię. Nie ma punktu zaczepienia.

- Jestem pewna, że pan może. - Znowu uczęstowała mnie uśmiechem. - Jak dalece wtajemniczył pana Lin Marriott?

Zerknęła w bok na pannę Riordan. Panna Riordan po prostu tego nie zauważyła. Siedziała nieporuszona. Patrzyła w bok, w inną stronę. Pani Grayle spojrzała na męża.

- Nie musisz zwracać sobie nami głowy, kochanie.

Pan Grayle wstał, powiedział, że bardzo mu było miło mnie poznać i że pójdzie i położy się na chwilę. Nie czuje się zbyt dobrze. Miał nadzieję, że mu wybaczę. Był taki grzeczny, że poczułem ochotę wynieść go z pokoju na rękach, żeby mu okazać swoją wdzięczność.

Wyszedł. Zamknął za sobą drzwi po cichu, jakby bał się obudzić kogoś śpiącego. Pani Grayle przez chwilę popatrzyła na drzwi, z powrotem przybrała uśmiech na twarz i spojrzała na mnie.

- Panna Riordan jest oczywiście osobą wtajemniczoną.

- Jeśli idzie o mnie, proszę pani, nikt nie jest osobą wtajemniczoną. Panna Riordan zna przypadkiem tę sprawę... o ile można ją znać.

- Tak. - Upiła parę łyków, a potem jednym haustem opróżniła szklanekę i odstawiła.

- Niech diabli wezmą to grzeczne popijanie - powiedziała nagle. - Zajmijmy się tym we dwoje. Pan jest bardzo przystojny jak na ten zawód.

- To brudna praca - zauważyłem.

- Niezupełnie to miałam na myśli. Czy jest w tym jakaś forsa... Jeśli to nie jest niedyskretne pytanie?

- Niewielkie z tego pieniądze. A dużo zmartwienia. Ale i sporo zabawy. I zawsze przecież istnieje szansa, że się trafi większa sprawa.

- Jak się zostaje prywatnym detektywem? Nie weźmie mi pan za złe, że pana trochę przeegzaminuję? I niech mi pan przysunie ten stół, dobrze? Żebym mogła dosięgnąć butelek.

Wstałem i przez lustrzaną podłogę przesunąłem stół z wielką srebrną tacą w stronę pani Grayle. Nalała znów dwie szklaneczki. Miałem jeszcze połowę poprzedniej.

- Większość z nas to eks-policjanci - powiedziałem. - Przez jakiś czas pracowałem w Prokuraturze Stanowej. Wyrzucono mnie.

Uśmiechnęła się miło.

- Na pewno nie za brak kompetencji.

- Nie. Za odgryzanie się. Czy miała pani jeszcze jakie telefony?

- Hm... - Spojrzała na Annę Riordan. Wstrzymała się. Wyraz twarzy miała wymowny.

Panna Riordan wstała. Odniosła swoją szklaneczkę, wciąż nie napoczętą, na tacę.

- Przypuszczalnie nie zabraknie państwu - powiedziała. - Ale gdyby... I dziękuję pani za rozmowę. Nie wykorzystam tego. Ma pani moje słowo.

- Boże, chyba nie odchodzi już pani - zmartwiła się pani Grayle z tym swoim uśmiechem.

Anna Riordan przycięła dolną wargę zębami i przytrzymała ją tak przez chwilę, jak gdyby niezdecydowana, czy ma ją odgryźć i wyplunąć, czy też zachować jeszcze na jakiś czas.

- Przykro mi, ale już muszę. Jak pani wie, nie pracuję dla pana Marlowe'a. Jestem tylko znajomą. Do widzenia pani.

Blondyna rozpromieniła się.

- Mam nadzieję, że niedługo znowu pani do nas wpadnie. O każdej porze bardzo proszę.

Nacisnęła dwukrotnie dzwonek. To sprowadziło kamerdynera. Otworzył drzwi.

Panna Riordan szybko wyszła i drzwi się zamknęły. Przez chwilę jeszcze pani Grayle patrzyła na nie z ulotnym uśmiechem.

- Tak jest dużo lepiej, nie sądzi pan? - zapytała po chwili milczenia.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

- Pewno się pani zastanawia, skąd ona tyle wie, będąc tylko znajomą - zacząłem. - To zastanawiająca dziewczyna. Ciekawa. Część sama wygrzebała, jak na przykład, kim pani jest i do kogo należał ten nefrytowy naszyjnik. Części dowiedziała się przypadkiem. To ona wczoraj w nocy zjawiła się w tej dziurze, gdzie został zabity Marriott. Akurat wyjechała na przejażdżkę. Przepadkiem dostrzegła światło i zjechała tam.

- Och. - Pani Grayle szybko podniosła szklanę i skrzywiła się. - To straszne, jak człowiek o tym pomyśli. Biedny Lin. Niezły był z niego łajdak. Jak większość znajomych. Ale umrzeć taką śmiercią to straszne.

Wstrząsnęła się. Oczy jej się rozszerzyły i pociemniały.

- Więc panna Riordan jest w porządku. Nie będzie rozpowiadać. Jej ojciec przez długi czas był tu szefem policji - dodałem.

- Tak. Tak mi mówiła. Pan nie pije.

- Piję na swój sposób.

- Pan i ja powinniśmy pasować do siebie. Czy Lin... pan Marriott... powiedział panu, jak doszło do napadu?

- Zdarzyło się to na drodze stąd do Trocadero. Nie mówił dokładnie, w którym miejscu. Było ich trzech czy czterech.

Skinęła swoją złotą lśniąca główką.

- Tak. Wie pan, coś było dziwnego w tym napadzie. Zwrócili mi jeden z pierścionków, i to do tego dosyć piękny.

- Mówił mi o tym.

- A poza tym tego naszyjnika z nefrytu prawie nie nosiłam. W końcu to przedmiot muzealny, prawdopodobnie mało ma sobie równych, to rzadki gatunek nefrytu. A jednak rzucili się na niego. Nie sądziłabym, że go uznają za rzecz dużej wartości, a pan?

- Wiedzieli przecież, że inaczej by go pani nie nosiła. Kto znał jego wartość?

Zastanawiała się. Przyjemnie było przyglądać się jej w zamyśleniu. Wciąż nogi miała skrzyżowane, wciąż tak samo niedbale.

- Chyba różni ludzie.

- Ale nie było wiadomo, że go pani będzie miała na szyi tego wieczoru. Kto o tym wiedział?

Wzruszyła bladoniebieskimi ramionami. Staralem się utrzymać oczy na miejscu.

- Pokojówka. Ale ona miała setki okazji. I jej wierzę.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu pewnym ludziom wierzę. Wierzę panu.

- A wierzyła pani Marriottowi?

Twarz jej lekko stężała. W oczach zabłysła czujność.

- W niektórych sprawach nie. To zależy. Są w tym różnice.

Miała miły sposób wyrażania się, chłodny, trochę cyniczny, ale nie brutalny. Pięknie, wyraźnie zaokrągliała słowa.

- No, dobrze... a oprócz pokojówki? Szofer?

Potrząsnęła głową przecząco.

- Tego wieczora prowadził Lin, jechaliśmy jego wozem. Zdaje mi się, że George'a w ogóle nie było. To był czwartek?

- Mnie przy tym nie było. Marriott mówił, że jakieś cztery czy pięć dni przed tym, zanim mnie wezwał. Jeśli czwartek, to wczoraj byłby tydzień.

- No, to był czwartek. - Wyciągnęła rękę po moją szklanekę i przez moment dotykała palcami moich. Dotknięcie było miękkie. - George ma czwartkowe wieczory wolne. Wie pan, regularnie.

Szczodrze naląła mi łagodnie wyglądającej szkockiej i domieszała wody sodowej. Był to napój z rodzaju tych, które na pozór można by pić bez końca, uzyskując w wyniku tylko beztroskę. Siebie potraktowała tym samym.

- Czy Lin powiedział panu moje nazwisko? - zapytała łagodnie, wciąż z czujnością w oczach.

- Zadbał o to, żebym tego nie wiedział.

- Pewno też zwodził pana i co do czasu. Zastanówmy się nad faktami. Pokojówka i szofer odpadają. To jest, odpadają jako ewentualni współnicy.

- Moim zdaniem nic ich nie wyłącza.

- No, staram się przynajmniej pomóc - roześmiała się. - Jeszcze jest Newton, kamerdyner. Mógł tego wieczoru zauważyć naszyjnik u mnie na szyi. Naszyjnik jednak jest dosyć długi, a miałam na sobie etolę ze srebrnego lisa. Nie, nie sądzę, żeby go mógł widzieć.

- Założę się, że wyglądała pani jak marzenie.

- Chyba alkohol nie uderza panu do głowy?

- Zdarzały mi się przytomniejsze chwile.

Odrzuciła główkę do tyłu i wybuchła perlistym śmiechem. Znałem w życiu tylko cztery kobiety, które przy tym nie przestawały wyglądać pięknie. Była jedną z nich.

- Newton jest w porządku - powiedziałem. - Ludzie tacy jak on nie zadają się z chuliganami. Choć to też tylko domysł. A co z lokajem?

Zastanowiła się, poszukała w pamięci i potrząsnęła głową.

- On mnie nie widział.

- Może ktoś panią prosił, żeby pani włożyła ten naszyjnik?

Jej oczy przez moment stały się jeszcze czujniejsze.

- Nie uda się panu zrobić ze mnie idiotki - powiedziała.

Sięgnęła po moją szklaneczkę, żeby ją napełnić od nowa. Pozwoliłem jej na to, choć miałem jeszcze na cal whisky. Przyglądałem się pięknym liniom jej szyi.

Kiedy już naląła do szklaneczek i znowu zabawiliśmy się się nimi, zaproponowałem:

- Uporządkujmy fakty, a potem coś pani powiem. Niech mi pani opisz ten wieczór.

Spojrzała na zegarek na ręku, podciągając w tym celu długi rękaw.

- Powinnam być...

- Och, niech czeka.

Oczy jej na to rozbliły. Lubię je takie.

- Niektórzy ludzie pozwalają sobie na zbyt dużą śmiałość - skostatowała.

- Nie w moim zawodzie. Niech mi pani opisz ten wieczór. Albo niech mnie pani każe wyrzucić za drzwi. Jedno z dwojga. Niech się piękna pani zdecyduje.

- Lepiej niech się pan przesiedzie tu koło mnie.

- Myślę już o tym od dłuższego czasu - wyznałem. - Mówiąc dokładnie, od chwili kiedy założyła pani nogę na nogę.

Obciągnęła sukienkę w dół.

- Te cholerne kiecki zjeżdżają wciąż pod szyję.

Usiadłem koło niej w głębokim fotelu z żółtej skóry.

- Czy nie za szybko bierze się pan do rzeczy? - zapytała spokojnie.

Nie odpowiedziałem.

- Czy często się pan tym zajmuje? - zapytała rzucając mi powłóczyście spojrzenie.

- Właściwie wcale. W wolnym czasie jestem tybetańskim mnichem.

- Tylko że nie ma pan tego wolnego czasu.

- Skoncentrujmy się - zaproponowałem. - Skoncentrujmy tę resztę rozsądku, jaka nam pozostała... na tej sprawie. Ile ma mi pani zamiar zapłacić?

- Och, na tej sprawie! Zdawało mi się, że zamierza pan odzyskać mój naszyjnik. Czy też spróbować go odzyskać.

- Muszę się tym zająć po swojemu. O tak.

Pociągnąłem spory łyk whisky, od której o mały włos nie spadłem z fotela. Połknąłem trochę powietrza.

- I zająć się śledztwem w sprawie morderstwa - dodałem.

- To nie ma z tym nic wspólnego. To znaczy, chciałam powiedzieć, że to sprawa policji. No nie?

- Taak... tylko że ten biedak zapłacił mi sto dolarów, żebym go bronił... a ja tego nie zrobiłem. Dlatego czuję się winny. Dlatego chce mi się płakać. Mam płakać?

- Niech się pan napije.

Dolała mnie i sobie. Wydawało się, że whisky robi na niej mniej więcej takie wrażenie, jak woda na zaporze.

- A więc dokąd to doszliśmy? - zapytałem, usiłując tak utrzymać szklanekę, żeby nie wylać zawartości. - Nie było ani pokojówki, ani szofera, ani kamerdynera, ani lokaja. Jeszcze chwila, a okaże się, że sama pani sobie pierze. Jak doszło do napadu? Z pani wersji mogę się dowiedzieć szczegółów, których nie podał mi Marriott.

Pochyliła się i oparła brodę na dłoni. Wyglądała poważnie i niedziecinnie.

- Pojechaliśmy na przyjęcie na Brentwood Heights. Potem Lin zaproponował, żeby skoczyć do Trocadero popić i potańczyć. Tak zrobiliśmy. Na Sunset przeprowadzano jakieś roboty i było mnóstwo kurzu. Więc w powrotnej drodze Lin skręcił w Santa Monica. Droga biegła obok nędznego hotelu, nazywał się "Hotel Indio", zauważyłam to z jakiegoś głupiego powodu bez znaczenia. Po drugiej stronie ulicy był bar z piwem, a przed nim stał zaparkowany wóz.

- Przed piwiarnią? Tylko jeden wóz?

- Tak. Tylko jeden. To był bardzo nędzny lokal. Otóż ruszył za nami, ale oczywiście, to mnie wcale nie zastanowiło. Nie było żadnych powodów. A potem, zanim dojechaliśmy do miejsca, gdzie Santa Monica skręca w bulwar Arguello, Lin powiedział: "Jedźmy inną drogą", i skręcił w jakąś krętą ulicę z rezydencjami. Wtedy minął nas w pędzie jakiś wóz, obdrapał nam błotnik, podjechał do krawężnika i zatrzymał się. Mężczyzna w płaszczu, szaliku i kapeluszu nasuniętym nisko na oczy podszedł do nas z przeprosinami. Biały szalik miał zawiązany tak, że wystawał mu spod płaszcza, i to zwróciło moją uwagę. To chyba wszystko, co zauważyłam, jeżeli chodziło o niego, prócz tego, że był wysoki i szczupły. Jak się tylko zbliżył... a potem sobie przypominałam, że wcale nie wchodził w zasięg naszych świateł czołowych...

- To oczywiste. Nikt nie lubi, jak mu świecą w oczy. Niech się pani napije. Tym razem ja częstuję.

Siedziała pochylona do przodu, cienkie brwi - bez śladu tuszu - ściągnięte miała w zamyśleniu. Nalałam jej i sobie. Ciągnęła dalej:

- Jak się tylko zbliżył do wozu, od tej strony, gdzie siedział Lin, zarzucił sobie szalik na twarz i wyciągnął w naszą stronę pistolet. "Ręce do góry - powiedział. - Siedźcie spokojnie, a wszystko będzie dobrze". Wtedy z drugiej strony podszedł drugi mężczyzna.

- Na Beyerly Hills - wtrąciłem. - Czterech milach kwadratowych najlepiej strzeżonych przez policję w całej Kalifornii.

Wzruszyła ramionami.

- A jednak to się zdarzyło. Zażądali mojej biżuterii i torebki. Zrobił to ten mężczyzna w szaliku. Ten od mojej strony wcale się nie odzywał. Podałam je sięgając przed nosem Lina, a ten człowiek oddał mi z powrotem torebkę i jeden z pierścionków. Powiedział, żeby się przez jakiś czas wstrzymać z zawiadaniem policji i towarzystwa ubezpieczeniowego. Że oni nam zrobią godziwą i niekłopotliwą propozycję. Powiedział, że uznali, że łatwiej jest pracować za czysty procent. Zdawało mi się, że się wcale nie spieszy. Mówił, że mogliby pracować przez towarzystwo ubezpieczeniowe, gdyby musieli, ale wtedy by musieli dopuszczać do tajemnicy ludzi niepewnych i tego wołą nie robić. Mówił jak człowiek z pewnym wykształceniem.

- To mógł być Strojnis Eddie - powiedziałem. - Ale jego zamordowali w Chicago.

Wstrząsnęła się. Wypiliśmy i ciągnęła dalej:

- Potem odjechali, a my wróciliśmy do domu i powiedziałam Linowi, żeby nic o tym nikomu nie mówił. Na drugi dzień miałam telefon. Mamy dwa telefony, jeden, od którego idą inne połączenia, a drugi u mnie w sypialni, bez połączeń. Telefonowali na ten. Oczywiście ten numer jest zastrzeżony.

Skinałem głową.

- Numer można dostać za parę dolarów. Wciąż się to zdarza. Niektórzy z filmu muszą zmieniać numery co miesiąc.

Znów wypiliśmy.

- Powiedziałam temu, który dzwonił, żeby wszedł w kontakt z Linem, i jeżeli nie będą za bardzo nierozsądni, możemy dojść do porozumienia. Powiedział, że dobrze, a od tego dnia, jak sądzę, przyczaili się, żeby nas poobserwować jakiś czas. Na koniec, jak pan wie, zgodziliśmy się na osiem tysięcy i tak dalej.

- Poznałaby pani któregoś z nich?

- Na pewno nie.

- Czy Randall wie o tym wszystkim?

- Oczywiście. Czy musimy jeszcze o tym mówić? To mnie nudzi.

Uśmiechnęła się do mnie rozkosznie.

- Coś mówił na ten temat?

Ziewnęła.

- Pewno tak. Zapomniałam.

Siedziałem z pustą szklaneczką w ręku i myślałem. Zabrała mi ją i zaczęła nalewać od nowa.

Zabrałem jej napelnioną szklaneczkę, przełożyłem ją do lewej ręki, a prawą ująłem ją za lewą rękę. Była gładka, miękka, ciepła i miła. Uścisnęła moją rękę. Była silna. Była dobrze zbudowaną kobietą, nie żadnym papierowym kwiatkiem.

- Myślę, że miał jakąś teorię - powiedziała. - Ale nie powiedział, jaką.

- Każdy by z tego wysnuł jakąś teorię - orzekłem.

Powoli odwróciła głowę i popatrzyła na mnie. Potem skinęła głową.

- To się rzuca w oczy, prawda?

- Jak dawno go pani знаła?

- Och, od lat. Był kiedyś spikerem w radiostacji, która należała do mojego męża. KFDK. Tam go poznałam. Tam też poznałam mojego męża.

- Wiedziałem o tym. Ale Marriott żył tak, jakby był bogaty. Nie nadzwyczajnie bogaty, ale dosyć.

- Doszedł do pewnych pieniędzy i rzucił radio.

- Czy pani to wie na podstawie faktów, że doszedł do jakichś pieniędzy... czy on coś w tym sensie powiedział?

Wzruszyła ramionami. Ścisnęła mnie za rękę.

- Albo może nie była to żadna wielka forsa i szybko ją przepuścił. - Odpowiedziałem uściskiem na jej uścisk. - Czy pożyczał od pani?

- Czy nie jest pan trochę staroświecki?

Spojrzała na rękę, za którą ją trzymałem.

- Pracuję jeszcze. A pani whisky jest taka dobra, że jestem na pół trzeźwy. To nie znaczy, że musiałbym się upić, żeby...

- Tak. - Wysunęła dłoń z mojej ręki i potarła ją. - Musi pan mieć niezłą krzepę... w wolnym czasie. Oczywiście, że Lin Marriott był wysokiej klasy szantażystą. To nie ulega wątpliwości. Żył z kobiet.

- Miał coś na panią?

- Czy powinnam panu mówić?

- Prawdopodobnie nie byłoby to rozsądne.

Roześmiała się.

- A jednak powiem. Kiedyś u niego w domu trochę za dużo wypłam i straciłam przytomność. Rzadko mi się to zdarza. Wtedy zrobił mi parę zdjęć... z sukienką zadartą po szyję.

- Plugawa świnia - powiedziałem. - Czy ma pani któreś z nich pod ręką?

Trzepnęła mnie po rękę.

- Jak panu na imię? - zapytała szeptem.

- Fil. A pani?

- Helena. Pocałuj.

Miękko opadła mi na kolana, a ja nachyliłem się nad nią i zacząłem spijać miód z jej twarzy. Trzepocząc rzęsami muskała pocałunkami moje policzki. Kiedy doszedłem do jej ust, zastałem je uchylone i gorące. Między wargami czekał jak szarżujący wąż jej język.

Drzwi się otworzyły i do pokoju po cichu wszedł pan Grayle. Trzymałem ją w objęciu i w żaden sposób nie mogłem puścić. Podniosłem oczy i spojrzałem na niego. Ochłodem jak pięty Finnegana w dniu jego pogrzebu.

Blondyna w moich ramionach ani drgnęła, nie zamknęła nawet ust. Wyraz twarzy miała na pół rozmarzony, na pół sarkastyczny.

Pan Grayle odchrząknął po cichu i powiedział:

- Ależ przepraszam.

Po cichu wyszedł z pokoju. W oczach miał niezgłębiony smutek.

Odepchnąłem ją, wstałem, wyjąłem chusteczkę i wytarłem twarz.

Leżała tak, jak ją zostawiłem, wyciągnięta w poprzek fotela, ukazując szczodry pasek gołego ciała nad pończochą.

- Kto to był? - zapytała ochryple.

- Pan Grayle.

- Nie zważaj na niego.

Odsunąłem się od niej i usiadłem na krześle, na którym siedziałem przedtem.

Po chwili wyprostowała się, usiadła i popatrzyła na mnie przytomnym wzrokiem.

- To nic nie szkodzi. On rozumie. Czego, u licha, może się spodziewać?

- Przypuszczam, że wie.

- No, mówię ci, to nie szkodzi. Czego chcesz jeszcze? To chory człowiek. Co, u licha...

- Nie bądź natarczywa. Nie lubię takich.

Otworzyła leżącą obok torebkę, wyjęła małą chusteczkę, otarła usta i przejrzała się w lusterku.

- Chyba masz rację - powiedziała. - Po prostu za dużo wypiliśmy. Dziś w klubie "Belvedere". O dziesiątej.

Nie patrzyła na mnie. Oddychała szybko.

- Czy to dobre miejsce?

- Należy do Lairda Brunette. Znam go dosyć dobrze.

- W porządku - odpowiedziałem. Nadal byłem zmrożony. Czulem się podły, jakbym okradł jakiegoś biedaka.

Wyjęła szminkę, leciutko pociągnęła wargi i obdarzyła mnie powłóczystym spojrzeniem. Rzuciła mi lusterko. Schwyciłem je i przejrzałem się. Otarłem twarz chusteczką, wstałem i oddałem jej lusterko.

Odchyliła głowę do tyłu, pokazując długą szyję i leniwie patrząc na mnie spod rzęs.

- O co chodzi?

- O nic. O dziesiątej w klubie "Belvedere". Nie bądź zanadto wystrojona. Ja nie mam nic poza zwykłymi ciemnym ubraniem. W barze?

Skinęła głową, wciąż przypatrując mi się leniwie.

Przeszedłem przez pokój i wyszedłem nie oglądając się. W hallu podszedł lokaj i podał mi kapelusz z miną Wielkiej Kamiennej Twarzy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Odszedłem półkolistym podjazdem, zanurzyłem się w cień wysokich, przyciętych żywopłotów i wróciłem do bramy. Kto inny trzymał teraz straż. Był to osiłek w zwyczajnym ubraniu, ochrona osobista, co rzucało się w oczy. Wypuścił mnie nie skinąwszy nawet głową.

Usłyszałem dźwięk klaksonu. Obok mojego auta zaparkowane było coupé panny Riordan. Podszedłem i zajrzałem do środka. Minę miała chłodną i sarkastyczną.

Siedziała szczupła, z rękami na kierownicy, w rękawiczkach. Uśmiechnęła się.

- Czekałam. Przypuszczam, że nie powinnam się była wtrącać. Co też pan o niej sądzi?

- Założę się, że łatwo gubi majtki.

- Nie może pan zostawić tych swoich dowcipów! - Mocno się zaczerwieniła. - Czasami nienawidzę mężczyzn. Młodych, starych, piłkarzy, tenorów, sprytnych milionerów, pięknych mężczyzn, z których każdy to gigolo albo prawie fagas, albo... prywatny detektyw.

Ze smutkiem uśmiechnąłem się do niej.

- Wiem, że jestem za dowcipny. Taka ostatnio atmosfera. Kto pani powiedział, że on był gigolakiem?

- Kto?

- Niech pani nie będzie tępa, Marriott.

- Och, to było łatwo zgadnąć. Przepraszam. Nie miałam zamiaru być niegrzeczna. Zapewne, może pan jej pomagać w gubieniu majątek, ile razy ma pan na to ochotę, bez wielkiego jej oporu. Ale jednego może pan być pewny... zjawia się pan na tej scenie dosyć późno.

Szeroka, zakręcająca w tym miejscu ulica drzemała spokojnie w słońcu. Przed domem po drugiej stronie zatrzymała się łagodnym poślizgiem pięknie wymalowana furgonetka i, cofnąwszy się odrobinę, ruszyła podjazdem pod boczne wejście. Na ścianie furgonetki wymalowany był napis: "Bay City. Zaopatrzenie niemowląt".

Anna pochyliła się w moją stronę, jej szaroniebieskie oczy były urażone i zamglone. Uniosła przydługą górną wargę i przycisnęła ją do zębów. Sapnęła krótko.

- Na pewno wolałby pan, żebym pilnowała własnego nosa. I nie domyślała się niczego, czego pan się wprzód nie domyślił. Zdawało mi się, że coś niecoś pomogłam.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy. I policja nie chce, żebym jej w czymś pomagał. Nic nie mogę zrobić dla pani Grayle. Opowiada bajeczkę o jakiejś piwiarni, spod której ruszył za nimi jakiś wóz, ale co z tego? Jakaś nędzna melina na Santa Monica. A to byli faceci z dużą klasą. Jeden z nich na pierwszy rzut oka poznał się na tym nefrycie Fei Tsui.

- Jeżeli go nie uprzedzono o tym.

- I jeszcze to - dodałem i wygrzebałem papierosa z paczki. - Tak czy owak, nie widzę w tym nic dla siebie.

- Nawet zboczenia?

Wytrzeszczyłem oczy dosyć bezmyślnie.

- Zboczenia?

- Mój Boże - westchnęła. - I panu się zdaje, że pan jest detektywem.

- Na ten temat się nie mówi - powiedziałem. - Muszę być ostrożny. Ten Grayle ma kieszenie wypchane forszą. A prawo w tym mieście się kupuje. Niech pani popatrzy, jak dziwnie zachowują się gliny. Żadnej kampanii, gazety milczą, życzliwy cywil nie ma najmniejszej szansy wkroczyć ze swoją dowcipną teoryjką, która się potem okazuje genialną intuicją. Nabrali tylko wody w usta i ostrzegają mnie, żebym się nie wtrącał. Wcale mi się to nie podoba.

- Z grubsza szminkę pan wytarł - zauważyła. - Wspomniałam zboczenia. No, do widzenia panu. Z pewnych względów miło było poznać pana.

Włączyła starter, nacisnęła gaz i zniknęła w tumanie kurzu.

Patrzyłem, jak odjeżdża. Kiedy zniknęła, spojrzałem na drugą stronę ulicy. Z bocznych drzwi wyszedł mężczyzna z furgonetki z napisem "Bay City. Zaopatrzenie niemowląt" w mundurze tak białym, wykrochmalonym i lśniącym, że poczułem się czysty od samego patrzenia. Niósł jakieś kartonowe pudło. Wsiadł do furgonetki i odjechał.

Wyobraziłem sobie, że właśnie zmienił jakiemuś niemowlęciu pieluszkę.

Wsiadłem do swojego samochodu i zanim ruszyłem, spojrzałem na zegarek. Była prawie piąta.

Whisky, jak przystało na dobrą szkocką, działała jeszcze przez całą drogę do Hollywood. Nie zatrzymałem się ani razu pod czerwonym światłem.

- Oto miła dziewczynka - powiedziałem sobie na głos w wozie - dla faceta, któremu taka potrzebna. - Nikt nic nie odpowiadał. - Ale mnie potrzebna nie jest - dodałem. I na to nikt nie odpowiedział. - O dziesiątej w klubie "Belvedere". - oświadczyłem, a ktoś odpowiedział: - Tfu.

Zabrzmiało to jak mój własny głos.

Była za piętnaście szósta, kiedy z powrotem znalazłem przed swoją kancelarią. W budynku było bardzo cicho. Maszyna do pisania za ścianką działową umilkła. Zapaliłem fajkę, usiadłem i czekałem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Indianin śmierział. Śmierział już w mojej małej poczekalni; kiedy zabrzączał dzwonek i otworzyłem drzwi między kancelarią a poczekalnią, żeby zobaczyć, kto dzwoni. Stał na korytarzu tuż za drzwiami jak posąg z brązu. Od pasa w górę był potężnym mężczyzną i miał potężną klatkę piersiową. Wyglądał jak włóczęga.

Miał na sobie brązowy garnitur, marynarkę za ciasną w ramionach i spodnie, które musiały go trochę uwierać pod pachami, kapelusz co najmniej o dwa numery za mały i na wylot przepocony na kimś, na kogo lepiej pasował, kapelusz sterczał mu na głowie mniej więcej tak jak chorągiewka na dachu. Jego szyję otulał kołnierzyk od koszuli jak chomało, w przybliżeniu takiego samego brudnobrunatnego koloru. Wypuszczony na zapiętą marynarkę wisiał czarny krawat zaciągnięty chyba obcęgami w węzeł wielkości groszku. Nagą potężną szyję nad brudnym kołnierzykiem owijała mu szeroka czarna aksamitka, taka jakie noszą staruszki dla podtrzymania zwiędłej skóry.

Miał wielką, płaską twarz, sterczący mięsisty nos, ostry jak dziób krawężnika, oczy bez powiek, obwisłe policzki, bary kowala, krótkie i chyba krzywe nogi szympansa. Potem się przekonałem, że były tylko krótkie.

Gdyby go trochę umyć i ubrać w białą nocną koszulę, wyglądałby jak bardzo zdeprawowany rzymski senator.

Smród Indianina był naturalnym smrodem ludzi prymitywnych, a nie smrodem miejskich rynsztoków.

- He - odezwał się. - Iść szybko. Iść już.

Cofnąłem się do kancelarii, kiwnąłem na niego palcem, a on wszedł za mną tak bezszelestnie, jakby był muchą poruszającą się po ścianie. Usiadłem za biurkiem, urzędowo skrzypnąłem obrotowym fotelem i wskazałem na krzesło dla interesantów po drugiej stronie biurka. Nie usiadł. Jego czarne oczka patrzyły wrogo.

- Iść dokąd? - zapytałem.

- He. Jestem Drugi Zasiew. Hollywoodzki Indianin.

- Niech pan siada, panie Zasiew.

Parsknął i nozdrza mu się rozszerzyły. I bez tego każde z nich było jak wlot do mysiej nory.

- Nazywam się Drugi Zasiw. Nie żaden pan Zasiw.

- Czym mogę panu służyć?

Podniósł głos i zaintonował głębokim grzmiącym basem:

- Powiedział, przyść szybko. Wielki biały ojciec mówi, przyść szybko. Mówi, żebym cię przywiózł ognistym wozem. Mówi...

- Dobra, dobra, zostaw tę łacinę - przerwałem mu. - Nie jestem instruktorką tańca węzów.

- Wariat - stwierdził Indianin.

Przez moment szczerzyliśmy do siebie zęby nad biurkiem. On robił to lepiej niż ja. Potem z namacalnym prawie obrzydzeniem zdjął kapelusz i wyrzucił go do góry podszewką. Przeciągnął wokoło palcem pod skórzanym potnikiem. Czynność ta ukazała ludzkim oczom cały potnik, którego nazwa okazała się w pełni uzasadniona. Zsunął przytrzymujący go spinacz i rzucił na biurko złożoną bibułkę. Ze złością wskazał na nią dobrze ogryzionym paznokciem. Na czubku głowy za ciasny kapelusz odcisnął kółko na jego prostych, gładkich włosach.

Rozwinąłem bibułkę i znalazłem w środku wizytówkę. Nie była dla mnie niczym nowym. Trzy dokładnie takie same znalazłem w ustnikach trzech na pozór rosyjskich papierosów.

Bawiąc się fajką wlepiłem wzrok w Indianina i usiłowałem zmusić go do spuszczenia oczu. Wyglądał na człowieka tak samo pozbawionego nerwów jak mur z cegieł.

- No, dobra, czego on chce?

- Chce, żebyś szybko przyść. Iść zaraz. Ognistym wo...

- Wariat - przerwałem mu.

To mu się podobało. Powoli zamknął usta, uroczyście przymrużył oko i prawie się uśmiechnął.

- Będzie też musiał wyłożyć sto dolarów - dodałem, starając się mówić z taką miną, jakby szło o grosze.

- He?

Znów stał się podejrzliwy. Trzeba się trzymać prostych słów.

- Sto zieleńców - wyjaśniłem. - Sto papierków. Pocieszyli słownie sto. Ja nie dostać forsy, ja nie jechać. Jasne?

I zacząłem na palcach obu rąk liczyć do stu.

- He. Nie ma żartów - zakpił Indianin.

Pogrzebał pod wysmakowanym potnikiem kapelusza i rzucił na biurko drugi zawinięty w bibułę pakiecik. Podniosłem go i rozwinąłem. Zawierał nowiuteńki banknot studolarowy.

Indianin włożył kapelusz na głowę, nie troszcząc się o zawinięcie potnika do środka. Kapelusz wyglądał w ten sposób tylko odrobinę bardziej śmiesznie. Siedziałem i wpatrywałem się w sto dolarów z rozdziawionymi ustami.

- Niezły ten psychiatra - powiedziałem wreszcie. - Boję się faceta, który jest taki domyślny.

- Nie mieć cały dzień - zauważył Indianin tonem konwersacji.

Otworzyłem biurko i wyjąłem automatycznego colta 38, typu znanego jako Super Match. Nie miałem go idąc z wizytą do pani Lewin Lockridge Grayle. Zdjąłem marynarkę, założyłem kaburę operacyjną, wcisnąłem do niej pistolet, zapiąłem ją i z powrotem włożyłem marynarkę.

Na Indianinie zrobiło to akurat takie wrażenie, jakbym podrapał się w szyję.

- Mieć wóz - powiedział. - Duży wóz.

- Nie podobają mi się już duże wozy. Mam swój.

- Jechać mój wóz - oświadczył z groźbą w głosie.

- Jechać twój wóz - zgodziłem się.

Zamknąłem biurko i kancelarię, wyłączyłem dzwonek i wyszedłem, zostawiając drzwi do poczekalni otwarte jak zwykle.

Przeszliśmy przez korytarz do windy. Indianin śmierdział. Nawet windziarz to zauważył.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Był to siedmioosobowy granatowy sedan, ostatni model Packarda robiony na zamówienie. Samochód, w jakim się nosi naszyjniki z pereł. Zaparkowany był przy hydrancie przeciwpożarowym, a za kierownicą czekał ciemnoskóry szofer o

wyglądzie cudzoziemca i twarzy rzeźbionej w drzewie. Tapicerka była z pikowanego szarego jedwabnego rypsu. Indianin posadził mnie na tylnym siedzeniu. Siedząc tam samotnie, czułem się jak wysokiej klasy nieboszczyk wystawiony na publiczny widok przez przedsiębiorcę, pogrzebowego z wielkim poczuciem smaku.

Indianin usiadł obok szofera, wóz zawrócił na środku ulicy, a policjant stojący po przeciwnej stronie zaprotestował słabym głosem, jakby nie na serio, i prędko się nachylił, żeby zawiązać sznurowadło.

Ruszyliśmy na zachód, zjechaliśmy na Sunset i sunęliśmy szybko i bezgłośnie. Indianin siedział nieruchomy obok szofera. Od czasu do czasu czułem go węchem. Szofer wyglądał tak, jakby drzemał, ale wyprzedzał rajdowców w otwartych sedanach bez wysiłku. Wszyscy dawali mu wolną drogę. Zdarzają się tacy kierowcy. I na takich trafiał...

Przejechaliśmy milowej długości jaskrawe półkole Stripu z antykwariatami reklamującymi się sławnymi nazwiskami gwiazd ekranu, wystawami pełnymi nicianych koronek i starych naczyń, z eleganckimi nocnymi lokalami sławnymi z szefów kuchni i sal gry, zarządzanymi przez ogładzonych adeptów Sinej Bandy, z domem mody z czasów kolonialnych, dziś sprzedającym stare kapelusze, ze zgrabnymi budowlami w stylu moderne, w których hollywoodzcy handlarze żywym towarem nie przestają gadać o interesach i zarobkach, z barem, w którym nie trzeba wysiadać z samochodu i który jakoś tu nie pasował, mimo że kelnerki ubrane były w białe jedwabne bluzki, czaka doboszów, a poniżej już tylko w wysokie buty ze lśniącej heskiej skóry. Minęliśmy to wszystko i zjechaliśmy szerokim, łagodnym łukiem na okrężnicę Beverly Hills, od południa z widokiem na światła wszystkich kolorów tęczy, i kryształowo czyste w bezmglisty wieczór, od północy na ocienione rezydencje na stokach gór, minęliśmy samo Beverly Hills i wjechaliśmy na kręty podgórski bulwar, w nagły chłodny zmierzch i powiew wiatru od oceanu.

Popołudnie było ciepłe, ale się tego nie czuło. Przemknęliśmy, mijając z daleka grupę oświetlonych budynków i nie kończący się rząd lśniących od świateł rezydencji, stojących niezbyt blisko szosy. Zjechaliśmy w dół, żeby ominąć wielkie zielone tereny do gry w polo, sąsiadujące z nie mniejszym terenem do ćwiczeń, wznieśliśmy się znów na szczyt wzgórza i wykręciliśmy w stronę gór stromą górską szosą z gładkiego, asfaltu, biegnącą między pomarańczowymi gajami, kaprysem jakiegoś nababa, bo pomarańcze na ogół tu nie rosną. Stopniowo skończyły się oświetlone okna milionerskich siedzib, szosa się zwężyła i już byliśmy w Stillwood Heights.

Z jakiegoś kanionu powiało zapachem szałwi, co mi przypomniało nieboszczyka i bezkسیężycową noc. Stiukowe domy z rzadka tkwiły w zboczu jak płaskorzeźby. Dalej nie było już domów, tylko ciemne i ciche wzgórza, nad nimi parę wczesnych gwiazd, wstażka asfaltu i po jednej stronie strome urwisko nad karłowatymi dębami i manzanitą, skąd można chwilami, jeżeli się postoi cicho i zaczeka, dosłyszeć wołanie przepiórki. Po drugiej stronie drogi ciągnął się pas nagiej gliny, na którego skraju

rozsiane z rzadka polne kwiaty czepiały się wytrwale jak niegrzeczne dzieci, kiedy nie chcą iść do łóżka.

Potem droga skręciła w wąziutki przesmyk, pod potężnymi oponami zagrzecotały luźne kamyki i samochód wdarł się już nie tak bezszelestnie na długi podjazd obsadzony dzikim geranium. U szczytu podjazdu, dyskretnie oświetlony, samotny jak latarnia morska, stał zamek czarnoksiężnika, orle gniazdo, czworokątny budynek ze stiuku i szklanej cegły, surowy i modernistyczny, a jednak niebrzydki i całkiem szykowny jak na siedzibę, na której konsultant psychiatryczny wywiesił swój szyld. Nikt by stąd nie dosłyszał żadnych wrzasków.

Samochód zakręcił pod domem i jedno ze świateł przesunęło się po czarnych drzwiach w grubym murze. Indianin pomrukując wygramolił się z wozu i otworzył tylne drzwi. Szofer zapalił papierosa elektryczną zapalniczką i ostry zapach tytoniu owiał mnie miękko w wieczornym powietrzu. Wysiadłem.

Podeszliśmy do czarnych drzwi. Otworzyły się same, powoli, prawie z groźbą. Za nimi zanurzał się w głąb domu wąski korytarzyk, światło wydobywało się ze szklanych cegieł ścian.

- He. Wchodzić, ważna osoba - warknął Indianin.

- Za panem, panie Zasiew.

Zaskowyczał i wszedł, a drzwi zamknęły się za nami tak samo bezszelestnie i tajemniczo, jak się otworzyły. Wcisnęliśmy się do windy na końcu korytarza, Indianin zamknął drzwi i nacisnął guziczek. Wznieśliśmy się łagodnie, bez szmeru. Smród przedtem wydzielany przez Indianina był jak poświęta księżycyca wobec tego, jaki wydzielał teraz.

Winda stanęła, drzwi się otworzyły. Ujrzałem światło i znalazłem się w pokoju na szczycie wieżyczki, gdzie dzień wciąż jeszcze nie dawał się zapomnieć. Ze wszystkich stron były okna. W dali migotał ocean. Ciemność wpełzała na wzgórza powoli. Między oknami ściany były obite boazerią, na podłodze leżały dywany koloru starych dywanów perskich i stało biurko wyglądające tak, jakby je zrobiono z rzeźb skradzionych ze starożytnego kościoła. Za biurkiem siedziała kobieta i uśmiechała się do mnie suchym i zwiędłym uśmiechem, który pod dotknięciem mógłby się rozsypać w proch.

Miała przylizane wijące się włosy i ciemną, suchą, wyniszczoną twarz Azjatki. W uszach ciężkie kamienie, ciężkie pierścionki na palcach, wśród nich jeden z kamieniem księżycowym i jeden ze szmaragdem oprawnym w srebro, chyba prawdziwym, choć jednocześnie coś w nim było z szyku bransoletki kupionej w sklepiku z tandetą. Przy tym ręce miała suche i ciemne, niemłode, nie do pierścionków.

Odezwała się. Głos zabrzmiał znajomo.

- Ach, to pan Marlowe, to bardzo miło, że pan przybywa. Amthor bardzo się ucieszy.

Położyłem przed nią na biurku studolarowy banknot, który dostałem od Indianina. Obejrzałem się. Indianin zjechał na dół windą.

- Przepraszam. To był miły pomysł, ale nie mogę tego przyjąć.

- Amthor... on chce pana zatrudnić, nie?

Znów się uśmiechnęła. Wargi jej zaszeleściły jak bibułka.

- Najpierw muszę się dowiedzieć, w jakim charakterze.

Skinęła głową i powoli uniosła się zza biurka. Śmignęła przede mną w opiętej sukni, która przylegała do ciała jak łuska syreny i uwydatniała kształty piękne, jeśli kto lubi kobiety od pasa w dół grubsze o cztery numery.

- Zaprowadzę pana - oznajmiła.

Nacisnęła guziczek w boazerii i jakieś drzwi rozsunęły się bez najlżejszego szmeru. Za nimi ujrzałem mleczną poświatę. Obejrzałem się, zanim wszedłem, i spotkałem jej uśmiech. Starszy był od Egiptu. Drzwi za mną zasunęły się po cichu. W pokoju nie było nikogo.

Miał kształt ośmiokąta, ściany od góry do dołu obite czarnym aksamitem, a wysoko w górze czarny sufit też, mógł być z aksamitu. Pośrodku czarnego jak smoła i idealnie matowego dywanu stał ośmiokątny biały stolik nie większy jak na dwie pary łokci, a pośrodku niego na czarnej podstawce mlecznobiała kula. Z niej wydobywało się światło. Jakim sposobem, nie było widać. Po obu stronach stolika stały białe ośmiokątne stołki, jak jego mniejsze wydania. Pod jedną ze ścian - jeszcze jeden taki stołek. Nie było okien. Nic więcej nie było w pokoju, literalnie nic. Żadnego nawet drobiazgu na ścianie. Jeżeli pokój miał jeszcze jakieś drzwi, nie było ich widać. Obejrzałem się na te, przez które wszedłem. I ich nie mogłem już dojrzeć.

Czekałem tak może z piętnaście sekund z niewyraźnym i niewytłumaczalnym poczuciem, że jestem obserwowany. Prawdopodobnie była gdzieś jakaś szpara, ale nie mogłem jej umiejscowić. Zrezygnowałem. Wsłuchałem się w swój oddech. W pokoju było tak cicho, że słyszałem, jak wciąga go przez nos po cichu, z szelestem przypominającym szmer poruszających się firanek.

Nagle w najdalszym końcu pokoju rozsunęły się niewidoczne drzwi, wszedł przez nie jakiś mężczyzna i drzwi się zamknęły. Z opuszczoną głową podszedł prosto do stołu, usiadł na jednym z ośmiokątnych stołków i wykonał powłóczysty gest jedną z najpiękniejszych rąk, jakie widziałem w życiu.

- Proszę usiąść. Naprzeciwko mnie. Proszę nie palić i siedzieć spokojnie. Niech się pan spróbuje całkowicie odprężyć. Czym mogę panu służyć?

Usiadłem, włożyłem papierosa do ust i przesunąłem go wargami, nie zapalając. Przyjrzałem mu się. Był szczupły, wysoki i prosty jak stalowa trzcina. Miał najjaśniejsze i najedwabistsze siwe włosy, jakie widziałem. Jakby przesiane przez jedwabną gazę. Cerę świeżą jak płatek róży. Mógł mieć trzydzieści pięć albo sześćdziesiąt pięć lat. Tego nie można było określić. Włosy miał prosto szesane z czoła i profil nie gorszy od Barrymore'a w najlepszym jego okresie. Brwi czarne jak smoła, jak ściany tego pokoju, jego sufit i podłoga. Oczy głębokie, o wiele za głębokie. Było to bezdenne spojrzenie narkomana albo somnambulika. Jak studnia, o której gdzieś czytałem. Miała ona dziewięćset lat i znajdowała się w starym zamku. Wrzucało się do niej monetę i czekało. Nasłuchiwało się i czekało, potem rezygnowało z czekania, człowiek wybuchał śmiechem i, już kiedy miał odchodzić, dalekie, nieskończenie ciche pluśnięcie odzywało się z dna, tak ciche, tak odległe, że prawie nie sposób sobie wyobrazić, że taka studnia mogłaby istnieć.

Takie właśnie głębokie były jego oczy. Jednocześnie jednak nie miały żadnego wyrazu, duszy, były to oczy zdolne spokojnie się przyglądać lwom rozzdzierającym na strzępy człowieka albo wbijaniu na pal i wydzieraniu oczu ofierze, która krzyczy pod palącym słońcem.

Miał na sobie dwurzędowy czarny garnitur skrojony przez artystę. Spojrzał dyskretnie na moje palce.

- Proszę się nie kręcić - powiedział. - To zakłóca fale i przeszkadza w koncentracji.

- Roztopia lód, masło i prowokuje koty do wrzasku - dodałem.

Uśmiechnął się najbardziej nieuchwytnym z uśmiechów.

- Zdaje się, że pan zapomina, po co tu przyszedłem. Ale, ale, te sto dolarów oddałem pańskiej sekretarce. Przychodzę, jak pan sobie przypomina, w sprawie pewnych papierosów. Rosyjskich papierosów nabitych marihuaną. Z pańską wizytówką zawiniętą w ustnik.

- Pan chce się dowiedzieć, skąd one się tam wzięły?

- Właśnie. I to ja powinienem panu zapłacić sto dolarów.

- To nie będzie konieczne. Odpowiedź jest prosta. Istnieją rzeczy, o których nie wiem. To właśnie jedna z nich.

Przez moment prawie mu uwierzyłem. Twarz miał gładką jak anielskie skrzydło.

- Więc dlaczego przysłał mi pan sto dolarów... i indiańskiego osiłka, który śmierdzi... i samochód? Ale, ale, czy ten Indianin musi śmierdzić? Jeżeli już u pana pracuje, czy nie mógłby pan, że tak powiem, zmusić go, żeby się wykąpał?

- On jest naturalnym medium. Tacy są rzadkością... jak diamenty, i jak diamenty człowiek je czasami w brudzie znajduje. O ile dobrze pojmuję, pan jest prywatnym detektywem?

- Tak.

- Myślę, że pan jest bardzo głupi. Wygląda pan na głupiego. Siedzi pan w głupim zawodzie. I przychodzi tu pan z głupią misją.

- Pojmuję - powiedziałem. - Jestem głupi. Zrozumiałem to nareszcie.

- A ja myślę, że nie potrzebuję pana dłużej zatrzymywać.

- Pan mnie nie zatrzymuje. To ja pana. Chcę wiedzieć, dlaczego te wizytówki znalazły się w papierosach.

Wzruszył ramionami tak nieuchwytnie, że bardziej już nie można.

- Moje wizytówki są dostępne dla każdego. Nie daję znajomym papierosów z marihuaną. Pana pytanie pozostaje głupie.

- Zastanawiam się, czy nie zrehabilituje mnie trochę pewien fakt. Te papierosy leżały w tandetnej chińskiej czy japońskiej papierośnicy z imitacją szylkretu. Oglądał pan kiedy takie?

- Nie. W każdym razie nie przypominam sobie.

- Mogę moje pytanie jeszcze bliżej uzasadnić. Papierośnica znajdowała się w kieszeni człowieka nazwiskiem Lindsay Marriott. Słyszał pan kiedy o nim?

Zastanowił się.

- Tak. Próbowałem go kiedyś wyleczyć z tremy przed kamerą. Chciał się dostać do filmu. Była to strata czasu. W filmie go nie chcieli.

- Nic dziwnego - zauważyłem. - Wychodziłby na zdjęciach jak Izadora Duncan. Zostało mi jeszcze najważniejsze. Dlaczego przysłał mi pan tę setkę?

- Drogi panie - powiedział chłodno - nie jestem głupcem. Wykonywanie mojego zawodu to zajęcie bardzo delikatne. Jestem szarlatanem. To znaczy, zajmuję się przypadkami, których nie mogą się podjąć lekarze z tego ich zastrachanego towarzystwa wzajemnej adoracji. Przez cały czas jestem wystawiony na

niebezpieczeństwo... ze strony ludzi takich jak pan. Pragnę tylko ocenić to niebezpieczeństwo, zanim przyjdzie.

- I w moim wypadku było ono błahe, co?

- Prawie nie istniejące - potwierdził grzecznie i wykonał dziwny ruch lewą ręką, który przyciągnął moje oczy. Następnie bardzo powoli opuścił rękę na stolik, spojrzął na nią, znów podniósł swoje bezdenne oczy i założył ręce.

- Słuch pana..

- To węch - powiedziałem. - Nie myślałem o nim.

Spojrzałem w lewo. Na trzecim stołku, na tle czarnej, aksamitnej ściany siedział Indianin.

Był w jakimś białym kitlu włożonym na ubranie. Siedział bez ruchu, z oczyma zamkniętymi, z głową lekko pochyloną do przodu, jakby spał już od godziny. Jego ciemna, silna twarz porysowana była cieniem.

Odwrociłem się znów do Amthora. Na twarzy miał swój nieuchwytny uśmiech.

- Założę się, że na taki widok wszystkie te starsze panie gubią sztuczne szczęki ze strachu - powiedziałem. - A co on robi, kiedy się rzeczywiście zapłaci pełną stawkę? Siada panu na kolanach i śpiewa francuskie przeboje?

Wyraził gestem zniecierpliwienie.

- Proszę przejść do rzeczy.

- Wczoraj wieczorem Marriott zaangażował mnie jako, towarzysza wyprawy, której celem było wpłacenie forsy jakimś rzeźmieszkom w miejscu wybranym przez nich. Dostałem po głowie. Kiedy się ocknąłem, okazało się, że Marriott padł ofiarą morderstwa.

Nic się zbytnio nie zmieniło w twarzy Amthora. Nie wrzasnął ani nie zaczął wspinać się na ściany. Ale jak na niego, reakcja była ostra. Rozłożył ręce i złożył je w inny sposób. Usta przybrały ponury wyraz. Za chwilę już jednak siedział jak kamienny lew przed Biblioteką Publiczną.

- Te papierosy znaleziono przy nim - dodałem.

Spojrzał na mnie zimno.

- Ale nie przez policję, jak widzę. Ponieważ policja mnie nie odwiedzała.

- Zgadza się..

- Te sto dolarów - wyjaśnił bardzo cicho - to wcale nie było dosyć.

- To zależy, co pan ma zamiar kupić.

- Ma pan te papierosy przy sobie?

- Jednego. Ale papierosy niczego nie dowodzą. Jak pan sam mówił, pana wizytówki są dostępne dla każdego. Zastanawiam się tylko, dlaczego znalazły się tam, gdzie się znalazły. Ma pan jakąś hipotezę?

- Jak dobrze znał pan pana Marriotta? - zapytał cicho.

- W ogóle go nie znałem. Ale miałem co do niego swoje hipotezy. Po prostu same się narzucały.

Amthor zastukał lekko palcami o biały stolik. Indianin wciąż spał, z brodą opartą o potężną klatkę piersiową, z ciężkimi powiekami mocno zaciśniętymi.

- Ale, ale, czy poznał pan kiedy niejaką panią Grayle, zamożną damę z Bay City?

Skinał obojętnie głową.

- Owszem. Leczyłem jej ośrodki mowy. Cierpiała na lekkie zakłócenia.

- Piękne osiągnięcie - powiedziałem. - Dzisiaj mówi równie dobrze jak ja.

To go nie zdołało rozbawić. Nadal stukał w stolik.

Wysłuchałem się w to stukanie. Coś mi się w nim nie podobało. Brzmiało jak szyfr. Przestał stukać, znowu założył ręce i odchylił się do tyłu.

- Co mi się w tej sprawie podoba, to to, że wszyscy się znają - zauważyłem. - Pani Grayle też znała Marriotta.

- Skąd pan się tego dowiedział? - zapytał powoli.

Nie odpowiedziałem.

- Będzie pan musiał powiedzieć policji... o tych papierosach - stwierdził.

Wzruszyłem ramionami.

- Pan się zastanawia, dlaczego nie każę wyrzucić pana za drzwi - ciągnął Uprzejmie Amthor. - Drugi Zasiew może panu złamać kark jak łydkę pora. Ja sam się temu dziwię. Wydaje mi się, że coś pan zamyśla. Szantażystom nie płacę. Nic się w ten

sposób nie kupi... a i nie brak mi przyjaciół. Oczywiście, istnieją jednak pewne typy, które chciałyby mnie przedstawić w niekorzystnym świetle. Psychiatryzy, seksuolodzy, neurologi, mali podli ludzie z gumowymi młoteczkami i półkami pełnymi literatury na temat zbrodni. I oczywiście wszyscy oni to... doktorzy. A ja jestem tylko szarlatanem. Co pan zamyśla?

Próbowałem zmusić go do spuszczenia oczu, ale to się nie dało zrobić. Poczulem, że zwilżam sobie wargi.

Wstrząsnął się lekko.

- Nie mogę pana winić, że woli pan to zatrzymać przy sobie. Nad tą sprawą muszę pomyśleć. Może pan jest o wiele inteligentniejszy, niż sądziłem. Ja też popełniam omyłki. Tymczasem...

Pochylił się do przodu i położył dłonie na mlecznej kuli.

- Przypuszczam, że Marriott zajmował się szantażowaniem kobiet - powiedziałem. - I spełniał rolę wtyczki dla gangu zajmującego się kradzieżą klejnotów. Ale kto mu mówił, którą kobietą może się zająć... żeby mógł spenetrować jej plan dnia, wejść z nią w zażyłość, zostać jej kochankiem, namówić ją, żeby się obwiesiła szkiełkami, i zaprosić do lokalu, a potem wymknąć się do telefonu i wskazać chłopakom, gdzie się mają przyczaić?

- Tak - powiedział uważnie Amthor - pan sobie wyobraża Marriotta... i mnie. To niezbyt smaczne.

Pochyliłem się tak, że moją twarz dzieliło od jego twarzy najwyżej ćwierć metra.

- Pan jest przestępcą. Niech pan to upiększa, jak pan chce, zawsze to przestępstwo. I nie chodzi tu o te wizytówki, które, jak pan mówi, każdy może zdobyć. Nie chodzi o marihuanę. Pan by się taką tandetą nie zajmował... przy pana możliwościach. Na odwrocie każdej z tych kart jednak jest czyste miejsce. A na czystych czy nawet zapisanych miejscach pisze się czasem niewidocznym atramentem.

Uśmiechnął się złowieszczo, prawie niedostrzegalnie. Jego ręce poruszyły się na mlecznej kuli.

Światło zgasło. W pokoju zapadła absolutna ciemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kopnąłem stół do tyłu, zerwałem się i wyszarpnąłem pistolet spod pachy. Na nic się to jednak nie zdało. Marynarkę miałem zapiętą i działałem za wolno. I tak zresztą bym nie zdążył, gdyby przyszło do strzelaniny. W zupełnej ciszy poczułem powiew powietrza i ostry smród. W nieprzeniknionym mroku Indianin rzucił się na mnie od

tyłu i przyspilił mi ręce do boków. Zaczął mnie unosić w górę. Mogłem jeszcze wydobyć pistolet i na ślepo ostrzelać pokój, ale moi przyjaciele znajdowali się daleko. Wyglądało na to, że nie ma w tym wielkiego sensu.

Puściłem pistolet i złapałem go za przeguby rąk. Były śliskie i trudno było je utrzymać. Indianin oddychał chrapliwie i posadził mnie tak, że wstrząs mało nie strącił mi głowy z karku. Teraz on trzymał mnie za ręce. Wykręcił je do tyłu w mgnieniu oka i wbił mi kolano w plecy, jakby walił kamiennym narożnikiem. Zgiął mnie. Można mnie zgiąć. Nie jestem ratuszem. Zgiął mnie.

Próbowałem krzyczeć, zupełnie bez celu. Oddech tłukł mi się w gardle i nie mógł się wydostać. Indianin rzucił mnie na bok, a kiedy upadłem, wziął mnie w nożyce. Potem w beczkę. Jego ręce przesunęły mi się na kark. Czasami budzę się w nocy. Czuję je tam i czuję jego zapach. Czuję zdławiony oddech i wbijające się ośliże palce. Wstaję wtedy, wypijam coś mocniejszego i włączam radio.

Traciłem już przytomność, kiedy znowu zabłysło światło, czerwone jak krew, ponieważ krew napłynęła mi do oczu i mózgu. Jakaś twarz unosiła się nade mną i delikatnie dotykała mnie czyjaś łapa, ale tamte ręce nie ruszały się z mojego gardła.

- Daj mu trochę odsapnąć - powiedział cichy głos.

Uchwyt palców zelżał. Wyrwałem im się. Coś połyskliwego uderzyło mnie z boku w szczękę.

- Podnieś go na nogi - powiedział cichy głos.

Indianin podniósł mnie na nogi. Podciągnął mnie do ściany, trzymając za wykręczone w przegubach ręce.

- Amator - powiedział cichy głos i ten lśniący przedmiot, śmiertelnie twardy i ostry, uderzył mnie znowu w twarz. Pocięło coś ciepłego. Zlizalem to. Było słone i żelaziste.

Jakaś ręka przeszukała mój portfel. Jakaś ręka przeszukała mi wszystkie kieszenie. Znalazła papierosa zawiniętego w bibułkę i rozwinęła go. Zniknął gdzieś w poświacie przede mną.

- Ile tam było papierosów, trzy? - zapytał łagodnie głos i lśniący przedmiot znowu uderzył mnie w szczękę.

- Trzy - wycharknąłem.

- Jak pan mówił? Gdzie są tamte?

- W moim biurku... w kancelarii.

Lśniący przedmiot znów mnie uderzył.

- Pewno pan kłamie... ale mogę się przekonać.

Przede mną śmieszne czerwone odblaski zapaliły się na pęku kluczy. Głos powiedział:

- Przyduś go jeszcze.

Żelazne palce wbiły mi się w gardło. Przegiął mnie do tyłu, przyciskając ciasno do siebie, do swojego smrodu i twardych mięśni swojego brzucha. Podniosłem rękę, chwyciłem go za palec i spróbowałem mu go wykręcić.

- Zdumiewające - powiedział cichy głos. - On się uczy.

Lśniący przedmiot znowu zatoczył łuk. Trzasnął mnie w szczękę, w to, co kiedyś było moją szczęką.

- Puść go. Już ma dosyć - powiedział głos.

Grube, silne ramiona puściły mnie, zatoczyłem się krok do przodu i złapałem równowagę. Przede mną stał Amthor uśmiechając się prawie niedostrzegalnie, z wyrazem prawie rozmarzenia. W delikatnej, pięknej ręce trzymał mój pistolet. Celował mi w pierś.

- Mogę panu dać nauczkę - powiedział swoim cichym głosem. - Ale po co? Brudny człowieczek w małym brudnym światku. Plamka jasności nie zmieni niczego. Czyż nie?

Uśmiechnął się przepięknie.

Rzuciłem się na niego zużywając wszystkie siły, jakie mi pozostały.

Nie byłem taki słaby, zważywszy, przez co przeszedłem. Zatoczył się i krew chlusnęła mu nosem. Wyprostował się zaraz i znowu uniósł pistolet.

- Niech pan siada, dziecinko - powiedział cichym głosem. - Spodziewam się gości. Cieszę się, że pan mnie uderzył. To się bardzo przyda.

Ręką poszukałem stołka, usiadłem i oparłem głowę o biały stół, pod mleczną kulą, która znowu łagodnie świeciła. Patrzyłem na nią z boku, z policzkiem na stole. Światło mnie fascynowało. Piękne światło, miłe, łagodne światło.

Za mną i wokół mnie była tylko cisza.

Chyba usnąłem, siedząc tak, z zakrwawioną twarzą opartą o stół, pod okiem uśmiechniętego, pięknego, szczupłego szatana z moim pistoletem w ręku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- No - powiedział ten duży. - Dość udawania.

Otworzyłem oczy i usiadłem prosto.

- Do drugiego pokoju, koleś.

Wstałem, wciąż jeszcze senny. Udaliśmy się dokądś przez jakieś drzwi. Nagle zobaczyłem, gdzie jesteśmy - była to poczekalnia otoczona ze wszystkich stron oknami. Na dworze zapadła już ciemna noc.

Kobieta z fałszywymi pierścionkami siedziała przy biurku. Przy niej stał jakiś mężczyzna.

- Siadaj tu, koleś.

Pchnął mnie na krzesło, łagodne, proste, ale wygodne, choć mimo to poczułem do niego awersję. Kobieta za biurkiem trzymała otwarty notes i czytała z niego na głos. Przysłuchiwał się jej niski starszy człowiek o drewnianym wyrazie twarzy i siwym wąsie.

Anthor stał przy oknie, odwrócony plecami do pokoju, wpatrzony w spokojną linię oceanu, daleko, poza światła redy, gdzie wzrok nie sięga. Patrzył na ocean jakby z miłością. Raz odwrócił głowę i spojrzał na mnie, zobaczyłem wtedy, że krew miał zmytą z twarzy, ale jego nos nie był tym samym nosem, co wówczas, kiedy go poznałem, był teraz co najmniej podwójnych rozmiarów. Na ten widok nie mogłem powstrzymać drwiącego uśmiechu, mimo spękanych warg i reszty.

- Coś cię bawi, koleś?

Spojrzałem na to, co wydało ten głos, na to, co znajdowało się przede mną i co mi pomogło znaleźć się tu, gdzie siedziałem. Ujrzałem dwieście funtów przekwitłego ciała, piegowate zęby i usłyszałem głos cyrkowego wywoływacza. Twardy gość, szybki i wykarmiony na surowym mięsie. Taki, co się nikomu nie da ustawiać. Okaz gliny, który zamiast pacierza co wieczór spluwa na swoją pałkę. Ale oczy miał wesołe.

Stał przede mną na rozkraczonych nogach i trzymał w ręku mój portfel, otworzony, drapiąc skórę paznokciem kciuka prawej ręki, jakby mu po prostu robiło przyjemność niszczenie przedmiotów. Małych przedmiotów, jeżeli akurat tylko takie miał pod ręką. Prawdopodobnie ludzkie twarze dawałyby mu większą przyjemność.

- Wścibski jesteś, koleś, co? Z dużego zepsutego miasta, co? Mały szantażyk, co?

Kapelusz sterczał mu na tyle głowy. Miał szaroblond włosy, nad czołem pociemniałe od potu. Jego kapryśne oczy porysowane były czerwonymi żyłkami.

Gardło miałem jak przepuszczone przez magiel. Podniosłem rękę i dotknąłem go. Ten Indianin! Palce miał jak żelazne szpony.

Ciemnoskóra kobieta skończyła czytanie i zamknęła notes. Starszy, niewysoki mężczyzna z siwym wąsem skinął głową, podszedł i stanął za tym, który rozmawiał ze mną.

- Gliny? - zapytałem rozcierając brodę.

- A coś ty myślał, koleś?

Humor policjanta. Ten niski lekko zezował na jedno oko, które robiło wrażenie na pół ślepego.

- Nie z Los Angeles - powiedziałem patrząc na niego. - Przez to oko w Los Angeles poszedłbyś na emeryturę.

Wysoki podał mi mój portfel. Przejrzałem jego zawartość. Wciąż były w nim wszystkie pieniądze. Wszystkie wizytówki. Wszystko, co należy. Byłem zdziwiony.

- Powiedz coś, koleś - odezwał się wysoki. - Coś, za co byśmy cię polubili.

- Oddajcie mi pistolet.

Pochylił się trochę do przodu i zastanowił. Widziałem, jak myśli. Piekły go od tego nagiotki.

- Aha, koleś, chcesz swój pistolet. - Zerknął boczkiem na tego z siwymi wąsami. - Chce dostać swój pistolet - powiedział mu. Znowu spojrzął na mnie. - A na co by ci on był potrzebny; koleś?

- Chcę zastrzelić Indianina.

- O, chcesz, koleś, zastrzelić Indianina.

- Taak. Tylko jednego Indianina, stary.

Znowu spojrzął na tego z siwymi wąsami.

- Ten facet to wielki zuch - powiedział mu. - Chce zastrzelić Indianina.

- Słuchaj no, Hemingway, nie powtarzaj każdego mojego słowa - powiedziałem.

- Zdaje mi się, że ten facet ma kręcka - zauważył ten duży. - Przed chwilą nazwał mnie Hemingwayem. Nie myślisz, że ma kręcka?

Ten z wąsami odgryzł cygaro i nic nie odpowiedział..

Wysoki piękny mężczyzna przy oknie odwrócił się powoli i wyjaśnił cichym głosem:

- Sądzę, że on może być trochę wytrącony z równowagi.

- Pojęcia nie mam, dlaczego on mnie nazywa Hemingwayem - ciągnął duży. - Nie nazywam się Hemingway.

- Nie widziałem żadnego pistoletu - powiedział ten starszy.

Spojrzeli na Amthora. Amthor wyjaśnił:

- Jest w tamtym pokoju. Ja go mam. Dam go panu, panie Blane.

Duży zgiął się w pasie, przygiął też trochę kolana i sapnął mi w twarz.

- Dlaczego nazwałeś mnie Hemingwayem, koleś?

- Nie przy damach.

Wyprostował się.

- Widzisz.

Spojrzał na tego z wąsami. Ten z wąsami skinął głową, odwrócił się i przeszedł przez pokój. Rozsunęły się drzwi. Wyszedł, a za nim Amthor.

Nikt nic nie mówił. Ciemnoskóra kobieta spojrzała na biurko i zmarszczyła się. Ten wysoki popatrzył na moją prawą brew i powoli, z boku na bok zakolysał głowę z podziwem.

Drzwi znowu się rozsunęły i wrócił ten z wąsami. Podniósł skądś kapelusz i podał mi go. Wyjął z kieszeni i też mi podał mój pistolet. Poznałem po wadze, że jest pusty. Wsunąłem go pod pachę i wstałem.

- Idziemy, koleś - powiedział wysoki. - Idziemy stąd. Myślę, że trochę świeżego powietrza pomoże ci przyjść do siebie.

- W porządku, Hemingway.

- O, znów to robi - powiedział wysoki ze smutkiem. - Nazywa mnie Hemingwayem ze względu na obecność dam. Myślisz, że to jakiś świński dowcip z jego repertuaru?

- Pośpiesz się - ponaglił ten z wąsami.

Wysoki wziął mnie pod rękę i podeszliśmy do windy. Wjechała na górę. Wsiedliśmy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Na dole wysiedliśmy i wąskim korytarzykiem, a następnie przez czarne drzwi wydostaliśmy się na dwór. Powietrze było świeże i czyste, dom stał za wysoko, żeby tu mogła dochodzić mokra mgiełka znad oceanu. Odetchnąłem głęboko.

Wysoki wciąż trzymał mnie pod ramię. Przed domem czekał samochód, zwyczajny ciemny sedan z prywatną rejestracją.

Wysoki otworzył przednie drzwi narzekając:

- Co prawda, ten wóz nie jest na twój fason, koleś. Ale mała przejażdżka dobrze ci zrobi. Nie masz nic przeciwko temu? Nic byśmy takiego nie zrobili, co by ci się miało nie podobać, koleś.

- Gdzie ten Indianin?

Potrząsnął jeszcze raz głową i popchnął mnie do wozu. Wsiadłem z prawej strony od przodu.

- Ach, prawda, ten Indianin - przypomniał sobie. - Musisz go ustrzelić strzałą z łuku. Tak mówi prawo. Mamy go z tyłu w samochodzie.

Spojrzałem na tylne siedzenie. Było puste.

- O, do licha, nie ma go tam - zmartwił się wysoki. - Ktoś go musiał porwać. Już do tego doszło, że nic nie można zostawić w otwartym samochodzie.

- Pospieszcie - poganiał ten z wąsami i usiadł z tyłu.

Hemingway obszedł wóz dokoła i wtłoczył swój nabity żołądek za kierownicę. Zapalił silnik. Zawróciliśmy i zsunęliśmy się podjazdem obsadzonym dzikim geranium. Od oceanu podniósł się chłodny wiatr. Gwiazdy były za wysoko. Milczały.

Dojechaliśmy do końca podjazdu, skręciliśmy na asfaltową górską drogę i kluczyliśmy nią bez pośpiechu.

- Dlaczego nie miałeś ze sobą swojego wozu, koleś?

- Amthor przysłał po mnie.

- A to jakim sposobem, koleś?

- Pewno takim, że chciał się ze mną zobaczyć.

- Ten facet jest dobry - powiedział Hemingway. - Ma wyobraźnię.

Splunął z wozu na drogę, gładko wziął zakręt i puścił wóz z górki.

- On mówi, żeś to ty do niego dzwonił i próbował go zaintrygować. Więc sobie pomyślał, że lepiej, jak się przyjrzy, z kim ma do czynienia... jak już ma mieć do czynienia. Więc wysłał wóz.

- Bo wiedział, że ma zamiar wezwać znajome gliny i że nie będę potrzebował swojego wozu, żeby się dostać do domu. Zgadza się, Hemingway.

- No, ten znów swoje. Ale dobra. No więc pod stołem on ma dyktafon, sekretarka wszystko zapisuje, a kiedy przyszliśmy, przeczytała to panu Blane'owi tutaj.

Odwrociłem się i spojrzałem na pana Blane'a. Palił spokojnie swoje cygaro, jakby siedział w domu w miękkich pantoflach. Nie spojrzał na mnie.

- Cholerę przeczytała - powiedziałem. - Już prędzej oni mieli całą bajeczkę przygotowaną na taki wypadek.

- Może byś nam powiedział, dlaczego chciałeś się z tym facetem zobaczyć - zaproponował uprzejmie Hemingway.

- To znaczy, póki jeszcze mam kawałek twarzy?

- No, nie jesteśmy wcale tacy, jak myślisz.

- A przecież dobrze znasz Amthora, co, Hemingway?

- To raczej pan Blane go zna. Ja tylko robię, co mi każą.

- Kto to, u diabła, ten pan Blane?

- To ten pan na tylnym siedzeniu.

- A poza tym, że tkwi tam na tylnym siedzeniu, to kto on jest?

- No, Boże święty, wszyscy znają pana Blane.

- Dobra, dobra - powiedziałem, czując nagle wielkie zmęczenie.

Znów na chwilę zapadła cisza, minęliśmy parę dalszych zakrętów, dalej wstążka asfaltu, dalej ciemność, znów ból.

- Teraz, kiedy jesteśmy sami sami i nie ma tu dam, dajmy spokój temu, dlaczego polazłeś tam na górę - ciągnął wysoki. - Ale czego naprawdę nie rozumiem, to tego kawału z Hemingwayem.

- Taki sobie żart - wyjaśniłem. - Z długą brodą.

- A w ogóle to kto jest ten Hemigway w rzeczywistości?

- Facet, który powtarza jeden kawałek w kółko, aż nabierasz przekonania, że to jest dobre.

- To musi mu zabierać kupę czasu - orzekł wysoki. - Słowo daję, jak na prywatnego detektywa nie brak ci fantazji. Wciąż jeszcze masz własne zęby?

- Owszem, trochę plombowane.

- No, słowo daję, toś miał szczęście, koleś.

- W porządku - odezwał się tamten z tyłu. - Skręć w następną na prawo.

- Tak jest.

Hemingway wywinął sedanem na wysoką polną drogę, kluczącą zboczem góry. Przejechaliśmy nią z milę. Zapach szałwi stał się oszołamiający.

- Tutaj - powiedział ten z tylnego siedzenia.

Hemingway zatrzymał samochód i zaciągnął hamulec. Sięgnął przede mną i otworzył drzwi.

- No, cieszę się, że cię poznałem, koleś. Ale nie wracaj. W każdym razie niesłużbowo. Wsiadaj.

- Mam stąd wracać piechotą?

- Prędzej - powiedział ten z tylnego siedzenia.

- Owszem, stąd wracasz piechotą, koleś. Czy to ci odpowiada?

- Owszem, będę miał czas przemyśleć to i owo. Na przykład wy nie jesteście gliny z Los Angeles. Ale jeden z was to glina, a może i obaj. Powiedziałbym, że jesteście gliny z Bay City. Zastanawiam się, dlaczego znaleźliście się poza swoim terenem.

- Czy nie będzie ci tego trudno dowieść, koleś?

- Dobranoc, Hemingway.

Nie odpowiedział. Żaden z nich się nie odezwał. Zacząłem wysiadać, postawiłem nogę na stopniu i pochyliłem się, jeszcze trochę oszołomiony.

Mężczyzna na tylnym siedzeniu wykonał jakiś błyskawiczny ruch, który raczej wyczułem, niż zobaczyłem. Pod stopami otworzyło mi się jezioro ciemności, dużo, dużo czarniejsze niż najczarniejsza noc. Wpadłem w nie. Nie miało dna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Pokój był pełen dymu.

Dym wisiał w powietrzu pionowo, z góry na dół, cienkimi smugami, jak zasłona z małych przezroczystych paciorków. Dwa okna w głębi pokoju wydawały się otwarte, ale dym się nie poruszał. Pierwszy raz w życiu widziałem ten pokój. W oknach miał kraty.

Byłem otępieły i bezmyślny. Czuję się tak, jakbym spał od roku. Tylko ten dym mi przeszkadzał. Leżałem na wznak i myślałem o nim. Po długim czasie zaczerpnąłem powietrza. Zraniło mi płuca.

- Pożar! - wrzasnąłem.

To mnie rozśmieszyło. Nie wiedziałem, co w tym śmiesznego, ale wybuchnąłem śmiechem. Leżałem na łóżku i śmiałem się. Nie podobało mi się brzmienie własnego śmiechu. Brzmiał jak śmiech wariata.

- Wystarczył ten jeden krzyk. Na zewnątrz gwałtownie załomotały kroki, ktoś z trzaskiem wbił klucz w zamek i pchnął drzwi na oścież. Boczkciem wskoczył zza nich jakiś facet. Zamknął drzwi za sobą. Prawą ręką sięgnął do biodra.

Był niski, tęgi, w białym kitlu, z dziwnymi oczami, czarnymi i bez głębi. Powieki w zewnętrznych kącikach schodziły się szarymi fałdami.

Odwrociłem głowę na poduszce i ziewnąłem.

- Tego razu nie licz, kochasiu. Wyrwało mi się - powiedziałem.

Stał wykrzywiony, z ręką w połowie drogi do prawego biodra. Zielonkawa złośliwa twarz, czarne oczy bez głębi, szarobiała skóra i nos jak pusta skorupa.

- Może za mało miałeś kaftana bezpieczeństwa - zadrwił.

- Czuję się wspaniale, kochasiu. Po prostu świetnie.

Uciałem sobie porządną drzemkę. Chyba coś mi się przyśniło. Gdzie ja jestem?

- Na swoim miejscu.

- To miejsce mi się dosyć podoba. Mili ludzie, miła atmosfera. Chyba znowu się zdrzemnę chwilkę.

- Radzę ci - warknął.

Wyszedł. Drzwi się zamknęły. Szczęknął klucz. Stopy zachrzęściły i ucichły w niewiadomym.

Wcale nie pomógł na ten dym, który nadal wisiał pośrodku pokoju przez całą szerokość. Jak zasłona. Nie rozrzedził się, nie uniósł, nie drgnął. W pokoju nie brakło powietrza, czułem je na twarzy. Ale dym go nie czuł. Była to szara pajęczyna utkana przez tysiące pajaków. Dziwiłem się, jak też się im udało zapędzić te pająki do współpracy.

Pizama z bawełnianej flaneli. Z takich, jakich używa się w Szpitalu Stanowym. Prosta, ani jednego ściegu ponad konieczne. Szorstki surowy materiał. Kołnierz ocierał mi szyję. Wciąż mnie bolała. Zacząłem sobie coś przypominać. Podniosłem rękę i pomacałem mięśnie szyi. Wciąż obolałe. Tylko jeden Indianin, stary. Tak jest, Hemingway. Więc zachciało ci się być detektywem? Dobrze zarabiać? Po dziewięciu łatwych lekcjach. Znaczek do kłapy na koszt kursów. Za dodatkowe pięćdziesiąt centów wysyłamy kompletne wyposażenie.

Gardło miałem obolałe, ale palce nic na nim nie wymacały. Zupełnie jakbym zamiast nich posługiwał się kiścią bananów. Przyjrzałem się im. Wyglądały jak palce. To na nic. Palce wysyłamy za załączeniem. Musiały nadejść razem ze znaczkiem i wyposażeniem. I z dyplomem.

Była noc. Świat za oknami był ciemny. Szklista porcelanowa czara zwieszała się z sufitu na trzech miedzianych łańcuszkach. Światło znajdowało się w czarze. Po brzegu miała małe kolorowe wypukłości, na przemian pomarańczowe i niebieskie. Wlepiłem w nie wzrok. Ten dym mnie zmęczył. Pod moim spojrzeniem zaczęły się otwierać jak maleńkie iluminatory i z każdego wyskakiwały główki. Maleńkie główki, ale żywe, główki jak laleczki. Mężczyzna w marynarskiej czapce, z nosem pijaka, i blondyna o puszystych włosach w filmowym kapeluszu, a także szczupły mężczyzna w przekrzywionej muszce. Wyglądał jak kelner z nadmorskiego kąpieliska. Otworzył usta i zakpił:

- Życzy pan sobie befsztyk krwisty czy średni, proszę pana?

Mocno zacisnąłem oczy, porządnie mrugnąłem, a kiedy otworzyłem je na nowo, była to zwykła tandetna porcelanowa kula na trzech miedzianych łańcuszkach.

Ale dym wciąż wisiał w przewiewnym pokoju.

Znalazłem róg szorstkiego prześcieradła i wytarłem z twarzy pot drętowymi palcami, które dostałem pocztą za zaliczeniem po dziewięciu lekcjach kursów korespondencyjnych, połowa płatna z góry, skrzynka pocztowa dwa miliony czterysta sześćdziesiąt osiem tysięcy dziewięćset dwadzieścia cztery, Cedar City, Iowa. Wariactwo. Kompletne wariactwo.

Usiadłem na łóżku, odczekałem chwilę i zdołałem dosięgnąć stopami podłogi. Stopy miałem bose i czułem w nich mrowienie. Przybory do szycia na lewo, proszę pani. Agrafki na prawo. Poczulem pod stopami podłogę. Wstałem. Za wysoko. Zgiąłem się wpół, gwałtownie złapałem oddech, przytrzymałem się skraju łóżka, a głos, który jakby wydobył się spod łóżka, powtarzał w kółko:

- ... jesteś w delirium... jesteś w delirium...

Zacząłem się przechadzać i zataczałem się jak pijany. Na lakierowanym stoliku między dwoma zakratowanymi oknami stała butelka whisky. Miała miły wygląd. Zdaje się, że była wypełniona do połowy. Ruszyłem w jej stronę. Mimo wszystko nie brak dobrych ludzi na świecie. Można się zżymać nad porannym dziennikiem, kopać w kostki sąsiada w kinie, być zgryźliwym i rozczarowanym i kpić z polityków, ale mimo wszystko nie brak na świecie, dobrych ludzi. Weźcie tego faceta, który zostawił tu pół butelki whisky. Miał serce nie mniejsze od pośladków Mae West.

Chwyciłem butelkę, objąłem ją drętowymi palcami i przyciągnąłem do ust, pocąc się, jakbym dźwigał za jeden koniec most Złotych Wrót.

Łyknałem sporo i łapczywie. Odstawiłem butelkę z powrotem z najwyższą ostrożnością. Spróbowałem oblizać własny podbródek.

Whisky miała dziwny smak. W tej samej chwili, kiedy zacząłem sobie z tego zdawać sprawę, zobaczyłem wciśniętą w kąt umywalkę. Zdażyłem. Zdażyłem w ostatniej chwili. Zwymiotowałem. Nikt jeszcze tak nie wymiotował. Czas leciał. Męczyły mnie mdłości, chwiałem się w zamroczeniu, czepiałem się umywalki i zwierzęcym głosem wzywałem pomocy.

Przeszło mi. Chwiejnie wróciłem do łóżka, położyłem się z powrotem na wznak, leżałem, dyszałem i obserwowałem ten dym. Nie był wcale taki wyraźny. Ani prawdziwy. Może była to wina moich oczu. A potem nagle zupełnie zniknął i światło z porcelanowego urządzenia na suficie ostro zarysowało przede mną pokój.

Znowu usiadłem. Przy ścianie, w której były drzwi, stało ciężkie drewniane krzesło. Oprócz tych, przez które wszedł mężczyzna w białym kitlu, w pokoju były drugie

drzwi. Prawdopodobnie drzwi od schowka. Może są w nim nawet moje rzeczy. Podłogę pokrywało linoleum w szare i zielone kwadraty. Ściany pomalowane na biało. Czysty pokój. Łóżko, na którym siedziałem, było wąskim żelaznym łóżkiem szpitalnym, niższym, niż to zwykle bywa, do brzegów miało przymocowane szerokie skórzane pasy ze sprzączkami, mniej więcej na wysokości rąk i nóg leżącego. Pokój był w sam raz taki, żeby chciało się go opuścić...

Zdrętwienie całego ciała mi przeszło, głowę, szyję i ramiona miałem obolałe. Powodu bólu w ramieniu nie pamiętałem. Zawinałem rękaw bawełnianej piżamy i mętnym wzrokiem obejrzałem ramię. Skóra cała była w różowe cętki po ukłuciach, od łokcia aż po ramię. Każde z nakłuć otoczone było niewielkim sińcem wielkości ćwierćdolarówki.

Narkotyk. Naszpikowali mnie narkotykami, żebym siedział cicho. A może i skopolaminą, żebym gadał. Za dużo narkotyków na raz. Miałem od tego napady szału. Jedni ich dostają, inni nie. Wszystko zależy od tego, jak kto jest zrobiony. Narkotyki.

To tłumaczyło ten dym i główki na suficie, głosy i parszywe myśli, te rzemienie, kraty, zdrętwiałe palce i stopy. Whisky pewno została po czyjejś czterdziestogodzinnej kuracji alkoholowej. Zostawili ją tylko po to, żeby mi już nic nie brakowało.

Wstałem i pojechałem do rygi tak, że niewiele brakowało, a zachlapałbym przeciwną ścianę. W rezultacie musiałem się z powrotem położyć i przez dłuższy czas oddychać bardzo ostrożnie. Mrowienie czułem teraz w całym ciele i pocilem się. Czułem, jak małe kropelki potu formują mi się na czole i powoli, ostrożnie spływają po nosie do kącika ust. Idiotycznie zlizywałem je językiem.

Usiadłem jeszcze raz, ustawiłem stopy na podłodze i wstałem.

- Słuchaj, Marlowe - powiedziałem przez zaciśnięte zęby. - Jesteś twardy chłop. Sześć stóp hartowanej stali. Sto dziewięćdziesiąt funtów bez ubrania i po myciu. Mięśnie jak żelazo i szczeka nie ze szkła. Stać cię na to. Dwa razy dostałeś po głowie, przydusili cię i sprali po gębie kolbą od pistoletu prawie do utraty przytomności. Naszpikowali cię tym świństwem, że mógłbyś tańczyć walca z białymi myszkami. Cóż to dla ciebie? Zwykła rutyna. Teraz się przekonajmy, czy stać cię na coś naprawdę trudnego, jak na przykład wciągnięcie portek.

Z powrotem położyłem się na łóżku.

Czas znów uciekał. Nie wiem, jak długo to trwało. Nie miałem zegarka. Zresztą takiego czasu nie mierzy się zegarkiem.

Usiadłem. W ten sposób nic nie zwojuję. Wstałem i zacząłem chodzić. Wcale to nie zabawne. Serce od tego podskakuje jak nerwowy kocur. Lepiej się położyć i znowu zasnąć. Lepiej chwilę odpocząć. W złej jesteś formie, koleś. Tak jest, Hemingway,

jestem słaby. Wazonu na kwiatki bym nie przewrócił. Paznokcia bym nikomu nie złamał.

No nic. Chodzę, Jestem twardy. Wydobędę się stąd.

Znowu położyłem się na łóżku.

Za czwartym razem poszło mi trochę lepiej. Dwa razy przeszedłem tam i z powrotem przez pokój. Doszedłem do umywalki, splukałem ją, nachyliłem się i napiłem wody z dłoni. Nie wymiotowałem. Poczekalem trochę i wypilem więcej. Dużo lepiej.

Chodziłem. Chodziłem. Chodziłem.

Po półgodzinie tego chodzenia kolana mi się trzęsły, ale w głowie mi się rozjaśniło. Wypilem więcej wody, morze wody. Płakałem w umywalkę, ale piłem.

Poszedłem z powrotem do łóżka. Co za piękne łóżko. Jak uścielone z płatków róż. Najpiękniejsze łóżko na świecie. Kupili je od Carole Lombard. Dla niej było za miękkie. Warto było poświęcić resztę życia, byle położyć się na nim na dwie minutki. Rozkoszne miękkie łóżko, rozkoszny sen, rozkoszne przymknięcie oczu, opuszczenie rzęs i cichy oddech, i ciemność, i odpoczynek na puszystych poduszkach...

Chodziłem.

Zbudowali piramidy i znudzili się nimi, i zburzyli je, i zmełli kamień na asfalt, żeby zbudować tamę, zbudowali ją i napuścili wody, i z wody zafundowali sobie potop.

Przechodziłem to wszystko. Nic mi nie mogło przeszkodzić.

Przestałem chodzić. Dojrzałem do tego, żeby z kimś porozmawiać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Drzwi schowka były zamknięte na klucz. Ciężkie krzesło było dla mnie za ciężkie. Takie miało być. Ściągnąłem z łóżka prześcieradła i odwinąłem materac. Pod spodem była druciana siatka umocowana do spiralnych sprężyn z czarnego lakierowanego metalu, długości około dziewięciu cali. Zająłem się jedną z nich. Była to najcięższa praca w moim życiu. W dziesięć minut później miałem dwa skaleczone palce i wymontowaną sprężynę. Machnąłem nią w powietrzu. Była elastyczna. Była ciężka. Aż świstała.

Dokonawszy tego wszystkiego, spojrzałem na butelkę z whisky, która byłaby równie dobra, gdyby nie to, że zupełnie o niej zapomniałem.

Napiłem się jeszcze wody. Odpocząłem trochę, siedząc na skraju nagiej siatki. Potem podszedłem do drzwi, przytknąłem usta do szpary przy zawiasach i wrzasnąłem:

- Pożar! Pożar! Pożar!

Oczekiwanie trwało krótko i upłynęło mi przyjemnie. Nadbiegł ciężko korytarzem za ścianą, klucz wściekle wbił się w zamek i ostro się przekręcił.

Drzwi odskoczyły. Stałem za nimi rozplaszczony o ścianę. Tym razem pończochę miał już w pogotowiu, piękne narzędzie długości blisko pięciu cali, obszyte skórzaną plecionką. Na widok rozbebeszonego łóżka oczy wylazły mu na wierzch i zaczęły zwracać się w bok.

Zachichotałem i ogłuszyłem go. Przyłożyłem mu sprężyną w skroń, aż poleciał do przodu. Pomogłem mu uklęknąć. Dałem mu jeszcze dwa razy. Sapnął jęklawie. Wyjąłem mu pończochę z bezwładnej dłoni. Zaskowyczał.

Zaprawiłem go w twarz kolanem. Aż mnie zabolalo. Co do niego, nie mówił mi, czy zabolala go twarz. Jeszcze jęczał, kiedy go uśpiłem na pończochę.

Wyjąłem klucz tkwiący na zewnątrz w drzwiach, zamknąłem je od środka i przeszukałem faceta. Miał jeszcze więcej kluczy. Jeden z nich pasował do schowka. Wisiało w nim moje ubranie. Przeszukałem własne kieszenie. Z portfela zniknęły pieniądze. Wróciłem do faceta w białym kitlu. Miał za dużo forsy jak na swoje zajęcie. Wziąłem tyle, ile miałem na początku, zważyłem go na łóżko, przypasałem mu rzemieniami ręce i nogi i wepchnąłem kawał prześcieradła do ust. Miał zmiażdżony nos. Zaczekałem, żeby się upewnić, czy może przez niego oddychać.

Żał mi go było. Prosty zapracowany chłopina, który się stara utrzymać przy pracy i zarobić na cotygodniowy czek. Może ma żonę i dzieciaki. Tym gorzej. A do pomocy miał tylko tę pończochę. Nie wyglądało to fair. Postawiłem narkotyzowaną whisky w takim miejscu, w którym mógłby ją dosięgnąć, gdyby nie miał skrępowanych rąk.

Pogłaskałem go po ramieniu. Prawie spłakałem się nad nim.

W schowku wisiało całe moje ubranie, nawet kabura operacyjna i pistolet, choć bez magazynka. Ubrałem się przy pomocy niezdarnych palców, często ziewając.

Tamten leżał na łóżku. Zostawiłem go tak i zamknąłem drzwi na klucz.

Wyszedłem na szeroki cichy korytarz z trzema zamkniętymi drzwiami. Nie dochodziły spoza nich żadne odgłosy. Przez środek biegł chodnik koloru wina, równie cichy jak i cały dom. W głębi znajdował się występ muru, a dalej pod kątem prostym zaczynał się drugi korytarz i podest szerokich staroświeckich schodów z białymi dębowymi poręczami. Schody wdzięcznym łukiem szły w dół i kończyły się w półmrocznym

korytarzu na dole. Na końcu tamtego korytarza widniały ozdobione witrażami podwoje. Posadzka ułożona była z dwukolorowych kwadratów i leżały na niej grube dywany. Zza jakichś leciutko uchylonych drzwi sączyła się smużka światła. Ale żadnego dźwięku.

Stary dom zbudowano tak, jak się kiedyś budowało i dziś już się nie buduje. Prawdopodobnie przy jakiejś cichej ulicy, z różnym ogrodem od tyłu, a od frontu z mnóstwem kwiatów. Pełen wdzięku, chłodny i cichy w oślepiającym kalifornijskim słońcu. A co się dzieje w środku - nikogo nie obchodzi, byle nie krzyczano za głośno.

Już spuszczałem nogę na pierwszy stopień, żeby zejść po schodach na dół, kiedy usłyszałem czyjś kaszel. Kaszłał mężczyzna. Słyszając to, w pół kroku odwróciłem się i ujrzałem na końcu tego długiego korytarza wpółuchylone drzwi. Wróciłem na palcach leżącym pośrodku chodnikiem. Zaczekałem tuż przy uchylonych drzwiach, nie zaglądając do środka. Smuga światła kładła się u moich stóp na chodniku. Mężczyzna znowu zakaszłał. Był to głęboki kaszel, wydobywający się z głębokiej piersi. Brzmiał spokojnie i swobodnie. Nic mnie to nie obchodziło. Obchodziło mnie tylko to, żeby się stąd wydostać. Zainteresowało mnie jednak, kto może w tym domu siedzieć przy otwartych drzwiach. Musiał to być nie byle kto, facet zasługujący na uznanie. Wsunąłem się nieznacznie w smugę światła. Zaszleściła gazeta.

Ujrzałem fragment pokoju umeblowanego jak pokój, nie jak cela. Stało w nim ciemne biurko, na którym leżał kapelusz i jakieś pisma. W oknach były siatkowe firanki, na podłodze porządny dywan.

Ciężko zaskrzypiały sprężyny łóżka. Potężny facet, tak jak jego kaszel. Czubkami palców pchnąłem drzwi jeszcze o cal czy dwa. Nic. Nikt na świecie nie poruszał się tak powoli jak ja, kiedy wsuwałem głowę w szparę. Teraz zobaczyłem cały pokój, łóżko, leżącego na nim mężczyznę i popielniczkę z niedopałkami wysypującymi się przez wierzch na nocny stolik, a z niego na podłogę. Kilkanaście zmiętych gazet wałało się po łóżku. Jedną z nich przytrzymywała para olbrzymich rąk przed olbrzymią twarzą. Nad skrajem zielonego papieru zobaczyłem włosy. Ciemne, kędzierzawe - prawie czarne - i gęste.

Pod nimi pasek białej skóry. Gazeta jeszcze trochę opadła, powstrzymałem oddech, ale człowiek leżący na łóżku nie podniósł wzroku.

Był nie ogolony. Zresztą już taki miał wygląd. Widziałem go już raz na Central Avenue, w murzyńskiej speluncie zwanej "U Floriana". Wtedy był w jaskrawym ubraniu z golfowymi piłeczkami zamiast guzików u marynarki i trzymał szklaneczkę whisky z cytryną. Widziałem go też, kiedy miękko przechodził przez wybite drzwi z wojskowym coltem w ręce, w której pistolet wyglądał jak zabawka. Widziałem już kiedyś jego robotę, a była to robota, której nie da się odrobić.

Znowu odkaslnął, przesunął pośladki na łóżku i rozdzierająco ziewnął, sięgając po wystrzępioną paczkę papierosów na nocnym stoliku. Jeden z nich powędrował mu do ust. O paznokciec kciuka rozbłysła zapalniczka. Z nosa wydobył mu się dym.

- Ach - westchnął i gazeta z powrotem zakryła mu twarz.

Zostawiłem go i zawróciłem korytarzem. Wyglądało na to, że pan Myszka Malloy jest w bardzo dobrych rękach. Wróciłem do schodów i zszedłem na dół.

Za przymkniętymi drzwiami szemrał jakiś głos. Czekałem, aż usłyszę odpowiedź. Nie usłyszałem. Była to rozmowa telefoniczna. Podszedłem bliżej i nastawiłem uszu. Mówiono po cichu, było to prawie szeptem. Nie dobiegło do mnie ani jedno wyraźne słowo. Wreszcie przytknęła odkładana słuchawka. Potem zapadła cisza.

Nadszedł czas, żeby stąd odejść, odejść daleko. Pchnąłem drzwi i po cichu wszedłem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Był to gabinet ani mały, ani duży, schludny i oficjalny. Oszklona szafka na książki, a w niej grube tomy. Podręczna apteczka na ścianie. Białe lakierowane i oszklone gabloty z mnóstwem sterylizowanych i wygotowanych igieł i strzykawek. Szerokie biurko z bibułą na wierzchu, brązowy nóż do przecinania papieru, czarka na pióra, księga wizyt i niewiele więcej poza łokciami mężczyzny siedzącego w głębokiej zadumie, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Między rozpostartymi żółtymi palcami dojrzałem włosy koloru mokrego piasku, takie gładkie, jakby je kto wymalował na czaszce. Jeszcze trzy kroki. Musiał spojrzeć poza biurko i zobaczyć moje buty. Podniósł głowę i spojrzał na mnie. Wpadnięte bezbarwne oczy w pergaminowej twarzy. Rozplótł palce, powoli wyprostował się i spojrzał na mnie zupełnie bez żadnego wyrazu.

Następnie rozłożył ręce jakoś bezradnie, a jednocześnie dezaprobowująco, a kiedy znów mu opadły na biurko, jedna z nich znalazła się bardzo blisko skrajowi.

Zbliżyłem się jeszcze o dwa kroki i pokazałem mu pończochę. Dwa jego palce, wskazujący i serdeczny, wciąż posuwały się ku skrajowi biurka.

- Dzwonek na nic się panu nie zda - ostrzegłem. - Położyłem do łóżeczka waszego osiłka.

Jego oczy nabrały sennego wyrazu.

- Pan był bardzo chory, drogi panie. Bardzo chory. Nie mogę tego pochwalać, że pan już wstał.

- Prawa ręka - syknąłem.

Trzasnąłem w nią pończochą. Zwinęła się jak zraniony wąż.

Wszedłem za biurko szczerząc zęby bez powodu. Oczywiście w szufladzie miał pistolet. Zawsze go trzymają w szufladzie i zawsze sięgają po niego za późno, jeżeli sięgają w ogóle. Wyjąłem go. Był to pistolet automatyczny kalibru 38, model standardowy, nie taki dobry jak mój, ale amunicja mogła mi się przydać. Nie widać jej było w szufladzie. Zacząłem więc wyjmować magazynek z jego pistoletu.

Poruszył się niepewnie. Oczy miał wciąż wpadnięte i pełne smutku.

- Być może, że pan ma drugi dzwonek pod dywanem - powiedziałem. - Ten może jest podłączony do gabinetu szefa w kwaterze głównej. Niech go pan nie używa. Jeszcze godzinę nie ma ze mną żartów. Ktokolwiek tu wejdzie, wejdzie do własnej trumny.

- Nie ma dzwonka pod dywanem.

Mówił z ledwie dosłyszalnym cudzoziemskim akcentem.

Wyjąłem jego magazynek, potem swój pusty, i zamieniłem je. Wyrząsałem nabój z komory jego pistoletu i zostawiłem go na biurku. Wsunąłem nabój do komory swojego pistoletu i wróciłem przed biurko.

W drzwiach był wmontowany zatrask. Cofnąłem się pod nie, pchnąłem zamek i usłyszałem, jak zaskakuje. Była też zasowa. Zasunąłem ją.

Wróciłem do biurka i usiadłem na krześle. Wyczerpało to resztkę moich sił.

- Whisky - powiedziałem.

Zamachał rękami.

- Whisky - powtórzyłem.

Podszedł do apteczki i wyjął z niej płaską butelkę z zielonym stemplem urzędu skarbowego oraz szklanę.

- Dwie szklanki - zażądałem. - Próbowałem już raz pańskiej whisky. Zajechałem na niej do rygi. Podał dwie szklaneczki, otworzył butelkę i nalał.

- Pan pierwszy.

Uśmiechnął się słabo i podniósł swoją szklaneczkę.

- Pana zdrowie... a raczej to, co z niego zostało.

Wypił. I ja wypilem. Sięgnąłem po butelkę, postawiłem ją blisko siebie i czekałem, aż poczuję ciepło w środku. Serce zaczęło mi walić, ale przynajmniej znów miałem je na miejscu, nie kołatało mi się już jak na nitce.

- Miałem koszmarny sen - powiedziałem. - Głupi pomysł. Przyśniło mi się, że jestem przywiązany do łóżka, naszpikowany narkotykami i zamknięty w pokoju z zakratowanymi oknami. Strasznie osłabłem. Spałem. Nie dawano mi jeść. Byłem chory. Ogluszono mnie uderzeniem w głowę i przywieziono w takie miejsce, gdzie postąpiono ze mną, jak mówię. Zadano sobie wiele trudu. Nie jestem aż taki ważny.

Nic nie odpowiedział. Przyglądał mi się. Głęboko w jego oczach czaiła się przebiegłość, jakby obliczał, jak też długo pożyję.

- Obudziłem się i w pokoju pełno było dymu - mówiłem dalej. - Była to tylko halucynacja, podrażnienie nerwu wzrokowego, czy jak by to tam nazwał ktoś taki jak pan. Zamiast różowych węży widziałem dym. Więc podniosłem wrzask, a wtedy przyszedł jakiś osiłek w białym kitlu i pokazał mi to narzędzie. Zabrało mi wiele czasu, zanim byłem gotów, żeby mu je odebrać. Wziąłem jego klucze, swoje ubranie, a nawet swoje własne pieniądze z jego kieszeni. I tu mnie pan ma. Uzdrawionego. Co pan mówił?

- Nie robiłem żadnych uwag.

- Uwagi tylko czekają - powiedziałem. - Czekają z wywieszonymi językami na pana, żeby się pan nimi posłużył. A to tutaj... - Machnąłem lekko ciężką pończochą - ... to środek perswazji. Musiałem go pożyczyć od tamtego faceta.

- Proszę mi to natychmiast oddać - przemówił z uśmiechem, w którym można by się zakochać. Był to uśmiech kata, który przychodzi do celi wziąć miarę na pętlę. Częściowo przyjacielski, częściowo ojcowski, a jednocześnie ostrożny. Można by go polubić, gdyby się człowiekowi udało w jakiś sposób pożyć wystarczająco długo.

Położyłem mu pończochę na dłoni, na lewej dłoni.

- A teraz poproszę o pistolet - powiedział łagodnie. - Pana stan jest bardzo ciężki, drogi panie. Zdaje się, że będę musiał nalegać, żeby się pan z powrotem położył.

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

- Jestem doktor Sonderborg - oświadczył - i nie życzę sobie żadnych nonsensów.

Położył pończochę na biurku przed sobą. Jego uśmiech był sztywny jak mrożona ryba. Długie palce poruszały się niczym omdlewające motyle.

- Poproszę o pistolet - powiedział łagodnie. - Bardzo panu radzę...

- Która to godzina, ty kluczniku?

Zrobił łagodnie zdziwioną minę. Miałem już na ręku swój zegarek, ale mi stanął.

- Prawie północ. A dlaczego pan pyta?

- Jaki dziś dzień?

- Cóż, drogi panie... Po prostu noc z niedzieli na poniedziałek.

Oparłem się o biurko, próbując skupić myśli i trzymając pistolet niezbyt daleko od niego, żeby spróbował mi go wyrwać.

- To ponad czterdzieści osiem godzin. Nic dziwnego, że miałem ataki. Kto mnie tu przywiózł?

Nie spuszczał ze mnie wzroku, podczas gdy jego lewa ręka zaczęła wędrować w stronę pistoletu. Członek Towarzystwa Wędrujących Rąk. Dziewczęta miałyby się z nim z pyszna.

- Niech mnie pan nie drażni - pisałem. - Bo zapomnę o swoich pięknych manierach i nieskazitelnym języku. Niech mi pan tylko powie, jak się tu znalazłem.

Odwagi mu nie brakowało. Rzucił się z pazurami na pistolet. Już go jednak w tym miejscu nie znalazł. Wyprostowałem się i położyłem sobie pistolet na kolanach.

Zaczerwienił się, chwycił butelkę z whisky, nalał sobie i szybko wypił. Głęboko wciągnął oddech i wstrząsnął się. Whisky mu nie smakowała. Narkomanom nigdy nie smakuje alkohol.

- Jeśli pan stąd wyjdzie, będzie pan natychmiast aresztowany - rzucił ostro. - Został nam pan oficjalnie powierzony przez funkcjonariusza prawa...

- Funkcjonariusz prawa nie może tego zrobić.

To go trochę speszyło. Zaczęła mu drgać żółta twarz.

- Bierz się pan w garść i kawę na ławę - powiedziałem. - Kto mnie tu wsadził, dlaczego i jakim sposobem? Jestem dziś nieobliczalny. Chcę szaleć i gryźć. Słyszę zew upiorów. Już tydzień, jak nikogo nie zabiłem. Śpiewaj, doktorku. Brząknij w starożytną lutnię i niech popłynie słodki ton pieśni.

- Cierpi pan na zatrucie narkotykiem - stwierdził zimno. - Był pan bliski śmierci. Trzy razy musiałem dawać panu digitalis. Wyrwał się pan, krzyczał, trzeba było pana obezwładnić. - Mówił tak szybko, że słowa połykały się nawzajem. - Narazi się pan na poważne niebezpieczeństwo, jeżeli opuści pan moją klinikę w tym stanie.

- Powiedział pan, że jest pan doktorem... doktorem medycyny?

- Tak jest. Jestem doktorem, nazywam się Sonderborg, jak mówiłem.

- A pan, doktorze, ani nie krzyczy, ani nie wrywa się na skutek zatrucia narkotykiem. Pan tylko zapada w półsen. To panu nie wyszło. Może pan próbować jeszcze raz, ale bez zalewania kawałków. Chcę tylko faktów. Kto mnie tu wsadził do tego pańskiego prywatnego kojca dla czubków?

- Ale...

- Żadnych ale. Zrobię z pana szmatę. Rozmoczę pana w beczce wina Malmsey. Sam bym chciał mieć dla siebie beczkę takiego wina. To Szekspir. Ten wiedział, co lubi. Zażyjmy trochę naszego leku. - Sięgnąłem po jego szklankę i dolałem nam obu. - No, śpiewaj, Karloff.

- Policja pana tu umieściła.

- Jaka policja?

- Oczywiście policja z Bay City. - Kręcił szklanką w nerwowych pośliskich palcach. - Tu jest Bay City.

- Aha. Czy ta policja miała jakąś ludzką postać?

- Był to, zdaje się, niejaki sierżant Galbraith. Nie z patrolu. W piątek wieczorem on i jeszcze jeden spotkali pana błąkającego się przed domem w stanie nieprzytomnym. Sprowadzili pana tutaj, ponieważ było blisko. Myślałem, że jest pan narkomanem, który zaaplikował sobie za dużą dawkę. Może się jednak omyliłem.

- Pięknie obmyślane. Nie mógłbym dowieść, że to nieprawda. Ale dlaczego mnie pan tu trzymał?

Rozłożył swoje nerwowe ręce.

- Powtarzam panu raz jeszcze, że był pan bardzo chory i jest pan nadal w złym stanie. Jak pan sądzi, co innego mógłbym zrobić?

- A więc pewno jestem panu coś winien?

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Dwieście dolarów.

Odepchnąłem trochę do tyłu swoje krzesło.

- Taniocha. Ale niech pan spróbuje mnie zmusić do płacenia.

- Jeżeli pan stąd wyjdzie - powiedział ostro - natychmiast zostanie pan aresztowany.

Nachyliłem się przez biurko i wydyszałem mu w twarz:

- Nie za to właśnie, że stąd wyszedłem, Karloff. Niech pan otworzy tę kasę pancerną w ścianie.

Poderwał się gładko.

- Za daleko się pan już posuwa.

- Nie otworzy pan?

- Na pewno nie otworzę.

- To, co trzymam w ręku, to pistolet.

Uśmiechnął się blado i złośliwie.

- To strasznie wielka szafa - powiedziałem. - I nowa. A to jest dobry pistolet. Nie otworzy pan?

Twarz mu ani drgnęła.

- Cholera - zakląłem. - Kiedy facet ma w ręku pistolet, ludzie na ogół robią, co się im każe. Ale to na nic, co?

Uśmiechnął się. Była w tym uśmiechu jakaś sadystyczna przyjemność. Siły mnie opuszczały. Mało nie upadłem.

Zatoczyłem się na biurko, a on czekał z lekko rozchylonymi wargami.

Postałem chwilę oparty o biurko, patrząc mu w oczy. Potem uśmiechnąłem się. Uśmiech opadł z jego twarzy jak zabrudzona ścierka. Pot wystąpił mu na czoło.

- Do widzenia - powiedziałem. - Zostawiam pana brudniejszym rękoma niż moje.

Wycofałem się do drzwi, otworzyłem je i wyszedłem.

Drzwi wyjściowe były otwarte. Za nimi był ganek osłonięty dachem. Ogród pełen kwiatów. Białe sztachety płotu i furtka. Dom stał na rogu. Noc była chłodna, wilgotna, bezksiężycowa.

Tabliczka na rogu głosiła: Descanso Street. W głębi widać było oświetlone domy. Nasłuchiwałem syren. Nie odezwały się. Druga tabliczka zapowiedziała Ulicę

Dwudziestą Trzecią. Z mozołem zawędrowałem na Dwudziestą Piątą i ruszyłem w poszukiwaniu przecznicy z numerami zaczynającymi się na osiemset. Pod numerem 819 mieszkała Anna Riordan. Azyl.

Szedłem już dosyć długo, zanim się zorientowałem, że wciąż trzymam pistolet w ręku. I nie usłyszałem żadnych syren.

Szedłem dalej. Powietrze zrobiło mi dobrze, ale whisky wyparowywała i teraz dawała mi się we znaki. Ulica wysadzona była jodłami, domy były z cegły i wyglądały raczej jak domy na Wzgórzu Kapitołińskim w Seattle niż w Kalifornii.

Pod numerem 819 paliło się jeszcze światło. Miał maleńką bramkę wjazdową wciśniętą w wysoki żywopłot z cyprysów. Przed domem rosły różane krzewy. Podeszedłem dróżką. Nasłuchiwałem chwilę, zanim nacisnąłem dzwonek. Nadal nie słyhać było syren. Odezwał się dźwięk gongu, a po chwili w jednym z tych urządzeń elektrycznych, które pozwalają się porozumieć bez otwierania drzwi, zaskrzeczał głos:

- Proszę, kto tam?

- Marlowe.

Albo ją zatkało, albo to elektryczne urządzenie wydało taki dźwięk jak przy wyłączaniu.

Drzwi otworzyły się na oścież i stanęła w nich Anna Riordan w jasnozielonych spodniach i żakiecie. Oczy jej się rozszerzyły i pojawiło się w nich przerażenie. W świetle lampy na ganku jej twarz nagle pobladła.

- Boże! - wykrzyknęła. - Wygląda pan jak ojciec Hamleta!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

W bawialni był jasnobrązowy wzorzysty dywan, biało-różowe krzeselka, czarny marmurowy kominek z wysokimi miedzianymi szczypcami do węgli, wysokie półki z książkami wbudowane w ściany, a na opuszczonych weneckich żaluzjach wisiały grube kremowe zasłony.

Pokój nie miał w sobie nic kobiecego poza lustrem wysokości człowieka, przed którym lśniła nie przykryta dywanem podłoga.

Siedziałem wygodnie w głębokim fotelu, z nogami opartymi na podnóżku. Wypiłem już dwie filiżanki czarnej kawy, kieliszek alkoholu, zjadłem dwa jajka na miękko z rozmoczonym w nich tostem i popiłem jeszcze jedną kawą z koniakiem. Wszystko to spożyłem w pokoju śniadaniowym, ale nie pamiętałem już, jak on wygląda. Było to zbyt dawno.

Wróciłem do formy. Byłem prawie trzeźwy i mój żołądek zatrzymał piłkę, zamiast celować nią w maszt flagowy pośrodku boiska.

Przy mnie siedziała Anna, pochylona do przodu, brodę oparła na szczupłej dłoni, jej ciemne oczy osłonięte były cieniem puszystych, brunatnordzawych włosów. We włosy miała zatknięty ołówek. Wyglądała na przejętą. Opowiedziałem jej coś niecoś, ale część zatrzymałem dla siebie. Przede wszystkim nie mówiłem nic o Myszcze Malloyu.

- Myślałam, że pan jest pijany - mówiła. - Pomyślałam, że musiał się pan upić, zanim pan przyszedł do mnie. Pomyślałam, że był pan gdzieś z tą blondynką. Pomyślałam... myślałam sobie nie wiadomo co.

- Założę się, że nie dorobiła się pani tego wszystkiego pisaniem - powiedziałem rozglądając się. - Nawet gdyby pani płacili za to, co się pani zdawało, że pani myślała.

- I mój tatuś nie dorobił się tego na machinacjach z policją - odpowiedziała. - Jak ta tłusta świnia, którą dzisiaj trzymają jako komendanta policji.

- To nie moja rzecz.

- Mieliśmy kilka działek w Del Rey - wyjaśniła. - Wykiwali ojca i wtrynili mu jakieś piaski. Okazało się jednak, że tam jest nafta.

Skinąłem głową i pociągnąłem z pięknego kryształowego kieliszka. Zawartość jego miała miły, ciepły smak.

- Człowiek mógłby się tu zadomowić - powiedziałem. - Wprowadzić na gotowe. Wszystko tylko czeka.

- Gdyby to był odpowiedni człowiek. I gdyby go tu ktoś chciał - dopowiedziała.

- I bez kamerdynera - dodałem. - Wtedy trudno.

Zaczerwieniła się.

- Ale pan... pan woli dać się walić po głowie, kłuć sobie rękę zastrzykami morfiny i nadstawiać brodę jak tablicę w koszykówce. Bóg świadkiem, że dosyć tego.

Nic nie odpowiedziałem. Byłem zbyt zmęczony.

- Przynajmniej miał pan na tyle rozumu, żeby zajrzeć do tych papierosów - powiedziała. - Po tym, co pan mówił na Aster Drive, już przypuszczałam, że pan wszystko przegapił.

- Te wizytówki nie mają najmniejszego znaczenia.

Strzeliła na mnie oczami.

- Siedzi pan i opowiada mi takie rzeczy po tym, kiedy ten człowiek wezwał dwóch przekupionych policjantów, żeby pana zbili i wsadzili na dwudniową alkoholową kurację, żeby pana oduczyć wtrącania się w nie swoje sprawy? A tymczasem wszystko jest jasne jak dzień, wystarczy zmrużyć oko, żeby trafić w dziesiątkę.

- Jakbym słyszał sam siebie. Mój styl. Lapidarność. Co jest jasne jak dzień?

- Że ten elegancki doktorek od czubków to nikt inny, jak wysokiej klasy gangster. Trzyma oczy otwarte, zasięga języka, a potem mówi tym od czarnej roboty, dokąd iść po te błyskotki.

- Pani rzeczywiście tak uważa?

Popatrzyła na mnie. Dopilem zawartość kieliszka i zrobiłem znów osłabłą minę. Zignorowała ją.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała. - Tak samo i pan.

- Ja uważam, że to jest trochę bardziej skomplikowane.

Jej uśmiech był jednocześnie przymilny i kpiący.

- Przepraszam pana. Zapomniałam na moment, że pan jest detektywem. A zatem to m u s i być skomplikowane. Prosta sprawa byłaby chyba nie na miejscu.

- To jeszcze bardziej skomplikowane - zauważyłem.

- No, dobrze. Słucham pana.

- Nie wiem. Po prostu tak myślę. Czy mogę dostać jeszcze coś do picia? Wstała.

- Wie pan co? Będzie pan musiał od czasu do czasu spróbować wody, choćby tylko po to, żeby nie zapomnieć jej smaku. - Podeszła i wzięła mój kieliszek. - To już będzie ostatni.

Wyszła z pokoju, usłyszałem gdzieś dzwonienie lodu o szkło, zamknąłem oczy i wsłuchałem się w spokojne odgłosy domowej krzątania. Niepotrzebnie tu przychodziłem. Jeżeli wiedzą o mnie tyle, ile przypuszczałem, że wiedzą, mogą mnie tu szukać. To byłoby okropne.

Wróciła z kieliszkiem, jej palce zimne od trzymania zimnego kieliszka dotknęły moich, a ja przytrzymałem je przez chwilę i wypuściłem powoli, tak jak człowiek rozstaje się

powoli ze snem, kiedy go budzi słońce na twarzy, a on przebywa właśnie w jakiejś zaczarowanej dolinie.

Zarumieniła się, wróciła do swojego fotela i usadowiła się w nim z wielkim przejęciem.

Zapaliła papierosa przyglądając się, jak piję.

- Amthor to całkiem bezwzględny facet - powiedziałem. - Ale jakoś go nie widzę w roli mózgu gangu bajterów. Może się mylę. Gdyby nim był i gdyby przypuszczał, że mam coś na niego, chyba nie wyszedłbym z tego szpitala żywy. Ale to człowiek, który ma się czego bać. Właściwie stał się brutalny dopiero wtedy, kiedy zacząłem coś bąkać o niewidocznym atramencie.

Patrzyła na mnie bez mrugnięcia.

- Czy było tam coś nim napisane?

Uśmiechnąłem się.

- Ja nic nie wyczytałem, jeśli nawet było.

- Nie uważa pan, że to śmieszny sposób ukrywania paskudnych uwag o kimś? W ustnikach papierosów. Mogły w ogóle nie zostać odkryte.

- Myślę, że cała rzecz w tym, że Marriott bał się czegoś i że gdyby mu się coś stało, te wizytówki miały być znalezione. Policja przeczesalaby mu kieszenie gęstym grzebieniem. To mnie niepokoi. Jeżeli Amthor jest łajdakiem, nic by takiego nią zostawili, co by można było znaleźć.

- To znaczy, jeżeli Amthor go zamordował... albo kazał zamordować? Ależ to, co Marriott wiedział o Amthorze, mogło nie być bezpośrednio związane z morderstwem.

Oparłem się ciężko o fotel, dopiłem zawartości kieliszka i udawałem, że zastanawiam się nad jej słowami. Skinałem głową.

- Ale porwanie klejnotów miało związek z morderstwem. A zakładamy, że Amthor był związany z porwaniem klejnotów.

Jej oczy błysnęły figlarnie.

- Założę się, że pan się okropnie czuje - powiedziała. - Czy nie położyłby się pan do łóżka?

- Tutaj?

Zaczerwieniła się po nasadę włosów. Wysunęła brodę.

- Tak, właśnie. Nie jestem dzieckiem. Kogo to, u licha, obchodzi, co ja robię, kiedy i jak?

Odstawiłem kieliszek i wstałem.

- Zbliża się jeden z moich rzadkich ataków delikatności - powiedziałem. - Czy podwiezie mnie pani do najbliższego postoju taksówek, jeżeli nie jest pani zbyt zmęczona?

- Jest pan cholernie głupi - rzuciła ze złością. - Zbili pana na kotlet mielony, pokłuli Bóg wie jakimi narkotykami, i myślę, że trzeba tylko, żeby się pan porządnie wyspał, wstanie pan rano rześki i zdrowy i znów pan będzie detektywem.

- Miałem zamiar trochę później iść spać.

- Powinien pan być w szpitalu, cholerny idioto!

Wstrząsnąłem się.

- Niech pani posłucha - powiedziałem. - Nie mam teraz zbyt jasnej głowy i sądzę, że nie powinienem tu dłużej siedzieć. Nie wiem o tych ludziach nic, czego mógłbym dowieść, ale mam wrażenie, że oni mnie nie lubią. Cokolwiek bym powiedział, byłoby to tylko moje słowo przeciwko całemu prawu, a zdaje się, że prawo w tym miasteczku jest diabelnie skorumpowane.

- To miłe miasto - przeciwstawiła się ostro, z lekką zadyszka. - Nie można sądzić po...

- Dobra, dobra, to miłe miasteczko. Tak jak Chicago. Można tu mieszkać wieki i nie zobaczyć spluwy. O tak, to miłe miasteczko. Na pewno nie jest bardziej zepsute niż Los Angeles. Ale dużego miasta można kupić tylko kawałek. Miasteczko takie jak to da się kupić całe, razem z opakowaniem, z pierwszej ręki. Na tym polega różnica. I dlatego chcę się wycofać.

Wstała i wysunęła w moją stronę brodę.

- Kładzie się pan do łóżka zaraz i nigdzie pan nie idzie. Mam jeden wolny pokój, może pan tam zaraz iść i...

- Obiecuje pani zamknąć się na klucz?

Zarumieniła się i przygryzła wargę.

- Czasami myślę, że z pana prawdziwy zdobywca świata - powiedziała - a czasami, że nie spotkałam w życiu drugiego takiego pętaka.
- Pętak czy zdobywca, odwiezie mnie pani dokądś, gdzie mógłbym złapać taksówkę?
- Zostaje pan tutaj - stwierdziła krótko. - Nie jest pan w stanie wyjść. Pan jest chory.
- Nie jestem taki chory, żeby mi ktoś mówił, co zrobię - odpowiedziałem niegrzecznie.

Wybiegła tak szybko, że mało się nie potknęła na dwóch schodkach oddzielających pokój od hallu. W jednej chwili była z powrotem w zarzuconym na domowy strój długim flanelowym płaszczu i bez kapelusza. Jej rudawe włosy wyglądały równie dziko jak twarz. Otworzyła drzwi od tyłu z rozmachem, wypadła przez nie i jej kroki zatupotały na podjeździe. Otworzyły się drzwi auta i z trzaskiem zamknęły z powrotem. Warknął starter, motor zaskoczył i światła mignęły, omiatając otwarte francuskie okno pokoju.

Wziąłem z krzesła swój kapelusz, zgasilem parę lamp i znalazłem przy francuskim oknie zatrzask yale. Popatrzyłem przez chwilę za siebie, zanim zamknąłem drzwi. To był miły pokój. Miło byłoby w nim siedzieć w rannych pantoflach.

Zamknąłem drzwi, mały samochodzik gładko znalazł się przy mnie i obszedłem go naokoło, żeby wsiąść.

Odwiozła mnie do samego domu, z zaciętymi ustami, zła. Jechała jak furia. Kiedy przed domem czynszowym, w którym mieszkałem, wysiadłem, lodowatym głosem powiedziała mi dobranoc, zawróciła małym wozem na środku ulicy i zniknęła, zanim zdążyłem wydobyć klucze z kieszeni.

Drzwi od sieni zamykają u nas o jedenastej. Otworzyłem je z klucza i wszedłem do wiecznie zatęchłej sieni, w głąb, do schodów i windy. Wjechałem na swoje piętro. Wzdłuż korytarza świeciły się nocne żarówki. Przed kuchennymi drzwiami stały butelki na mleko. W głębi ciemniało czerwone wyjście przeciwpożarowe. Chroniąca je siatka była otwarta i wpuszczała leniwy strumyczek powietrza, bezsilny jednak wobec kuchennych zapachów. Byłem w domu, w świecie snu, w świecie bezpiecznym jak śpiący kot. Otworzyłem z klucza drzwi do swojego mieszkania, wszedłem i wciągnąłem jego zapach stojąc przez chwilę na progu, na tle drzwi, zanim zapaliłem światło. Znajomy zapach kurzu i tytoniowego dymu, zapach świata zamieszkanego przez mężczyzn jeszcze żywych.

Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Miałem złe sny i budziłem się z nich spocony. Ale rano byłem znowu zdrowy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Siedziałem na brzegu łóżka w piżamie i zbierałem się do wstania, jeszcze nie zdecydowany. Nie czułem się za dobrze, ale nie tak źle, jak powinienem, nie tak źle, jak bym się czuł, gdybym był na pensji i posadzie. Głowę miałem obolałą, wielką i rozpaloną, język suchy i szorstki, szyję zdrętwiałą i w dodatku rozbitą szczękę. Ale zdarzały mi się już gorsze poranki.

Ten poranek był szary od mgły i jeszcze nie upalny, choć zanosilo się na upał. Dźwignąłem się z łóżka i roztarłem sobie dołek, wciąż obolały od wymiotów. Lewą stopę miałem wczoraj w porządku. Nie bolała mnie. Więc teraz rąbnąłem nią o brzeg łóżka.

Jeszcze kłamię, kiedy rozległo się ostre, stanowcze pukanie, które zwykle budzi w człowieku chęć uchylenia drzwi na dwa cale, żeby wypuścić przez nie odpowiednią wiązanekę i zatrzasnąć je z powrotem.

Otworzyłem drzwi trochę szerzej niż na dwa cale. Za nimi stał policjant - porucznik Randall w brązowym gabardynowym garniturze, różowawym wiosennym kapeluszu, szalenie schludny, czyściutki i uroczy, z paskudnym wyrazem oczu.

Lekko popchnął drzwi, a ja się odsunąłem. Wszedł, zamknął je i rozejrzył się po pokoju.

- Od dwóch dni szukam pana.

Nie spojrzał na mnie. Jego oczy lustrowały pokój.

- Byłem chory.

Krażył po pokoju lekkim, sprężystym krokiem, jego kremowosiwe włosy lśniły, kapelusz już wsunął pod ramię, a dłonie do kieszeni. Nie był specjalnie wysoki jak na policjanta. Wyjął jedną rękę z kieszeni i ostrożnie umieścił kapelusz na stosie pism.

- Nie tu - powiedział.

- W szpitalu.

- Którym?

- W szpitalu dla domowych zwierzątek.

Podskoczył, jakbym uderzył go w twarz. Krew napłynęła mu do policzków.

- Czy nie za wcześnie... na kiepskie żarty?

Nie odpowiedziałem. Zapaliłem papierosa. Pociągnąłem raz i znowu usiadłem na łóżku, z pośpiechem.

- Czy jest jakieś lekarstwo na takich jak pan? - zapytał. - Chyba tylko więzienie.

- Byłem chory, a dziś jeszcze nie piłem kawy. Nie może pan ode mnie oczekiwać dowcipu wysokiej klasy.

- Mówiłem panu, żeby się pan nie zajmował tą sprawą.

- Nie jest pan Panem Bogiem. Nie jest pan nawet Jezusem Chrystusem.

Zaciągnąłem się drugi raz papierosem. Gdzieś głęboko w środku zapiekło mnie do żywego, ale dym zaczynał nabierać smaku.

- Zdumiałby się pan, ile mogę panu narobić kłopotów.

- Prawdopodobnie.

- Czy wie pan, dlaczego tego dotychczas nie zrobiłem?

- Owszem.

- Dlaczego?

Czujny jak terier, pochylił głowę trochę do przodu z tym kamiennym wyrazem oczu, którego oni wszyscy nabierają prędzej lub później.

- Bo nie mógł mnie pan znaleźć.

Wyprostował się i zakołysał na piętach. Twarz mu się trochę spociła.

- Myślałem, że pan co innego powie - przyznał. - I wtedy byłem gotów trzepnąć pana w nos.

- Nie zląkłby się pan dwudziestu milionów dolarów. Ale musi pan słuchać rozkazów.

Oddychał ciężko, z rozchylonymi ustami. Bardzo powoli wydobyl z kieszeni paczkę papierosów i naddał opakowanie. Palce mu się trochę trzęsły. Włożył w usta papierosa i podszedł do stołu z gazetami po zapalki. Ostrożnie zapalił papierosa, położył zapalkę na popielniczkę, nie na podłogę, i wciągnął dym.

- Udzieliłem panu telefonicznie pewnej rady parę dni temu - powiedział. - To był czwartek.

- Piątek.

- Tak... piątek. Rada nie poskutkowała. Potrafię zrozumieć, dlaczego. Ale wówczas nie wiedziałem, że ukrywa pan dowody. Zalecałem panu tylko pewną linię postępowania, która w tym przypadku wydawała się godna zalecenia.

- Jakie dowody?

Popatrzył na mnie w milczeniu.

- Napije się pan kawy? - zapytałem. - To pana może ucłowieczy.

- Nie.

- Ja się napiję.

Wstałem i ruszyłem do kuchenki.

- Niech pan siada - szczerknął Randall. - Jeszcze bynajmniej nie skończyłem.

Nie zatrzymałem się, wyszedłem do kuchenki, nalałem wody do czajnika i postawiłem na gaz. Napiłem się z kranu zimnej wody raz i drugi. Nalałem sobie po raz trzeci, ze szklanką w ręku stanąłem w drzwiach i spojrzałem na niego. Nie poruszył się przez ten czas. Po jednej stronie dym z papierosa rozsunął się prawie dotykającym welonem. Patrzył w podłogę.

- Co było złego w tym, że poszedłem do pani Grayle, kiedy mnie wezwała? - zapytałem.

- Nie o tym mówiłem.

- Rzeczywiście. Ale przedtem o tym pan mówił.

- Ona pana nie wzywała. - Podniósł oczy, które znów miały ten kamienny wyraz. I znowu rumieniec barwił jego ostre kości policzkowe. - Narzucił jej się pan, gadając o skandalu, i wreszcie szantażem pan ją zmusił, żeby pana zaangażowała.

- Śmieszne. Tak jak ja to pamiętam, to nawet nie mówiliśmy o engagement. I nic nie znalazłem w jej opowiadaniu, to znaczy nic, o co mógłbym zahaczyć zęby. Od czego mógłbym zacząć. I oczywiście zakładałem, że panu już tę historyjkę opowiedziała wcześniej.

- Tak jest. Ta knajpa z piwem na Santa Monica to melina. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Tam nic się nie mogłem dowiedzieć. Hotel naprzeciwko też jest podejrzany. Ale nie ma w nim nikogo z tych, których szukamy. Drobne złodziejzki.

- Ona panu mówiła, że się jej narzuciłem?

Spuścił trochę oczy.

- Nie.

Uśmiechnąłem się drwiąco.

- Napije się pan kawy?

- Nie.

Wróciłem do kuchenki, zalałem kawę i czekałem, aż się przesączy. Tym razem Randall wszedł za mną i teraz on stanął w drzwiach.

- Ci bajterzy grasują po Hollywood i okolicy już dobre dziesięć lat, o ile wiem - powiedział. - Tym razem posunęli się za daleko. Zabili człowieka. Zdaje mi się, że wiem, dlaczego.

- Ba, jeżeli to robota gangu i pan go przyskrzyni, będzie to pierwsze wykryte morderstwo gangu, odkąd tu mieszkam. A mógłbym wymienić i opisać panu co najmniej kilkanaście takich morderstw.

- To miłe z pana strony, że pan tak mówi, Marlowe.

- Może mnie pan poprawić, jeśli się mylę.

- Cholera - zaklął ze złością. - Nie myli się pan. Ze względu na opinię wykryto ze dwa, ale to była robota zwykłych rzezimieszków. Jakiś dudek posłużył się nimi dla kariery.

- Racja. Kawy?

- Jeżeli się napiję, będzie pan ze mną gadał przyzwoicie, jak mężczyzna z mężczyzną, bez tych głupich kawałów?

- Spróbuję. Nie obiecuję, że wygadam panu wszystkie moje domysły.

- Obejdę się bez nich - powiedział kwaśno.

- Niebrzydki garnitur ma pan na sobie.

Rumieniec znowu zabarwił mu twarz.

- To ubranie kosztuje bardzo tanio - odszczeknął.

- O Jezu, jakiś delikatny glina - rzuciłem, znowu podchodząc do kuchenki.

- Ładnie pachnie. Jak pan ją zaparza?

Nalałem.

- Mam francuską maszynkę. Grubo zmielona kawa. Bez bibułowego filtra.

Wyjąłem z szafki cukier i śmietankę z lodówki. Usiedliśmy naprzeciwko siebie.

- Czy to był kawał, ta historia, że pan chorował i był w szpitalu?

- Żaden kawał. Wpakowałem się w awanturę... w Bay City. Przymknęli mnie. Nie w mamrze, na prywatnej kuracji narkotykami i alkoholem.

W jego oczach odbiło się zamyślenie.

- Bay City, hm. Pan, Marlowe, woli takie trudniejsze sposoby.

- Nie o to chodzi, że ja wolę trudniejsze sposoby. Idzie o to, że życie mnie nie gładzi. Dwa razy mnie ogłuszono, a drugi raz zrobił to policjant albo też facet, który wyglądał na policjanta i za takiego się podawał. Zbito mnie moim własnym pistoletem i przydławił mnie krzepki Indianin. Kiedy byłem nieprzytomny, wsadzili mnie do tego szpitala dla narkomanów i przetrzymali tam pod kluczem, chyba przez jakiś czas związanego. I niczego tu nie mogę dowiedzieć, poza tym, że rzeczywiście dorobiłem się pięknej kolekcji siniaków i że porządnie mi pokuli lewą rękę.

Wpatrywał się uparcie w róg stołu.

- W Bay City - powtórzył powoli.

- Ta nazwa brzmi jak piosenka śpiewana w brudnej wannie.

- Co pan tam robił?

- Nie ja tam jeździłem. To te gliny mnie przewiozły przez granicę stanu. Pojechałem zobaczyć się z facetem w Stillwood Heights. To jest w Los Angeles.

- Facetem, który się nazywa Jules Amthor - powiedział spokojnie. - Po co pan wędził te papierosy?

Wlepiłem wzrok w swoją filiżankę. Niech go lichy, tego głupka!

- Dziwnie to wyglądało, że ten... Marriott... ma drugą papierośnicę. A w niej papierosy z marihuaną. Zdaje się, że tam w Bay City robią je na podobieństwo rosyjskich papierosów, z pustymi ustnikami, herbem Romanowych, i tak dalej.

Pchnął pustą filiżankę w moją stronę, więc nalałem mu po raz drugi. Oczyma badał moją twarz zmarszczka po zmarszczce, skrawek po skrawku, jak Sherlock Holmes swoim szkłem powiększającym albo Thorndyke mikroskopem.

- Powinien mi pan być powiedzieć - zauważył z goryczą. Siorknął kawy i otarł wargi jedną z tych wystrzępionych szmatek, które w wynajętych pokojach dostaje się zamiast serwetek. - Ale to nie pan je zwędził. Dziewczyna mi powiedziała.

- Ach, dobrze już, do diabła - odpowiedziałem. - Człowiek w tym kraju nic już nie może zrobić. Wszędzie te baby.

- Pan się jej podoba - oznajmił Randall niczym grzeczny agent FBI z jakiegoś filmu, trochę smutny, ale bardzo męski. - Jej stary to był najuczciwszy glina, jaki kiedykolwiek stracił pracę. Nie powinna ich była zabierać. Pan się jej podoba.

- To miła dziewczyna. Nie w moim typie.

- Nie lubi pan miłych dziewczyn? - palił już następnego papierosa. Ręką odpędzał dym od twarzy.

- Lubię sprytne, szykowne dziewczyny, kute na cztery nogi i grzeszne do szpiku kości.

- Takie oskubią człowieka do czysta - zauważył Randall obojętnie.

- Jasne. Jakby mnie nikt nigdy nie oskubał. A to, co się teraz dzieje, jak pan nazwie?

Uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia. Prawdopodobnie pozwalał sobie na cztery uśmiechy dziennie.

- Niewiele z pana mam - oświadczył.

- Zdradzę panu jeden domysł, ale w tej sprawie dawno mnie już pan na pewno wyprzedził. Ten Marriott zajmował się szantażowaniem kobiet, pani Grayle prawie mi to wyznała. Ale miał jeszcze inną rolę. Był wtyczką tych bajterów. Wtyczką w lepszym towarzystwie, która oswaja ofiary i przygotowuje scenę. Oswajał te baby, zapraszał je do lokali i nawiązywał bliskie znajomości. Niech pan weźmie ten napad od czwartku tydzień wstecz. Jest w nim coś podejrzanego. Gdyby Marriott nie prowadził wtedy wozu albo nie zaprosił pani Grayle do Troc, ani nie wracał tą drogą, którą wracał, obok tej spelunki z piwem, do napadu by nie doszło.

- Wóz mógł prowadzić szofer - zauważył logicznie Randall. - I niczego by to bardzo nie zmieniło. Za dziewięćdziesiąt na miesiąc żaden szofer nie pozwoli się nadziewać ołowiem gangsterom. I Marriott nie mógł przecież za często sam wystawiać tych bab, bo coś by się o tym słyszało.

- W takich interesach wszystko polega na tym, że się nic nie słyszy - powiedziałem. - Właśnie dlatego towar idzie tak tanio.

Randall odchylił się do tyłu i potrząsnął głową.

- Musiałby pan wymyślić coś lepszego, żeby mnie zainteresować. Kobietom niewiele trzeba, żeby gadały. Musiałoby się rozejść, że ten Marriott wcale nie jest taki pewny, jeśli idzie o wspólne wycieczki po lokalach.

- Może się rozeszło. I dlatego go ukatrupili.

Randall popatrzył na mnie z drewnianym wyrazem twarzy. Mieszał łyżeczką w pustej filiżance. Wyciągnąłem rękę z dzbankiem kawy, ale machnięciem dłoni odsunął dzbanek.

- Niech pan mówi dalej - przyzwolił.

- Wykorzystali go. Już był bezużyteczny, czas było, żeby zaczęto trochę o nim mówić, jak to pan podpowiada. Tyle, że z tego zawodu się nie odchodzi i nie zostawiają człowiekowi czasu. Więc ten ostatni napad był urządzony specjalnie dla niego... po raz ostatni. Niech pan pamięta, że oni rzeczywiście mało zażądali za ten nefrytowy naszyjnik, jeżeli się weźmie pod uwagę jego wartość. I Marriott zajmował się pertraktacjami. Ale mimo wszystko bał się. W ostatniej chwili przyszło mu na myśl, że może lepiej będzie, jak nie pojedzie sam, i wymyślił sobie taką sztuczkę, żeby, jak mu się coś stanie, znaleziony przy nim przedmiot prowadził do kogoś, do człowieka bezwzględnie i na tyle sprytnego, żeby odwalać pracę umysłową dla takiego gangu, a jednocześnie człowieka w wyjątkowej pozycji, która mu pozwala zbierać informacje o bogatych babach. Była to dziecinna sztuczka, ale rzeczywiście spełniła swoje zadanie.

Randall potrząsnął głową.

- Gang byłby go przeszukał, może nawet wywieźliby ciało na morze i zatopili.

- Nie. Oni chcieli, żeby to wyglądało na amatorską robotę. Chcieli dalej prowadzić interes. Prawdopodobnie mieli już kogo innego umówionego na jego miejsce.

Randall nadal potrząsał głową.

- Człowiek, na którego wskazują te papierosy, to nie ten typ. On ma swój własny niezły handelek. Dowiadywałem się. Co pan o nim myśli?

Jego oczy były zbyt pozbawione wyrazu, zanadto obojętne.

- Wyglądał mi na cholernego kata - powiedziałem. - A pieniędzy nigdy nie jest za dużo. I ostatecznie ta jego psychoanaliza to handelek, który nigdzie długo nie idzie. Jest modny i wszyscy do niego latają, ale po jakimś czasie moda się kończy i handelek się kurczy. To znaczy, jeżeli ktoś jest tylko psychoanalitykiem i niczym poza tym. To tak jak z gwiazdą filmową. Powiedzmy, pięć lat. Interes będzie szedł z pięć lat. Ale założmy, że ma wiele sposobów wykorzystania informacji, które na pewno wydobywa z tych bab, a nie ma dla niego rzeczy niemożliwych.

- Zajmę się nim dokładniej - przyobiegał Randall z tym brakiem wyrazu w oczach. - Ale na razie bardziej interesuje mnie Marriott. Cofnijmy się... jeszcze dalej. Jak przyszło do tego, że pan go poznał?

- Po prostu zadzwonił do mnie. Natrafił na moje nazwisko w książce telefonicznej. Przynajmniej tak powiedział.

- Miał pana wizytówkę.

Zdziwiłem się.

- Rzeczywiście, zapomniałem o tym.

- Czy zastanawiał się pan w ogóle, dlaczego wybrał pana nazwisko?... nie wspominając już o pana krótkiej pamięci.

Spoglądałem na niego znad swojej filiżanki. Zaczynał mi się podobać. Miał pod kamizelką coś więcej niż koszulę.

- Więc w gruncie rzeczy po to pan przyszedł? - zapytałem.

Skinał głową.

- Reszta, wie pan, to tylko takie gadanie.

Uśmiechnął się do mnie uprzejmie i czekał. Nalałem jeszcze kawy.

Randall pochylił się w bok i obrzucił wzrokiem powierzchnię pomalowanego na kremowy kolor stołu.

- Trochę zakurzony - zauważył bezmyślnie, wyprostował się i spojrzał mi w oczy. - Może powinienem zabrać się do tego trochę inaczej - dodał. - Myślę, na przykład, że pana teoria o Marriottcie jest chyba słuszna. W jego skrytce leżą dwadzieścia trzy tysiączki... swoją drogą, mieliśmy cholerną pracę z odszukaniem jej. Jest także parę ładnych akcji i zabezpieczenie hipoteczne nieruchomości na Pięćdziesiątej Czwartej Zachodniej.

Podniósł łyżeczkę, leciutko zadzwonił nią o spodeczek i uśmiechnął się.

- To pana interesuje? - zapytał łagodnie. - Dom numer 1644 przy Pięćdziesiątej Czwartej Zachodniej?

- Taaak - powiedziałem ochryple.

- No, było też trochę klejnotów w skrytce Marriotta... całkiem ładne rzeczy. Ale nie sądzę, że są kradzione. Uważam za bardzo prawdopodobne, że dostał je w prezencie. Bał się ich sprzedać... ze względu na pewne osobiste asocjacje.

Skinąłem potakująco głową.

- Czułby się, jakby je skradł.

- Tak. Otóż to zabezpieczenie na parcelę z początku wcale mnie nie interesowało, ale niech pan posłucha, co się dzieje. Idzie o to, co się właśnie panu i takim jak pan nie podoba w pracy policji. Dostajemy raporty o zabójstwach i wszystkich podejrzanych wypadkach śmierci z okolicznych okręgów. Powinniśmy je czytać tego samego dnia. Taki jest przepis, tak samo jak nie wolno dokonywać rewizji bez nakazu albo bez wystarczających podstaw obmacać gościa, czy nie ma spluwy. Ale postępujemy wbrew przepisom. Musimy. Do niektórych raportów zabrałem się dopiero dziś rano. I przeczytałem o zabiciu jakiegoś Murzyna na Centralnej w czwartek w zeszłym tygodniu. Zabił go szczwany eks-aresztant zwany Myszką Malloyem. I był w tej sprawie świadek, który go widział. I niech mnie, jeżeli tym świadkiem nie był właśnie pan. Uśmiechnął się miękko, był to już trzeci uśmiech.

- Podoba się to panu?

- Słucham.

- I stało się to dopiero dziś rano, rozumie pan. Spojrzałem na nazwisko tego, który spisał raport, i okazało się, że go znam. To Nulty. No, to już wiedziałem, że sprawa upadła. Nulty już taki jest.. no, był pan kiedy na Crestline?

- Taaak.

- No. Więc tam niedaleko jest osiedle mieszkalnych wagonów towarowych. Sam mam tam domek, ale to nie wagon towarowy. Zwieźli tam te wagony ciężarówkami, niech mi pan wierzy albo nie, i stoją teraz bez kół. Otóż Nulty to facet, który by się świetnie nadawał na hamulcowego w tych wagonach.

- Nieladnie pan mówi - powiedziałem. - To kolega.

- Więc zawołałem Nulty'ego, który najpierw kluczył i kręcił, splunął sobie kilka razy i wreszcie powiada, że pan czegoś się domyślał o jakiejś dziewczynie, Velmie, coś tam, do której Malloy już dawno temu się zalecał, i że pan poszedł odwiedzić wdowę po tym facecie, co kiedyś miał tę knajpę, gdzie tego Murzyna zabili, jak jeszcze była knajpą dla białych, i gdzie Malloy i ta dziewczyna razem w tym samym czasie pracowali. I adres tej wdowy to właśnie był numer 1644 na Pięćdziesiątej Czwartej Zachodniej, na który Marriott ma zabezpieczenie hipoteczne.

- Tak?

- Więc doszedłem do wniosku, że dosyć tych przypadków na jedno rano - dodał Randall. - I tu mnie pan ma. I jak dotąd byłem bardzo uprzejmy.

- Cały kłopot w tym, że ten ślad więcej obiecuje, niż wskazuje. Ta dziewczyna Velma nie żyje, według słów pani Florian. Mam jej fotografię.

Poszedłem do pokoju, sięgnąłem do marynarki i z podniesioną już ręką doznałem śmiesznego uczucia, że nic tam nie znajdę. Ale nawet mi nie zabrali tych zdjęć. Wyjąłem je, zaniósłem do kuchni i rzuciłem dziewczynę-pierrota Randallowi. Przyjrzał się jej uważnie.

- Nigdy jej nie widziałem - powiedział. - A to jeszcze jedna?

- Nie, to zdjęcie z gazety przedstawiające panią Grayle. Zdobyła je Anna Riordan. Spojrzał na nie i skinął głową.

- Sam bym się z nią ożenił za czterdzieści milionów.

- Muszę panu coś powiedzieć - wyznałem. - Wczoraj w nocy byłem taki wściekły, że przychodziły mi do głowy wariackie myśli, żeby tam iść i zabrać się do niego samemu. Do tego szpitala na rogu Dwudziestej Trzeciej i Descanso w Bay City. Prowadzi go facet nazwiskiem Sonderborg, który się podaje za lekarza. Ma tam oprócz tego melinę dla przestępców. Widziałem tam wczoraj Myszkę Malloya. W jednym z pokoi.

Randall siedział bardzo nieruchomo i patrzył na mnie.

- Jest pan pewny?

- Nie sposób się pomylić. To olbrzymi chłop, jak góra. Jeszcze pan niczego podobnego nie oglądał.

Siedział i patrzył na mnie bez ruchu. Potem bardzo powoli wysunął się zza stołu i wstał.

- Chodźmy zobaczyć się z tą wdową Florian.

- A co z Malloyem?

Usiadł z powrotem.

- Niech mi pan dokładnie opowie o wszystkim.

Opowiedziałem mu. Słuchał nie spuszczając oczu z mojej twarzy. Zdaje mi się, że ani mrugnął. Oddychał z lekko otwartymi ustami. Ciało jego się nie poruszało. Palcami uderzał lekko w stół. Kiedy skończyłem, powiedział:

- A ten doktor Sonderborg... jak on wygląda?

- Jak narkoman, a może i handlarz narkotyków.

Opisałem go Randallowi najlepiej, jak umiałem.

Spokojnie przeszedł do drugiego pokoju i usiadł przy telefonie. Nakręcił swój numer i długo coś mówił cichym głosem. Potem wrócił do kuchni. Skończyłem właśnie zaparzać nową kawę, ugotowałem jajka, zrobiłem parę tostów i posmarowałem je masłem. Zasiadłem do jedzenia.

Randall usiadł naprzeciwko mnie i oparł brodę na dłoni.

- Wysłałem tam specjalistę od narkotyków ze stanowej policji, niby to po poradę, żeby się rozejrzył. Może na coś wpaść. Malloya nie złapie. Malloy ulotnił się stamtąd wczoraj w nocy w dziesięć minut po tym, jak pan się wydostał. To jedno jest absolutnie pewne.

- A dlaczego nie policję z Bay City?

Posoliłem jajka.

Randall nic nie odpowiedział. Kiedy spojrzałem na niego, twarz miał czerwoną i malowało się na niej zmieszanie.

- Jak na glinę - powiedziałem - jest pan najwrażliwszym człowiekiem, jakiego w życiu widziałem.

- Niech pan się pospieszy z jedzeniem. Musimy ruszać.

- Potem muszę się jeszcze ogolić, wziąć tusz i ubrać się.

- Nie mógłby pan iść po prostu w piżamie? - zapytał złośliwie.

- Więc aż tak źle jest z tym miasteczkiem? - zadrwiłem.

- To miasto jest własnością Lairda Brunette'a. Mówią, że wyłożył trzydzieści tysięcy na wybór burmistrza.

- To ten, do którego należy klub "Belvedere"?

- I dwa domy gry na statkach.

- Ale to się dzieje w naszym okręgu - dodałem.

Spuścił wzrok na swoje czyste i lśniące paznokcie.

- Wpadniemy do pana kancelarii po te dwa pozostałe papierosy z marihuaną - powiedział. - Jeżeli jeszcze stamtąd nie znikły. - Prztyknął palcami. - Gdyby mi pan dał klucze, mógłbym to załatwić, kiedy pan się będzie golił i ubierał.

- Pojedziemy razem. Mogą być jakieś listy.

Kiwnął głową, a po chwili usiadł i zapalił nowego papierosa. Ogoliłem się, ubrałem i pojechaliśmy autem Randalla.

Zastałem jakąś pocztę, ale nie było to nic godnego czytania. W szufladzie dwa rozcięte papierosy leżały nietknięte. Ani śladu, żeby ktoś przeszukiwał kancelarię.

Randall wziął obydwa rosyjskie papierosy, powąchał tytoń i włożył je do kieszeni.

- Zabrał panu jedną z tych swoich wizytówek - zastanowił się na głos. - Pewno na odwrocie była czysta, to się już nie troszczył o pozostałe. Przypuszczam, że Amthor nie jest zanadto przestraszony... pomyślał sobie, że pan chce z niego coś wyciągnąć. Jedziemy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Stara Wtrącałska wysunęła nos za drzwi prawie na cal, ostrożnie wciągnęła nim powietrze, jakby się spodziewała kwitnienia wczesnych fiołków, szybkim spojrzeniem zlustrowała ulicę w obu kierunkach i skinęła siwą głową. Randall i ja zdjęliśmy kapelusze. W tej dzielnicy świadczyło to prawdopodobnie o elegancji równej Valentino. Zdaje się, że mnie pamiętała.

- Dzień dobry pani - powiedziałem. - Czy możemy wpaść na minutkę? To porucznik Randall z kwatery głównej.

- Dobry Boże, już w głowie mi się kręci. Mam mnóstwo prasowania.

- Zajmiemy pani tylko chwilkę.

Odstąpiła od drzwi, a my prześliznęliśmy się koło niej do korytarza z tym kredensem z Mason City, czy skąd on tam pochodził, a z niego przeszliśmy do bawialni z siatkowymi firankami w oknach. Zamknęła za nami drzwi tak ostrożnie, jakby były z kruchego tortowego ciasta.

Dziś rano miała na sobie biało-niebieski fartuch. Jej oczy nie straciły nic ze swojej przenikliwości, a broda nie urosła ani o cal.

Zaparkowała mniej więcej stopę ode mnie, wysunęła twarz i zajrzała mi w oczy.

- Nie dostała jej.

Zrobiłem mądrą minę. Skinąłem głową i spojrzałem na Randalla, a Randall także skinął głową. Podeszedł do okna i spojrzał na ścianę domu pani Florian. Wrócił po cichu, trzymając różowy kapelusz pod pachą, elegancki jak francuski hrabia ze szkolnego przedstawienia.

- Nie dostała jej - powtórzyłem za nią.

- Właśnie, nie dostała. W sobotę był pierwszy. Prima aprilis. Hi! hi! hi! - Urwała i już miała obetrzeć oczy fartuchem, ale przypomniała sobie, że to fartuch gumowy. To ją trochę zwarzyło. Zesznurowała usta. - Kiedy przechodził listonosz i nie wszedł na jej dróżkę, wybiegła i zawołała na niego. Potrząsnął głową i poszedł dalej. Wróciła do domu. Zatrzęsnęła drzwi tak głośno, że myślałam, że okno wyleci. Jakby była wściekła.

- No, no.

Stara Wtrącańska obcesowo zwróciła się do Randalla:

- Niech mi pan pokaże swój znaczek, młody człowieku. Od tego kawalera wczoraj czuć było whisky. Nigdy mu naprawdę nie wierzyłam.

Randall wyjął z kieszeni emaliowany złoto-niebieski znaczek i pokazał.

- Wygląda na prawdziwy policyjny - przyznała. - No, więc przez niedzielę nic się nie działo. Wychodziła po alkohol. Wróciła z dwiema czworokątnymi butelkami.

- Dżin - wtrąciłem. - Już to wystarczy. Przyzwoci ludzie nie piją dżinu.

- Przyzwoci ludzie w ogóle nie piją alkoholu - powiedziała znacząco Stara Wtrącańska.

- Taak - zgodziłem się. - A w poniedziałek, to znaczy dzisiaj, listonosz ominął ją znowu. Teraz to ją dopiero zabolalo.

- Znadto coś pan jest domyślny, kawalerze. Ledwie się pan może doczekać, aż człowiek usta otworzy.

- Przepraszam panią. To dla nas ważna sprawa i...

- Ten tutaj młody człowiek to przynajmniej wie, kiedy siedzieć cicho.

- On jest żonaty - powiedziałem. - Ma doświadczenie.

Jej twarz nabrała fioletowego odcienia, którymi niemiło przypomniał sinicę.

- Proszę wynosić się z mojego domu, bo zawołam policję! - krzyknęła.

- Ma pani przed sobą funkcjonariusza policji, madame - powiedział krótko Randall. - Jest pani bezpieczna.

- To prawda - przyznała. Odcień fioletowy zaczął niknąć z jej twarzy. - Nie podoba mi się ten tutaj.

- Nie tylko pani, madame. Więc pani Florian nie dostała swojego listu poleconego, czy o to idzie?

- Nie dostała - rzuciła ostro. Jej oczy biegały niespokojnie. Zaczęła mówić bardzo szybko, za szybko: - Ktoś tam był wczoraj wieczorem. Nawet nie widziałam. Znajomi zabrali mnie do kina. Właśnie wróciliśmy... nie, właśnie oni odjechali... kiedy spod tamtego domu ruszyło auto. Prędko, i bez świateł. Nie widziałam numeru.

Zerknęła na mnie bokiem, przenikliwie, rozbieganymi oczami. Dziwiło mnie to rozbiegane spojrzenie. Podeszedłem do okna i uniosłem siatkową firankę. Do domu zbliżał się mężczyzna w szaroniebieskim mundurze. Dźwigał ciężką przewieszoną przez ramię skórzaną torbę i na głowie miał czapkę z daszkiem.

Odwrociłem się od okna szczerząc zęby.

- Bujać to my - zwróciłem się do niej obcesowo. - Na drugi rok przeniosą panią do trzeciej ligi.

- Nie jest pan dowcipny - powiedział zimno Randall.

- Niech pan wyjrzy przez okno.

Zrobił to i twarz mu się ścięła. Znieruchomiał patrząc na panią Morrison. Czekał na coś, na dźwięk jedyny i niepowtarzalny. Dźwięk ten rozległ się za chwilę.

Był to szmer wywołany wsuwaniem czegoś w otwór skrzynki na listy przy frontowych drzwiach. Przedmiotem tym mógł być jakiś prospekt, ale nie był. Usłyszeliśmy znowu kroki na ścieżce, potem na ulicy i Randall znowu podeszedł do okna. Listonosz nie zatrzymał się przy domu pani Florian. Minał go, ukazując nam nieporuszone i spokojne plecy w szaroniebieskim mundurze, a na nich ciężką wypchaną torbę.

Randall odwrócił głowę i zapytał z lodowatą uprzejmością:

- Jak często przychodzi poranna poczta w tej dzielnicy?

Pani Morrison spróbowała stawić mu czoło.

- Tylko raz - odpowiedziała ostro. - Raz ranna i raz popołudniowa.

Oczy jej biegały na wszystkie strony. Cofnięty podbródek drżał jakby coś zapowiadając. Ręce ścisnęły gumową falbankę obrzeżającą biało-niebieski fartuch.

- Poranna poczta właśnie nadeszła - powiedział sennym głosem Randall. - Czy listy polecone przynosi ten sam listonosz?

- Poleconą przynosi specjalny doręczyciel! - skrzeknął starczy głos.

- O... Ale w sobotę pani Florian wybiegła i rozmawiała z listonoszem, kiedy ominął jej dom. I nie wspominała pani o specjalnym doręczycielu ani słowa.

Miło było się przyglądać Randallowi przy pracy, jeżeli obrabiał kogoś innego.

Otworzyła usta szeroko. Jej zęby miały piękny połysk, zagwarantowany całonocnym moczeniem w szklance z roztworem. Nagle pisnęła, zarzuciła fartuch na głowę i wybiegła z pokoju.

Popatrzył na drzwi, w których zniknęła. Znajdowały się za wnęką. Uśmiechnął się. Był to dosyć zmęczony uśmiech.

- Gładko i bez odrobiny przesady - orzekłem. - Na drugi raz pan bierze na siebie rolę brutalą. Ja nie lubię być brutalny wobec starszych pań... nawet kiedy opowiadają nieprawdziwe ploty.

Uśmiechał się nadal.

- Zawsze to samo. - Wzruszył ramionami. - Praca policjanta. Tfu. Zaczęła od faktów, bo znała fakty. Ale życie nie nadążało z dostarczaniem nowych i nie wydawały się wystarczająco ciekawe. Spróbowała je trochę podmalować.

Zawrócił i wyszedł do hallu. Z głębi domu dochodziło cichutkie szlochanie. Może dla jakiegoś cierpliwca, który od dawna już leżał w grobie, była to broń przynosząca ostateczną klęskę. Dla mnie była to tylko płacząca staruszka, ale i tak nic przyjemnego.

Po cichu wyszliśmy z domu, zamknęliśmy frontowe drzwi i sprawdzili, czy siatka w drzwiach się nie obja. Randall włożył kapelusz i westchnął. Potem wzruszył ramionami i rozłożył szeroko chłodne, dobrze utrzymane ręce. Wciąż z głębi domu dochodził cichutki odgłos płaczu.

Plecy listonosza widać już było trzy domy dalej.

- Praca policjanta - powiedział po cichu, szeptem Randall i skrzywił się.

Przemierzyliśmy przestrzeń oddzielającą oba domy. Pani Florian nie zabrała nawet prania z linki. Podfrowało ono i podskakiwało, sztywne i żółtawe na podwórku od tyłu. Weszliśmy po schodkach i zadzwoniliśmy. Nic. Zapukaliśmy. Nic.

- Ostatnio drzwi nie były zamknięte - powiedziałem.

Pchnął drzwi, ostrożnie zasłaniając je sobą. Tym razem były zamknięte na klucz. Zeszliśmy z ganku i obeszlśmy dom od tyłu, gdzie nas nie mogła widzieć Stara Wtrącańska. Ganek kuchenny zamknięty był na drzwi siatkowe. Randall zapukał w nie. Nic. Zeszedł z powrotem po dwóch niemal odartych z farby drewnianych schodkach, przemierzył nie używany, zarośnięty podjazd i otworzył drewniany garaż. Drzwi skrzypnęły. W garażu było pusto. Stały w nim dwa staroświeckie, poobijane kufry niewarte nawet porąbania na opał. Zardzewiałe narzędzia ogrodnicze, stare puszeki, pełno starych puszek w tekturowych pudłach. Po obu stronach drzwi siedziały w kątach piękne i tłuste czarne pająki w niedbale i nieporządnie utkanej pajęczynie. Randall podniósł kawałek drewna i pozabijał je machinalnie. Zamknął z powrotem garaż, wrócił zachwaszczoną ścieżką przed front domu i wszedł po schodkach od strony widocznej dla Starej Wtrącańskiej. Nikt nie odpowiedział ani na dzwonicie, ani na pukanie.

Wrócił powoli, spoglądając przez ramię na drugą stronę ulicy.

- Najłatwiejsze będą drzwi od kuchni - powiedział. - Ta stara kwoka z sąsiedztwa jest już nieszkodliwa. Za wiele nakłamała.

Wszedł na dwa schodki prowadzące do kuchennych drzwi i zręcznie wsunął ostrze scyzoryka w szparę. Podniósł haczyk. W ten sposób dostaliśmy się na ganek. Stało na nim pełno puszek, a w niektórych roiło się od much.

- Boże, jak ona może tak żyć - westchnął.

Drzwi od tyłu nie przedstawiały trudności. Wytrych za pięć centów otworzył zamek. Ale była jeszcze zasuwka.

- To już dla mnie za wiele - powiedziałem. - Chyba się wyniosę. Ona by tak nie zamykała. To za wielka flądra.

- Pański kapelusz jest bardziej znoszony od mojego - powiedział Randall. Spojrzał na szybkę w drzwiach. - Niech mi go pan pożyczysz, to wypchnę to szkło. Czy mamy się silić na czystą robotę?

- Obcasem je. Komu tu na tym zależy?

- To już.

Odsunął się i pchnął zamek wyciągniętą nogą. Coś dziwnie trzasnęło i drzwi odsunęły się na parę cali. Otworzyliśmy je, podnieśliśmy kawałek metalu z linoleum i uprzejmie położyliśmy go na stole do zmywania obok co najmniej dziewięciu butelek po dżinie.

Muchy objęły się z brzęczeniem o zamknięte okna kuchni. Śmierdziało tu. Randall zatrzymał się pośrodku kuchni i uważnie ją zlustrował.

Potem wszedł po cichu za wahadłowe drzwi dotykając ich tylko czubkiem buta i to tylko po to, żeby je na tyle odepchnąć, aby się z powrotem nie zamknęły. Bawialnia była taka, jak ją pamiętałem. Radio było wyłączone.

- Piękne radio - zauważył Randall. - Kosztowało sporo pieniędzy. Jeżeli jest zapłacone. Tu coś jest.

Przyklęknął na jedno kolano i rozejrzał się po dywanie. Potem podszedł do radia i poruszył luźny sznur stopą. Ukazała się wtyczka. Pochylił się i obejrzał pokrętła odbiornika.

- Taaak - powiedział. - Zręczny i dosyć wielki. A to było całkiem sprytne. Bo na sznurze elektrycznym nie zostawia się chyba odcisków palców?

- Niech pan wetknie do kontaktu, zobaczymy, czy włączone.

Wyciągnął rękę i wetknął wtyczkę w kontakt nisko przy podłodze. Światło zapaliło się od razu. Poczekaliśmy. Odbiornik mrucał przez chwilę i nagle popłynął z głośnika silny głos. Randall skoczył na sznur i znowu wyszarpnął go z kontaktu. Dźwięk urwał się ostro.

Kiedy się wyprostował, oczy miał pełne światła.

Szybko przeszliśmy do sypialni. Pani Jessie Pierce Florian leżała w poprzek łóżka w wygniezionej kretonowej domowej sukni, z głową tuż przy wezglowiu. Narożnik tego wezglowia usmarowany był czymś ciemnym, co smakowało muchom. Od dawna już nie żyła.

Randall nie dotknął jej. Długo na nią patrzył, a potem spojrzał na mnie obnażając zęby jak wilk.

- Mózg ma rozpryskany po twarzy - powiedział. - To się powtarza w tej sprawie jak refren. Tylko że tego tutaj ktoś dokonał gołymi rękami. Ale, Chryste Panie, jakimi rękami! Niech pan spojrz na sińce na szyi, na rozstawienie śladów palców.

- Sam pan niech sobie na nie patrzy - odburknąłem. Odwróciłem się. - Biedny stary Nulty. To już nie jest sprawa o zabicie jakiegoś tam czarnucha.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Przez politurowaną powierzchnię biurka Randalla pełzną powoli lśniący czarny żuczek z różową głową i różowymi kropkami na grzbiecie, machając wkoło parą czułków, jakby wypróbowywał wiatr przed odlotem. Zataczał się trochę jak starsza pani nad miarę obładowana paczkami. Nieznajomy tajniak siedział przy drugim biurku i przemawiał w staroświecki mikrofon telefonu, tak że jego głos brzmiał jak szept w tunelu. Mówił z oczami na pół przymkniętymi, w wielkiej, naznaczonej szramą dłoni trzymał przed sobą na biurku między zgiętymi palcami wskazującym i serdecznym palącego się papierosa.

Żuczek dotarł do skraju biurka i odmaszerował prosto w przepaść. Spadł na podłogę na grzbiet, słabiutko zamachał paroma cienkimi, słabymi nóżkami i udał martwego. Ponieważ nikogo to nie obeszło, znowu pomachał nóżkami i wreszcie z wysiłkiem przewrócił się na brzusek. Powoli podreptał do kąta, ku niczemu, nigdzie.

Skrzynka policyjnego głośnika na ścianie wyszczekała komunikat o jakimś napadzie na San Pedro, na południe od Czterdziestej Czwartej. Dokonał go mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemnoszary garnitur i szary filcowy kapelusz. Ostatnio widziano go biegnącego w kierunku wschodnim na Czterdziestej Czwartej, potem wpadł między domy.

- Podchodzić ostrożnie - mówił spiker. - Podejrzany uzbrojony jest w pistolet kalibru 32 i przed chwilą napadł na właściciela greckiej restauracji na Południowej San Pedro pod numerem 3966.

Tępe szcęknięcie, głos spikera rozplynał się w powietrzu, zastąpił go drugi, który zaczął odczytywać listę poszukiwanych samochodów powolnym i monotonnym głosem, powtarzając wszystko po dwa razy.

Drzwi się otworzyły i wszedł Randall z plikiem papierów formatu listowego. Przeszedł rześko przez pokój, usiadł naprzeciwko mnie za biurkiem i pchnął w moją stronę jakieś papierki.

- Niech pan podpisze cztery egzemplarze - powiedział.

Podpisałem cztery egzemplarze.

Różowy żuczek dotarł do kąta pokoju i wysunął czułki, szukając miejsca dogodnego do startu. Miał trochę zniechęcony wygląd. Udał się wzdłuż boazerii w stronę drugiego kąta. Zapaliłem papierosa, a tajniak wstał nagle od telefonu i wyszedł z pokoju.

Randall usadowił się wygodniej na krześle. Wyglądał tak samo jak zawsze, tak samo chłodny i gładki, równie gotów do niegrzeczności, jak i uprzejmości, zależnie od biegu wydarzeń.

- Powiem panu parę rzeczy - zaczął - żeby pan się nie musiał wysilać na dalsze genialne pomysły. Żeby pan już nie musiał reżyserować całej sceny. Z nadzieją, że może pan, na litość boską, da już temu spokój.

Czekałem.

- Żadnych śladów w tej dziurze - ciągnął. - Pan wie, o jakiej dziurze mówię. Sznur wyszarpnięto, żeby wyłączyć radio, ale pewno ona je sama włączyła. To prawie oczywiste. Alkoholicy lubią nastawiać radio głośno. Jeżeli ktoś ma na rękach rękawice, żeby popełnić morderstwo, i włącza radio, żeby zagłuszyć strzały czy coś tam, może je i wyłączyć w ten sam sposób. Ale tam to się odbyło inaczej. I ta kobieta ma skręcony kark. Nie żyła już, kiedy ten facet zaczął ciskać jej głową. Ale dlaczego w ogóle zaczynał ciskać jej głową?

- Właśnie, słucham.

Zmarszczył się.

- Prawdopodobnie nie wiedział, że skręcił jej kark. Był na nią wściekły - dodał. - Dedukcja.

Uśmiechnął się kwaśno. Wydmuchnąłem dym i machnięciem ręki odwałem go od oczu.

- Ba, ale dlaczego był na nią wściekły? Wtedy, kiedy go przyskrzynili u Floriana za tę robotę bankową w Oregonie, komuś dostała się piękna nagroda. Jakiemuś sprzedawcy, który już nie żyje, ale część pewno dostali Florianowie. Malloy mógł to podejrzewać. Może nawet znał prawdę. A może tylko próbował ją z baby wycisnąć.

Skinałem głową. Coś takiego zasługiwało na potaknięcie. Randall mówił dalej:

- Tylko raz ją chwycił za szyję i już nie puścił; Jak go złapiemy, będziemy mogli tego dowieść mierząc ślady jego rąk. A może nie. Doktor oblicza, że to się stało wczoraj wczesnym wieczorem. W porze kina, w każdym razie. Poza tym nie mamy dowodu, że Malloy tam był, nikt z sąsiadów go nie widział. Ale to rzeczywiście wygląda na robotę Malloya.

- Taak - powiedziałem. - To jasne. Zresztą, pewno nie miał zamiaru jej zabić. Jest po prostu za silny.

- To mu nic nie pomoże - zauważył ponuro Randall.

- Myślę. Zwracam tylko pana uwagę na to, że Malloy nie wydaje mi się typem mordercy. Zabije, jeżeli jest do tego zmuszony... ale nie dla przyjemności czy pieniędzy... i nie będzie zabijał kobiet.

- Czy to ważne? - zapytał sucho.

- Może pan wie już tyle, że odróżnia pan, co jest ważne. Ja nie.

Wpatrywał się we mnie tak długo, że spiker policyjny zdążył nadać następny komunikat o napadzie na grecką restaurację na Południowej San Pedro. Podejrzanego już ujęto. Potem się okazało, że był to czternastoletni Meksykanin z wodnym pistoletem. Tyle są warte zeznania naocznych świadków.

Randall zaczekał, aż spiker skończy, i ciągnął dalej:

- Dogadaliśmy się dziś rano. Nie psujmy tego. Niech pan wraca do domu, połóż się i dobrze odpocznie. Kiepsko pan wygląda. Już ja i wydział policyjny zajmiemy się morderstwem Marriotta, znalezieniem Malloya i tak dalej.

- W sprawie tego Marriotta wziąłem pieniądze - powiedziałem. - Nie wywiązałem się. A pani Grayle mnie zaangażowała. Czego pan chce ode mnie? Żebym przeszedł na emeryturę i żył z oszczędności?

Znowu na mnie popatrzył.

- Wiem. Sam jestem człowiekiem. Wydają wam licencje nie po to, żebyście je zawieszali na ścianach gabinetów. Czegoś się po was spodziewają. A jednak byle funkcjonariusz służby czynnej, jakby się uwziął, dałby panu radę.

- Nie wtedy, kiedy mam za sobą Grayle'ów.

Wziął to pod rozwagę. Wściekły był, że chociaż w części musi mi przyznać rację. Zmarszczył się więc i postukał w biurko.

- Ale postawmy sprawę jasno - powiedział po chwili milczenia. - Jeżeli pan tę sprawę połóż, wpadnie pan w niezły pasztet. Może to być pasztet, z którego tym razem jeszcze się pan wygrzebie. Nie wiem. Ale pomału tak pan zniechęci do siebie ten wydział, że diablo panu utrudnią zrobienie czegokolwiek.

- Każdy prywatny detektyw spotyka się z tym na co dzień... Chyba że zajmuje się tylko rozwodami.

- Morderstwami nie może się pan zajmować.

- Powiedział pan już, co do pana należy. Wysłuchałem tego. Nie spieszę się dokonywać rzeczy, którym nie może podołać duży wydział policji. Jeżeli mam swoje małe prywatne przypuszczenia, to są one tylko małe i prywatne.

Powoli oparł się o biurko. Jego szczupłe, nerwowe palce stukały o blat jak tamte pędy poinsecji o frontową ścianę domu pani Florian. Kremowosiwe włosy aż lśniły. Nie odrywał ode mnie swego spokojnego spojrzenia.

- Kończmy - powiedział - to, co pozostało do powiedzenia. Amthor wyjechał. Jego żona, a jednocześnie sekretarka, nie wie albo też nie chce powiedzieć, dokąd. Indianin zniknął także. Czy złoży pan skargę na tych ludzi?

- Nie. Nie mógłbym jej uzasadnić.

Widać było, że sprawiło mu to ulgę.

- Jego żona powiada, że nigdy o panu nie słyszała. A co do tych dwóch glinów z Bay City, jeżeli to były gliny... tu już nic zrobić nie mogę. Wolałbym raczej nie komplikować sprawy bardziej, niż jest skomplikowana. Co do jednego czuję się pewny: Amthor nie miał nic. wspólnego z zamordowaniem Marriotta. Te papierosy z jego wizytówkami były tylko podrzucone.

- A doktor Sonderborg?

Rozłożył ręce.

- Cały interes się ulotnił. Poszli tam po cichu ludzie prokuratora okręgowego. Nie kontaktując się wcale z Bay City. Dom był zamknięty na trzy spusty i opuszczony. Oczywiście weszli do środka. Próbowano w pośpiechu tu i ówdzie zatrzeć ślady, ale odciski palców były, i to dużo. Tydzień nam zajmie badanie tego, cośmy znaleźli. Zmagają się teraz z szafą pancerną w ścianie. Pewno trzymali w niej narkotyki... i inne rzeczy. Moim zdaniem ten Sonderborg będzie notowany, nie tutaj, to gdzie indziej za usuwanie ciąży, leczenie ran postrzałowych czy zniekształcanie linii papilarnych albo też za nielegalne stosowanie narkotyków. Jeżeli to podpada pod prawo federalne, bardzo nam pomoże.

- Mówił, że jest doktorem medycyny - powiedziałem.

Randall wzruszył ramionami.

- Mógł nim kiedyś być. Może też do dziś mieć dyplom. Mamy takiego faceta praktykującego dziś w pobliżu Palm Springs, którego pięć lat temu oskarżono o sprzedaż narkotyków w Hollywood. Był winien jak cholera... ale pomogła protekcja. Uszło mu na sucho. Coś pana jeszcze trapi?

- Co pan wie o tym Brunette... jeżeli już tyle mówimy.

- Brunette to szuler. Zarabia mnóstwo. I zarabia w łatwy sposób.

- W porządku - stwierdziłem podnosząc się z krzesła. - To się trzyma kupy. Ale nie przybliżyła nas do tej rzekomej bandy, która zamordowała Marriotta.

- Wszystkiego nie umiem panu powiedzieć, Marlowe.

- Nie oczekuję tego.. Ale, ale, Jessie Florian powiedziała mi, kiedy u niej byłem drugi raz... że kiedyś służyła rodzinie Marriotta. To dlatego przysyłał jej pieniądze. Czy są jakieś dowody?

- Tak. Listy w jego skrytce, w których mu dziękowała, powtarzając to samo. - Wyglądał, jakby miał wpaść złość. - A teraz zechce pan iść do domu i pilnować własnych spraw?

- To miłe z jego strony, że tak przechowywał te listy, co?

Podniósł oczy, aż ich spojrzenie spoczęło na czubku mojej głowy. Następnie przymknął powieki, tak że ledwie widać było tęczę. W ten sposób patrzył na mnie całe długie dziesięć sekund. Wreszcie uśmiechnął się. Strasznie często się tego dnia uśmiechał. Zużywał przydział na cały tydzień.

- Mam na ten temat pewną teorię - zaczął wyjaśniać. - To idiotyczne, ale taka jest natura ludzka. Okoliczności życia zrobiły Marriotta człowiekiem przestraszonym. Wszyscy przestępcy to hazardziści, bardziej czy mniej, a hazardziści są przesądni... mniej lub więcej. Myślę, że Jessie Florian to była szczęśliwa maskotka Marriotta. Jak długo opiekował się nią, tak długo był bezpieczny.

Odwrociłem głowę i rozejrzałem się za różowo kropkowanym żuczkiem. Wypróbowywał już dwa kąty pokoju i, niezaspokojony, ruszał w kierunku trzeciego. Podeszedłem, podniosłem go przez chusteczkę i posadziłem z powrotem na biurku.

- Niech pan spojrzy - powiedziałem. - Pana pokój jest na siedemnastym piętrze. I ten żuczek wspina się tak wysoko tylko po to, żeby znaleźć przyjaciela. Mnie. To jest moja maskotka.

Ostrożnie zawinąłem żuczka w chusteczkę i wsunąłem ją do kieszeni. Randall zrobił wielkie oczy. Poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Zastanawiam się, czyją maskotką był Marriott - powiedziałem.

- Nie pańską, kolego.

Jego głos był jak ocet, zimny ocet.

- I pańską chyba nie był.

Mój głos był jak zawsze. Wyszedłem z pokoju i zamknąłem drzwi.

Zjechałem szybkobieżną windą do wyjścia na Spring Street, przeszedłem przez frontowy ganek ratusza, zeszedłem po paru schodkach i skierowałem się do klombu. Ostrożnie umieściłem różowego żuczka pod krzakiem.

Jadąc do domu taksówką zastanawiałem się, ile mu zajmie czasu wspięcie się z powrotem do wydział zabójstw.

Wyprowadziłem auto z garażu na tyłach domu i zjadłem w Hollywood jakiś lunch, zanim wyruszyłem do Bay City. Było piękne, chłodne i słoneczne popołudnie, kiedy zjechałem na plażę. Skręciłem z bulwaru w Ulicę Trzecią i zatrzymałem się przed ratuszem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Jak na tak dobrze prosperujące miasto budynek wyglądał tandetnie. Tracił raczej jakąś sekciarską abnegacją środkowych stanów. Pod murkiem ogradzającym od frontu trawnik - prawie całkowicie już zarośnięty bermudzką trawą - siedzieli długim rzędem przez nikogo nie niepokojeni włóczędzy. Budynek miał jedno piętro i na szczycie starą dzwonnice z wiszącym w niej wciąż dzwonem. W dawnych dobrych czasach, kiedy się jeszcze żuło prymkę i spluwało, ten dzwon służył prawdopodobnie do zwoływania oddziału ochotniczej straży pożarnej.

Popękany chodniczek i frontowe schodki prowadziły do otwartych podwoi, w których skupiła się grupka nietrudnych do zidentyfikowania miejskich obiboków, w oczekiwaniu na traf, z którego dałoby się coś wycisnąć. Wszyscy mieli dobrze odżywione brzuszki, ostrożne spojrzenia i stali w gotowości. Zrobili mi przejście szerokości mniej więcej czterech cali.

W środku był długi ciemny korytarz, zmywany na mokro po raz ostatni tego dnia, kiedy wprowadzono na urząd McKinleya. Drewniana strzałka pokazywała drogę do kantorka informacji wydziału policyjnego. Przy aparacie niewielkiego wewnętrznego telefonu wprawionego w skraj porysowanego blatu drzemał policjant w mundurze. Drugi, po cywilnemu, bez marynarki i ze spluwą wyglądającą na tle jego żeber jak hydrant przeciwpożarowy, oderwał jedno oko od czytanej właśnie popołudniówki, strzelił śliną w oddaloną o dziesięć stóp spluwaczkę, ziewnął i poinformował mnie, że gabinet szefa jest na piętrze, w głębi.

Na piętrze było jaśniej i czystiej, ale nie znaczy to, że tam było jasno albo czysto. Na drzwiach od strony oceanu, prawie w samym końcu korytarza, widniał napis: John Wax, Komendant Policji. Wejść.

Za drzwiami znajdowała się niska drewniana barierka, a za nią policjant w mundurze pisał na maszynie przy pomocy trzech palców, w tym jednego kciuka. Wziął moją wizytówkę, ziewnął, obiecał, że zobaczy, i z trudem zmusił się do wejścia za

mahoniowe drzwi z napisem: John Wax, Komendant Policji. Wejście przez Sekretariat. Wrócił i otworzył przede mną klapę w barierze.

Wszedłem do prywatnego gabinetu i zamknąłem za sobą drzwi. Gabinet był chłodny, duży i z trzech stron miał okna. Imponujące biurko stało daleko w głębi, jak biurko Mussoliniego, tak że w drodze do niego trzeba było przejść przez cały wielki niebieski dywan, poddając się obserwacji przenikliwych oczu.

Podszedłem do biurka. Stojąca na nim ukosem tabliczka oznajmiała: John Wax, Komendant Policji. Nabrałem pewności, że zapamiętam to nazwisko. Spojrzałem na mężczyznę za biurkiem. Wyglądał jak spod igły. Miał małe, chciwe oczka o ciężkich powiekach i spojrzeniu skaczącym z miejsca na miejsce jak stado pcheł. Ubrany był w garnitur z jasnobrązowej flaneli, kawowego koloru koszulę i krawat, na palcu miał pierścionek z diamentem, wysadzany diamentami znaczek masoński w klapie, a z kieszonki na piersiach wystawały mu trochę ponad przepisowe trzy cale trzy rogi chusteczki.

W jednej z pulchnych dłoni trzymał moją wizytówkę. Odczytał ją, odwrócił i odczytał drugą stronę, która była nie zapisana, następnie jeszcze raz odczytał stronę właściwą, położył wizytówkę na biurku, a na niej brązowy przycisk do papieru w kształcie małpy, jak gdyby po to, żeby mu na pewno nie zginęła.

Wysunął do mnie różową łapę. Kiedy mu ją zwróciłem, wskazał na krzesło:

- Niech pan siada. Widzę, że robi pan mniej więcej w tym samym. Czym mogę panu służyć?

- Mam mały problem, panie komendancie. Gdyby pan zechciał, mógłby pan go rozwiązać w ciągu minuty.

- Problem - powtórzył miękko. - Mały problem.

Obrócił krzesło, założył grube nogi jedną na drugą i spojrzał w zamyśleniu w stronę jednego z okien. Potem pozwolił mi obejrzeć swoje skarpetki z cieniutkiego fildekosu i angielskie trzewiki, które wyglądały jak marynowane w winie. Wliczając to, czego nie mogłem dojrzeć, i nie licząc zawartości jego portfela, miał na sobie z pół tysiączka. Domyśliłem się, że ma bogatą żonę.

- Problem - powtórzył znów miękko - to rzecz w naszym miasteczku niezbyt znana, panie Marlowe. Małe to nasze miasto, ale bardzo, bardzo czyste. Spoglądam przez swoje okna wychodzące na zachód i widzę Ocean Spokojny. Czy jest coś bardziej czystego?

Nie wspomniał dwóch statków urządzonych jak kasyna gry i zakotwiczonych na miedzianych falach tuż poza strefą trzymilową. I ja je przemilczałem.

- Racja, szefie - przytaknąłem.

Wysunął pierś jeszcze parę cali naprzód.

- Spoglądam przez swoje okna wychodzące na północ i widzę ruchliwy bulwar Arguella oraz piękne zbocza gór Kalifornii, a bliżej, na pierwszym planie, jedną z najpiękniejszych dzielnic handlowych, jaką by sobie człowiek mógł wymarzyć. Spoglądam przez okna wychodzące na południe, tak jak w tej chwili, i przed oczyma mam najwspanialszy port jachtowy na świecie, jak na jego niewielką przestrzeń. Nie mam okien od wschodu, ale gdybym miał, wychodziłyby na najpiękniejszą dzielnicę rezydencji, na widok której ślinka by panu pociekła z ust. Tak, panie, problem to rzadki towar w naszym miasteczku.

- Ten zatem, z którym przychodzę, szefie, chyba przynoszę z sobą. Przynajmniej częściowo. Czy zatrudnia pan człowieka nazwiskiem Galbraith, sierżanta służby cywilnej?

- Ależ tak, chyba tak - odpowiedział zataczając spojrzeniem koło z powrotem do mnie. - Co pan chce od niego?

- Czy zatrudnia pan też takiego a takiego? I opisałem tego drugiego, tego, który niewiele mówił, był niski, nosił wąsy i który poczęstował mnie pończochą.

- Bardzo możliwe, że pełni służbę razem z Galbraithem. Słyszałem, jak go nazywano panem Blane, ale to brzmiało nieprawdziwie.

- Ależ nie - powiedział gruby komendant sztywno, o ile potrafią mówić sztywno grubasy. - To mój komendant wydziału śledczego. Kapitan Blane.

- Czy mógłby ich pan obydwu wezwać do swojego gabinetu?

Podniósł moją wizytówkę i przeczytał ją jeszcze raz. Odłożył ją. Machnął tłustą, błyszczącą ręką.

- Chyba wtedy, gdyby mi pan podał ważniejszy powód niż dotychczas - powiedział uprzejmie.

- Obawiam się, że nie mogę, szefie. Słyszał pan przypadkiem o gościu nazwiskiem Jules Amthor? Podaje się za lekarza psychiatrę. Mieszka na szczycie wzgórza w Stillwood Heights.

- Nie. I Stillwood Heights to nie mój teren.

Oczy jego stały się teraz oczami człowieka, który myśli o czym innym.

- Właśnie to jest dziwne - powiedziałem. - Widzi pan, udałem się z wizytą do pana Amthora w sprawie jednego z moich klientów. Pan Amthor ubrdał sobie, że jego szantażuję. Przypuszczam, że ludzie w jego zawodzie dosyć łatwo nabierają takich podejrzeń. Miał Indianina, osiłka, któremu nie mogłem dać rady. Ten Indianin mnie przytrzymał, a Amthor zbił mnie moim własnym pistoletem. Potem wezwał paru policjantów. Przypadkiem byli to właśnie Galbraith i pan Blane. Czy w ogóle interesuje to pana?

Komendant Wax leciutko zatrzepotał dłońmi po biurku. Zmrużył powieki prawie zupełnie, ale nie do końca. Oczka lśniły mu wciąż tak samo zimno między grubymi powiekami i lśniły prosto w moją stronę. Znieruchomiał, jakby nasłuchiwał. Potem otworzył oczy i uśmiechnął się.

- I co się dalej wydarzyło? - zapytał grzecznie jak wykidajło z Klubu Bociana.

- Przejechali się po mnie, zabrali mnie swoim wozem, wysadzili na zboczu góry i kiedy wysiadłem, uspili mnie na pończochę.

Skinął głową, jak gdybym opowiadał o wydarzeniu najzwyczajniejszym w świecie.

- I to się stało w Stillwood Heights? - powiedział miękko.

- Owszem.

- Wie pan, co ja o panu myślę?

Pochylił się trochę nad biurkiem, ale nie za nisko ze względu na brzuch.

- Że kłamię.

- Drzwi są o, tam - dodał wskazując mi drzwi małym palcem lewej ręki.

Nie drgnąłem. I nie spuszczałem z niego oczu. Kiedy był już tak wściekły, że miał nacisnąć dzwonek, powiedziałem:

- Nie popełniamy obaj tego samego błędu. Pan myśli, że ja jestem biednym prywatnym detektywem i biorę się do rzeczy dziesięć razy przerastających moje możliwości, kiedy chcę wnieść skargę przeciw funkcjonariuszowi policji, który, nawet gdyby to była prawda, już dobrze zadba oto, żeby mu nic nie można było dowieść. Ale nic podobnego. Nie składam żadnych zażaleń. Jestem przekonany, że pomyłka była niezawiniona. Chcę się porachować z tym Amthorem i do tego jest mi potrzebny pański Galbraith. I nie przychodzę tu z ulicy. Mam za sobą poważne osobistości.

- Jak daleko za sobą? - zapytał szef cmokając dowcipnie.

- Jak stąd do Aster Drive osiemset sześćdziesiąt dwa, rezydencji pana Merwina Lockridge'a Grayle'a.

Twarz mu się zmieniła tak zupełnie, jakby kto inny zasiadł w jego krześle.

- Tak się składa - wyjaśniłem - że to pani Grayle jest moją klientką.

- Niech pan zamknie drzwi - powiedział. - Pan jest młodszy ode mnie. Niech pan zasunie obydwie zasuwę. Zaczniemy jak przyjaciele. Panu uczciwie patrzy z oczu, Marlowe.

Wstałem i zamknąłem drzwi. Kiedy wracałem w stronę biurka przez niebieski dywan, szef miał już przed sobą interesującą butelkę i dwa kieliszki. Wysypał na bibułę garść ziarenek kardamonu i nalał do kieliszków.

Wypiliśmy. Rozłupał parę ziarenek i żuliśmy je w milczeniu, patrząc sobie w oczy.

- Niczego sobie. - Napełnił kieliszki po raz drugi. Teraz ja z kolei nałapałem ziarenek. Zgarnął łuski z bibuły na podłogę, uśmiechnął się i usiadł wygodniej.

- Przejdźmy do rzeczy - zaczął. - Czy to, co pan robi dla pani Grayle, łączy się jakoś z Amthorem?

- W pewien sposób tak. Ale lepiej będzie, jak pan sprawdzi, czy mówię prawdę.

- Otóż to - przyznał i sięgnął po telefon. Z kieszonki kamizelki wydobyl notesik i odszukał numer. - Ludzie, którzy wspierali wybory - dodał mrugając porozumiewawczo. - Burmistrz nalega na to, żeby nie zaniedbać żadnych grzeczności. Aha, tu ich mam.

Schował notes i nakręcił numer.

Miał te same trudności z kamerdynerem, co ja. Aż uszy mu poczerwieniały. Wreszcie uzyskał z nią połączenie. Uszy mu nie zbladły ani o cień. Musiała go załatwić dosyć ostro.

- Chce mówić z panem - powiedział i pchnął telefon przez biurko.

- Tu Fil! - powiedziałem mrugając psotnie do szefa.

Usłyszałem chłodny, prowokujący śmiech.

- Co ty tam robisz z tą grubą świnią?

- Popłynęło trochę alkoholu.

- Czy musisz to robić z nim?

- W tej chwili tak. W interesach. Czy zaszło coś nowego? Chyba wiesz, o czym mówię?

- Nie. Czy zdajesz sobie sprawę, że przedwczoraj kazałeś mi na siebie czekać całą godzinę? Może zrobiłam na tobie wrażenie dziewczyny, która pozwala, żeby się z nią tak obchodzono?

- Miałem kłopoty. Może dziś wieczorem? - Zaraz... niech pomyślę... dziś jest... jakież to dzień dzisiaj, do licha?

- Lepiej, jak do ciebie zadzwonię - powiedziałem. - Mogę nie móc. Dziś jest piątek.

- Łgarz. - Znów usłyszałem gardłowy śmiech. - Dziś jest poniedziałek. O tej samej porze, tam gdzie wtedy... i teraz bez głupstw!

- Lepiej, jak do ciebie zadzwonię.

- Lepiej, jak będziesz na miejscu.

- Nie mogę wiedzieć na pewno. Zadzwonię.

- Każesz się prosić? Aha! Może jestem głupia, że sobie zawracam głowę.

- Prawdę mówiąc, tak.

- Co?

- Jestem biednym człowiekiem, ale sam za siebie w życiu płacę. I to życie wcale nie jest takie miękkie, jak byś chciała.

- Niech cię diabli, jeżeli nie będziesz na miejscu...

- Powiedziałem, że zadzwonię.

Westchnęła.

- Wszyscy mężczyźni są tacy sami.

- I kobiety... po pierwszych dziewięciu.

Zakłęta i położyła słuchawkę. Szefowi oczy wylazły z głowy, jakby je miał wysuwane na czułkach.

Drżącą ręką nalał do obydwu kieliszków i pchnął jeden ku mnie.

- Więc to tak - powiedział, głęboko zamyślony.

- Jej męża to nic nie obchodzi - wyjaśniłem - więc niech pan tego nie notuje.

Zrobił obrażoną minę i wypił zawartość swojego kieliszka. Rozłupywał ziarnka kardamonu bardzo powoli, z głębokim namysłem. Wypiliśmy jeden do drugiego. Potem szef z żalem schował butelkę i kieliszki i nacisnął guziczek.

- Wezwijcie na górę Galbraitha, jeżeli jest w budynku. Jeżeli go nie ma, odszukajcie mi go.

Wstałem, odsunąłem zasuwę w drzwiach i usiadłem z powrotem. Nie czekaliśmy długo. Ktoś zapukał w boczne drzwi, szef zawołał: - Proszę wejść! - i do pokoju wszedł Hemingway.

Ciężko podszedł do biurka, zatrzymał się i spojrzał na szefa z należnym wyrazem uznania i krzepy.

- To jest pan Filip Marlowe - powiedział pogodnie szef. - Detektyw prywatny z Los Angeles.

Hemingway obrócił się, żeby spojrzeć na mnie. Nawet jeżeli mnie kiedykolwiek oglądał, nic w jego twarzy tego nie zdradzało. Wyciągnął rękę i ja wyciągnąłem rękę, a potem znów spojrzał na szefa.

- Pan Marlowe opowiada mi dosyć dziwną historię - powiedział szef dyplomatycznie, jak Richelieu zza arrasu. - O jakimś facecie nazwiskiem Amthor, który ma dom w Stillwood Hights. Jeden z tych wróżbitów. Zdaje się, że Marlowe był u niego, a w tym samym czasie znaleźliście się tam wy z Blane'em i doszło do jakiejś wymiany zdań. Nie pamiętam szczegółów.

Wyjrzał przez okno z miną człowieka nie pamiętającego szczegółów.

- To jakaś pomyłka - powiedział Hemingway. - Nigdy tego człowieka nie widziałem.

- Rzeczywiście zaszła pewna pomyłka - powiedział szef rozmarzonym głosem. - Dosyć drobna, ale zawsze pomyłka. Pan Marlowe przywiązuje do niej pewne znaczenie.

Hemingway znowu na mnie spojrzał. Jego twarz wyglądała jak kamienna.

- Prawdę mówiąc on się nawet nie interesuje tą pomyłką - marzył dalej szef. - Interesuje się tym, żeby odwiedzić tego faceta ze Stillwood Heights. Chciałby, żeby ktoś z nim pojechał. Pomyślałem o was. Chciałby do towarzystwa kogoś, kto by dopilnował, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Zdaje się, że pan Amthor ma w ochronie wielkiego osiłka Indianina, i pan Marlowe skłonny jest nie dowierzać, że

będzie w stanie dać sobie radę bez pomocy. Jak sądzicie, czy możecie znaleźć dom tego Amthora?

- Owszem - zapewnił Hemingway. - Ale Stillwood Heights to nie nasz rejon, szefie. Czy to jakaś grzecznościowa przysługa dla kogoś z pańskich przyjaciół?

- Możecie to ująć w ten sposób - odparł szef spoglądając na kciuk swojej lewej ręki. - Oczywiście, nie życzymy sobie nic, co nie byłoby ściśle zgodne z prawem.

- Taak - powiedział Hemingway. - Oczywiście nie. - Zakasłał. - Kiedy tam jedziemy?

Szef łaskawie spojrział na mnie.

- Może być zaraz - zaproponowałem. - Jeżeli pan Galbraith nic nie ma przeciwko temu.

- Ja robię, co mi każą - oświadczył Hemingway.

Szef obejrzał go sobie bardzo dokładnie. Przeczesał go i obmacał swoimi oczami.

- Jak się miewa dzisiaj kapitan Blane? - zapytał żując ziarnko kardamonu.

- Źle. Pęknięcie wyrostka - powiedział Hemingway. - Dostyc niebezpieczne.

Szef z przejęciem pokręcił głową. Uchwycił się poręczy krzesła i z wysiłkiem wstał. Wysunął różową łapę nad biurkiem.

- Galbraith zajmie się panem. Jak należy, Marlowe. Może pan być pewny.

- No, rzeczywiście zasłużył pan na moją wdzięczność, szefie - powiedziałem. - Doprawdy, nie wiem, jak mam panu dziękować.

- Pfi! Nie musi pan dziękować. Zawsze chętnie coś zrobię dla przyjaciół moich przyjaciół, że tak powiem.

Mrugnął do mnie. Hemingway przyjrzał się mrugnięciu, ale nie mówił, do jakiego doszedł wniosku.

Wyszliśmy, prawie wynoszeni na ugrzeczionych pomrukach szefa. Drzwi się zamknęły. Hemingway rozejrzał się po korytarzu i spojrział na mnie.

- Ten numer sprytnie ci wyszedł, dziecinko - powiedział. - Musieli nam nie wszystko o tobie powiedzieć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Samochód jechał powoli cichą ulicą dzielnicy mieszkalnej. Drzewa pieprzowe łukiem wyciągały nad nami gałęzie, tak że niemal się spotykały, tworząc zielony tunel. Przez gałęzie i wąskie, lekkie liście migotało słońce. Tabliczka na rogu oznaczała Ulicę Osiemną.

Hemingway prowadził wóz, a ja siedziałem, przy nim. Jechał bardzo powoli i twarz miał pochmurną.

- Ile mu powiedziałaś? - zapytał, decydując się.

- Powiedziałem mu, że pan i Blane przyjechaliście tam po mnie, wyrzuciliście mnie z wozu i uśpili na kichę. Nie mówiłem, co było dalej.

- Nie mówił pan o domu na rogu Dwudziestej Trzeciej i Descanso?

- Nie. Dlaczego?

- Z myślą o tym, że może prędzej zechce mi pan pomóc, jak o tym nie wspomnę.

- Dobra myśl. Czy rzeczywiście chce pan jechać na Stillwood Heights, czy to była tylko wymówka?

- Tylko wymówka. Wie pan, czego naprawdę chcę? Żeby mi pan powiedział, dlaczego wsadziliście mnie do tych czubków i dlaczego mnie tam trzymali.

Hemingway zastanowił się. Zastanowił się tak głęboko, że pod szarawą skórą na policzkach wystąpiły mu węzłami muskuły.

- To ten Blane - powiedział. - To ten obrzynek golonki. Ogluszył pana bez mojej wiedzy. I wcale nie miałem zamiaru kazać panu na piechotę wracać do domu, mówiąc prawdę. To było tylko na ulicy, jako że trzymamy sztamę z tym szarlatanem i na swój sposób bronimy go przed ludźmi, co mu wchodzi w paradę. Zdziwiłby się pan, jaka kupa ludzi wchodzi mu w paradę.

- Zdumiewające - powiedziałem.

Odwrócił głowę. Jego szare oczy wyglądały jak bryłki lodu. Znowu spojrzął przed siebie przez zakurzoną szybę i znowu się zamyślił.

- Tych starych gliniarzy od czasu do czasu aż ręka swędzi, żeby komu przyłożyć - ciągnął dalej. - Po prostu na mózg im się rzuca.. Cholera, ale się przestraszyłem. Chłapał pan jak worek cementu. Nagadałem temu Blane'owi. Potem zawieźliśmy pana do tego Sonderborga, jako że to było trochę bliżej, a to grzeczny gość i mógł się panem zająć.

- Czy Amthor wiedział, że mnie tam zawieziecie?

- Cholera, nie. To był nasz pomysł.

- Jako że ten Sonderborg taki grzeczny i może się mną zająć. No i tyły zabezpieczone. Wykluczone, żeby jakiś lekarz poparł moją skargę, gdybym ją złożył. Nie mówię, żeby jakaś skarga miała wielkie szanse w tym rozkosznym miasteczku, gdybym ją złożył.

- Chce się pan zawziąć? - zapytał marzycielsko Hemingway.

- Nie ja - odpowiedziałem. - I ten jeden jedyny raz nie pan także. Bo pańska praca wisi na włosku. Wyczytał to pan w oczętach szefa. Nie przyszedłem do niego bez listów uwierzytelniających, nie tym razem.

- OK - powiedział Hemingway i splunął przez okno. - Przede wszystkim nie myślałem wcale o zawzinaniu się, takie tylko zawodowe gadanie na wyrost. Co jeszcze?

- Czy Blane rzeczywiście jest chory?

Hemingway skinął głową, ale jakoś nie posmutniał.

- Chory naprawdę. Ból brzucha przedwczoraj i wyrostek mu pękł, zanim go zdążyli wyciąć. Ma szansę... ale nie za wielką.

- To będzie dla nas rzeczywiście okropna strata - powiedziałem. - Taki facet jak on to ozdoba policji.

Hemingway przeżuł to i wypluł przez okno.

- OK. Pytaj pan dalej - westchnął.

- Powiedział mi pan, dlaczego zabraliście mnie do tego Sonderborga. Ale nie powiedział mi pan, dlaczego on mnie tam trzymał ponad czterdzieści osiem godzin, za kratkami i naszpikowanego morfiną.

Hemingway łagodnie zahamował przy krawężniku. Oparł swoje potężne dłonie o dolną część kierownicy, jedną przy drugiej, i potarł kciuki.

- Pojęcia nie mam - powiedział zamyślonym głosem.

- Miałem przy sobie papiery, dyplom prywatnego detektywa - kontynuowałem. - Klucze, trochę pieniędzy, parę zdjęć. Gdyby was dobrze nie znał, mógłby myśleć, że moja rozłupana głowa to tylko pretekst, żeby się dostać do niego, i rozejrzeć. Ale zdaje mi się, że jak na to, to on za dobrze was zna. Więc już nic nie wiem.

- Lepiej nic nie wiedzieć, kolego. Dużo bezpieczniej.

- To prawda - przyznałem. - Ale to nie daje zadowolenia.
- Czy ma pan w tej sprawie poparcie policji Los Angeles?
- W jakiej sprawie?
- W sprawie domysłów o tym Sonderborgu?
- Ściśle mówiąc, nie.
- To nie znaczy ani tak, ani nie.
- Nie jestem aż taki ważny - powiedziałem. - Policja z Los Angeles może się wmieszać, kiedy tylko zechce... przynajmniej większa jej część. Chłopaki szeryfa i chłopaki z wydziału zabójstw. W tym wydziale mam znajomych. Kiedyś tam pracowałem. Facet nazywa się Bernie Ohls. Szef śledczy.
- Dopuszczył go pan do tego?
- Nie. Od miesiąca z nim nie gadałem.
- Ma pan zamiar go dopuścić?
- Nie, jeżeli to przeszkodzi tej sprawie, jaką się teraz zajmuję.
- Prywatnej?
- Tak.
- OK, czego pan chce?
- W czym robi naprawdę ten Sonderborg?

Hemingway zdjął ręce z kierownicy i splunął za okno.

- Miła to ulica, co? Miłe domki, ogródki, przyjemny klimat. Chyba pan wciąż słyszy o skorumpowanych policjantach?
- Od czasu do czasu.- odpowiedziałem.
- OK. Ilu pan znajdzie policjantów mieszkających na ulicy chociaż takiej dobrej jak ta, z trawniczkami i kwiatami? Ja bym znalazł czterech czy pięciu, wszystkich takich, co kiedyś jeździli na patrole. Oni zbierają cały miód. Tacy jak ja mieszkają w byle jakich baraczkach nie w tej, co należy, dzielnicy. Chce pan zobaczyć, gdzie mieszkam?
- Na co się to zda?

- Posłuchaj, kolego - powiedział poważnie. - Masz mnie w garści, ale to nie takie pewne. Policjantów nie psują pieniądze. Nie zawsze, a nawet nieczęsto. Policjantów wciąga system. Jesteś gotów, jeżeli cię zmuszą do robienia tego co każą, albo... I facet, co siedzi sobie z boczku w pięknym narożnym gabinecie i w pięknym ubranku, fetuje sobie kardamon, żeby, jak mu się zdaje, zapachem fiołków zabić zapach eleganckiego alkoholu, choć to na nic... i ten facet nie jest od wydawania rozkazów. Kapujesz?

- Co to za człowiek ten burmistrz?

- A kim w ogóle bywa burmistrz? Politykiem. Myślisz, że to on wydaje rozkazy! Bzdura. Czy wiesz, dziecińko, na co choruje ten kraj?

- Słyszałem, że na zbyt wielkie ilości zamrożonego kapitału.

- Facet, choćby chciał, nie może być uczciwy - powiedział Hemingway. - Oto choroba tego kraju. Niech tylko będzie uczciwy, ocyganiaągo z własnych jego portek. Albo szachrujesz, albo nie jesz. Nie brak gówniarzy, co sobie myślą, że trzeba nam tylko z dziewięćdziesiąt tysięcy agentów FBI w czyściutkich kołnierzykach i z teczkami. Bzdura. Chęć zysku przekabaci ich akurat tak samo jak i resztę. Wiesz, co ci powiem? Zdaje mi się, że musimy ten świat przerobić od samego początku. Pomyśl o Przebrojeniu Moralnym. Coś w tym jest. Przebrojenie Moralne. Tak, dziecińko, coś w tym jest.

- Jeżeli Bay City ma być przykładem, jak to przebrojenie działa, pomyśl raczej o aspirynie - powiedziałem.

- Można przechytryć - mówił miękko Hemingway. - Może się to zdarzyć, choćby ci się zdawało, że jest inaczej. Możesz się tak wycwanić, że już o niczym nie będziesz myślał, tylko o tym, żeby być cwany. Jeśli idzie o mnie, jestem tylko głupim gliną. Wykonuję rozkazy. Mam żonę i dwoje dzieciaków, i robię, co mi każą ci z góry. Blane mógłby ci różności opowiedzieć. Jeśli idzie o mnie, ja nic nie wiem.

- Czy naprawdę ten Blane ma wyrostek? Czy sobie czasem sam przez złośliwość nie strzelił w brzuch?

- Daj temu pokój - powiedział z niezadowoleniem Hemingway i trzepnął dłońmi po kierownicy. - Spróbowałbyś lepiej myśleć o ludziach.

- O Blane'ie?

- To człowiek... tak jak i my - stwierdził Hemingway. - Grzeszny... ale człowiek.

- W czym robi Sonderborg?

- OK. Przecież ci mówiłem. Może się mylę, ale brałem cię za faceta, któremu można odstąpić dobry pomysł.

- Po prostu nie wiesz, w czym on robi - powiedziałem.

Hemingway wyjął chusteczkę i otarł twarz.

- Braciszku - westchnął - przykro mi to mówić, ale powinieneś, u diabła, dobrze wiedzieć, że gdybym ja wiedział albo gdyby Blane wiedział, że Sonderborg w czymś robi, to albo byśmy ciebie tam nie wsadzili, albo ty byś się nigdy stamtąd nie wydostał, w każdym razie nie na własnych nogach. Oczywiście, mówię o jakiejś naprawdę trefnej robocie. Nie byle głupstwach, nie jakimś tam wróżeniu staruszkom z kryształowej kuli.

- Nie zdaje mi się, żeby oni mieli zamiar wypuszczać mnie stamtąd o własnych siłach - powiedziałem - Jest taki lek, nazywa się skopolamina, środek na wydobycie prawdy, który czasem zmusza ludzi bez ich wiedzy do gadania. Nie jest taki na sto procent pewny, tak samo jak hipnoza. Ale czasem działa. Zdaje się, że mnie tam przyciskali, żebym gadał, żeby wiedzieli, co też ja wiem. Ale tylko w trzech wypadkach Sonderborg mógł wiedzieć, że ja mogę wiedzieć coś, co by jemu mogło zaszkodzić. Albo powiedział mu Amthor, albo Myszka Malloy wspomniał mu, że byłem z wizytą u Jessie Florian, albo pomyślał, że wsadzenie mnie do niego to była sztuczka policji.

Hemingway popatrzył na mnie ze smutkiem.

- Nie rozumiem ani słowa - stwierdził. - Kto to jest, u diabła, ten Myszka Malloy?

- To taki osiłek, który parę dni temu zamordował faceta na Central Avenue. Macie go w swoich komunikatach, jeżeli je w ogóle czytujesz. Do tej pory to już pewno cała czytanka.

- I co z tego?

- To z tego, że Sonderborg go ukrywał. Tej nocy, kiedy się wymknąłem, widziałem go tam, leżał w łóżku i czytał gazetę.

- Jak się wydostałeś? Nie byłeś zamknięty?

- Przyłożyłem posługaczowi sprężyną od łóżka. Miałem szczęście.

- A ten osiłek cię widział?

- Nie.

Hemingway oderwał auto od krawężnika i na twarzy zagościł mu na dobre solidny uśmiech.

- Zbierzmy to razem - powiedział. - Zgadza się. Zgadza się jak diabli. Sonderborg ukrywał spalonych facetów. To znaczy, jeżeli mieli forszę. Jego zakład świetnie się do tego nadawał. I ładna z tego jest forsa.

Kopnął starter i jak fryga skręcił za róg.

- Cholera, a ja myślałem, że on sprzedaje narkotyzowane papierosy - wyznał z niesmakiem. - I ma za sobą odpowiednie plecy. Ale to, do licha, nic poważnego. Łupanie kardamonu.

- A słyszałeś kiedy o takich, co robią w sprzedawaniu biletów loteryjnych? To też nic poważnego... jeżeli się to weźmie z osobna.

Hemingway ostro wziął następny narożnik i potrząsnął swoją tępą głową.

- Zgadza się. A kręgle, loteryjki, wyścigi... tak samo. Ale wziąć to wszystko razem i dać jednemu facetowi, interes robi się poważny.

- Jakiemu facetowi?

Znów nabrał wody w usta i siedział, jakby kij połknął. Mocno zacisnął wargi i widać było, jak zgrzyta zębami. Jechaliśmy Ulicą Descanso w kierunku wschodnim. Była to spokojna ulica nawet późnym popołudniem. Kiedyśmy się zbliżyli do Dwudziestej Trzeciej, w nieuchwytny sposób trochę się ożywiła. Dwóch mężczyzn przyglądało się jakiejś palmie, jakby się zabierali do jej przesadzania. W pobliżu domu doktora Sonderborga stał zaparkowany wóz, ale dom wyglądał pusto. W połowie drogi do następnej przecznicy jakiś mężczyzna odczytywał wodomierze. W dzień dom wyglądał wesoło i pogodnie. Herbaciane begonie rosły zwartą i jasną masą pod oknami od frontu, a pod białą, kwitnącą akacją kolorową plamą mieniły się bratki. Na kracie zbitej w kształt wachlarza otwierała pączki szkarłatna pnąca róża. Był tam też klomb pachnącego groszku, w którym delikatnie dziobał brunatno-zielony koliber. Dom wyglądał na gniazdko zamożnych starszych państwa, którzy lubią pracę w ogródku. Padające nań teraz, późno po południu, słońce miało w sobie, jakiejś stłumienie i groźną nieruchomość.

Samochód przesunął się powoli obok domu, prowadzony przez Hemingwaya, któremu sztywny uśmiezek podciągał w górę kąciki ust. Węszył nosem. Skręcił za następny róg, popatrzył w lusterko i nacisnął gaz. Trzy przecznice dalej zahamował znów przy krawężniku, odwrócił się do mnie i twardo spojrzał mi prosto w oczy.

- Policja z Los Angeles - powiedział. - Jeden z tych facetów spod palmy nazywa się Donnelly. Znam go. Obserwują ten dom. Powiadasz, że nic nie mówiłeś temu swojemu koleżce z miasta, co?

- Mówiłem, że nie.

- Szef będzie tym zachwycony - zadrwił. - Zjeżdżają tu, obstawiają melinę i nie wstąpią nawet powiedzieć dzień dobry.

Nic nie odpowiedziałem.

- Złapali tego Myszkę?

Potrząsnąłem głową.

- O ile wiem, nie,

- A ile ty, u licha, wiesz, braciszku? - zapytał bardzo miękko.

- Niewiele. Czy coś łączy Amthora z Sonderborgiem?

- Nic o tym nie wiem.

- Kto tu kręci tym miastem?

Milczenie.

- Słyszałem, że niejaki szuler nazwiskiem Brunette wyłożył trzydzieści tysięcy na wybory burmistrza. Słyszałem, że do niego należy klub "Belvedere" i obydwa statki z kasynami gry.

- Możliwe - odpowiedział grzecznie Hemingway.

- Gdzie można znaleźć tego Brunette?

- Dlaczego mnie o to pytasz, dziecińko?

- Gdzie byś przysnął, jakby cię wykurzyli z kryjówki w tym miasteczku?

- Do Meksyku.

Roześmiałem się.

- OK. Mam do ciebie wielką prośbę.

- Proszę bardzo.

- Odwieź mnie z powrotem do miasta.

Ruszył od krawężnika i gładko pomknął ocienionymi ulicami w stronę oceanu. Samochód dojechał do ratusza i przemknął naokoło na parking policyjny, gdzie wysiadłem.

- Wpadnij kiedy, chciałbym się z tobą zobaczyć - zaproponował Hemingway. - Pewno znajdziesz mnie przy czyszczeniu słuwalczek.

Wyciągnął swoją wielką łapę.

- Żalu nie chowasz?

- Przebrojenie moralne - powiedziałem i uściśnięm mu rękę.

Uśmiechnął się promiennie. Zawołał za mną jeszcze, kiedy już odchodziłem. Rozejrzał się ostrożnie na wszystkie strony i przybliżył usta tuż do mojego ucha.

- Te kasyna gry na statkach są podobno poza zasięgiem prawa miejskiego i stanowego - wtajemniczył mnie. - Rejestracja panamska. Gdybym to ja... - urwał nagle i w jego smutnych oczach pojawiła się troska.

- Kapuję. Coś podobnego przyszło i mnie do głowy. Nie wiem, po co zadałem sobie tyle trudu, żeby i ciebie w to wciągnąć. Ale to na nic... jeden człowiek nic tu nie wskóra.

Skinął głową i uśmiechnął się.

- Przebrojenie moralne - powtórzył.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Leżałem na wznak na łóżku nadmorskiego hotelu i czekałem, aż się ściemni. Miałem mały pokój od frontu, z twardym łóżkiem i materacem niewiele grubszym od nakrywającego go bawełnianego koca. Któraś ze sprężyn pode mną była zerwana i uwierała mnie w lewy bok. Leżałem i znosiłem to.

Na suficie jarzył się odblask czerwonego neonu. Kiedy zaczerwieni się od niego cały pokój, będzie już dosyć ciemno, żeby wyjść. Na dworze, na bocznej uliczce, którą nazwano Przesmyk Szybkości, słychać było klaksony. Pod moim oknem człapały po chodniku stopy przechodniów. Słychać było odgłosy nieustannej krzątania. Powietrze sączące się przez pordzewiałe żaluzje załatywało starą fryturą. Z daleka głos, z rodzaju tych, które niosą się na mile, nawoływał:

- Gorące parówki, ludzie! Smaczne parówki!

Ściemniało się. Pograżony byłem w myślach, które snuły mi się po głowie jakoś ślamazarnie i ukradkowo, jakby pod czyimś ostrym i sadystycznym spojrzeniem.

Myślałem o martwych oczach spoglądających w bezksiężycowe niebo i o ustach z czarną krwią zakrzeplą w kątach warg. Myślałem o starych paskudnych heterach zatłuczonych na śmierć o oparcie łóżka zarzuconego brudną pościelą. Myślałem o mężczyźnie o lśniących jasnych włosach, który bał się i niezupełnie wiedział, czego się boi, który był na tyle wrażliwy, żeby wiedzieć, że coś jest nie w porządku, ale za próżny czy też za tępy, żeby wiedzieć, co jest nie w porządku. Myślałem o pięknych i bogatych, gotowych na każde skinienie kobietach. Myślałem o miłych, szczupłych, ciekawych dziewczynach, które mieszkały samotnie i również były gotowe na każde skinienie, choć inaczej. Myślałem o policjantach, brutalnych drabach, którzy mimo smarowania nie są wcale zepsuci do szpiku kości, o takich jak Hemingway. I o tłustych policjantach u szczytu powodzenia o głosach jak z Izby Handlowej, o takich jak szef Wax. O szczupłych, sprytnych i zajadłych glinach, takich jak Randall, którzy mimo całego swojego sprytu i zajadłości nie mogli zrobić żadnej czystej roboty w czysty sposób. Myślałem o zgorzkniałych starych kozłach, takich jak Nulty, który już nawet się nie stara. Myślałem o Indianach, o czubkach i doktorach stosujących narkotyki.

Myślałem o mnóstwie rzeczy. Ściemniało się. Odblask czerwonego neonu coraz szerzej i szerzej zalewał sufit. Usiadłem na łóżku, spuściłem nogi na podłogę i roztarłem sobie kark.

Wstałem, podszedłem do umywalki i spryskałem sobie twarz zimną wodą. Po chwili poczułem się odrobinę lepiej, ale tylko odrobinę. Poczułem, że brak mi alkoholu, dużego ubezpieczenia na życie, wakacji, domu na wsi. A miałem marynarkę, kapelusz i pistolet. Włożyłem je na siebie i wyszedłem z pokoju.

Windy nie było. W korytarzach śmierdziało, a poręcze schodów lepiły się od brudu. Zeszedłem na dół, rzuciłem klucz na kontuar recepcji i oznajmiłem, że się wyprowadzam. Recepcjonista z przyszczeniem na lewej powiece skinął głową, a spoza najbardziej zakurzonego drzewka gumowego w całej Kalifornii wyłonił się boy w wystrzępionej uniformowej kurtce, żeby odnieść mi bagaże. Nie miałem bagaży, ale, ponieważ był Meksykaninem, i tak z uśmiechem otworzył przede mną drzwi.

Na zewnątrz wąska uliczka dymiła, chodniki roiły się od grubasów. Po drugiej stronie ryczała na pełny regulator muzyka z salonu loteryjki mechanicznej, a z zakładu fotograficznego obok wychodziło paru marynarzy z dziewczynkami. Pewno pozowali tam do fotografii na wielbłądach. Głos sprzedawcy parówek rozcinał powietrze jak ostrze siekiery. Uliczką przejechał z hukiem wielki niebieski autobus w drodze na małe rondo, gdzie zawracał tramwaj. Udałem się w tamtą stronę.

Niedługo poczułem lekki powiew od oceanu. Leciuteńki jak gdyby zachowany tylko po to, żeby ludzie nie zapomnieli, że kiedyś była tu czysta, otwarta plaża, zalewana falami i pianą i owiewana wiatrem, w którym się czuło inne rzeczy poza przyskającą na ogniu fryturą i zimnym potem.

Szerokim asfaltowym chodnikiem z turkotem nadjechał mały tramwaik. Wsiadłem, pojechałem do końca, wysiadłem i ulokowałem się na ławce, w spokoju i chłodzie, z wielkim zwałem morskich ryb. Daleko na morzu zapalono światła na statkach-kasynach gry. Kiedy tramwaj nadjechał znowu, wróciłem nim prawie na to samo miejsce, z którego wyruszyłem po wyjściu z hotelu. Jeżeli ktoś mnie śledził, nie musiał się bardzo fatygować. Ale nie sądzę, żeby mnie kto śledził. W tym grzecznym miasteczku nie zdarzyło się tyle zbrodni, żeby detektywi nauczyli się poruszać jak cienie.

Czarne mola lśniły na całej swojej długości, a dalej znikwały w ciemnym tle nocy i wody. Wciąż czuć było gorącą fryturę, ale czuło się też i ocean. Sprzedawca parówek zawodził swoje:

- Gorące parówki, ludziska! Smaczne parówki!

Wypatrzyłem go w białym kiosku z rusztem. Stał i długim widelcem szturchał swoje parówki. Nawet o tak wczesnej porze miał dobry utarg. Sporą chwilę musiałem poczekać, aż będzie sam.

- Jak się nazywa ten najdalszy? - zapytałem wskazując nosem na morze.

- Montecito.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Czy facet z umiarkowaną forszą może się na nim zabawić?

- Jak zabawić?

Roześmiałem się drwiąco, udając zucha.

- Gorące paróweczki! - zaśpiewał. - Smaczne paróweczki, ludziska! - Zniżył głos: - Kobiety?

- Et. Myślałem o pokoiku z morską bryzą i dobrym jedzeniem, takim miejscu, gdzie by mi nikt nie zwracał głowy. Niby takie wakacje.

Odsunął się.

- Nie słyszę, co mówisz - powiedział i wrócił do swojego zawodzenia.

Obsłużył jeszcze paru klientów. Nie wiem, dlaczego zwracałem sobie nim głowę. Już taką miał twarz. Podeszła jakaś młoda para w szortach, kupili parówki i spacerowym krokiem oddalili się. Chłopiec obejmował dziewczynę na wysokości stanika i jedno gryzło parówkę drugiego.

Sprzedawca przysunął się trochę do mnie i obejrzał mnie od stóp do głowy.

- Teraz powinienem zagwizdać "Róże Pikardii" - powiedział i umilkł. - Trzeba będzie za to zapłacić - dodał.

- Ile?

- Pięćdziesiąt. Nie mniej. Chyba że jesteś im na coś potrzebny.

- To było kiedyś uczciwe miasto - powiedziałem. - Spokojne miasto.

- Zdawało mi się, że wciąż takie jest - zaciągnął. - Ale dlaczego mnie pytasz?

- Pojęcia nie mam - odparłem. Rzuciłem mu na kontuar banknot dolarowy. - Schowaj to do banczku - powiedziałem - albo zagwizdź "Róże Pikardii".

Schwycił banknot, złożył go wzdłuż, potem w poprzek, a potem jeszcze raz. Położył go na kontuarze i złożony palce prztyknął. Złożony banknot uderzył mnie lekko w pierś i bezszelestnie upadł na ziemię. Nachyliłem się, podniosłem go i szybko się odwróciłem. Ale za mną nie było nikogo, kto by wyglądał na szpicla.

Oparłem się o kontuar i położyłem na nim banknot z powrotem.

- Nie rzuca mi się pieniędzy - powiedziałem. - Tylko podaje. Masz coś przeciwko temu?

Wziął banknot, rozwinął, rozprostował i otarł fartuchem. Nacisnął mechaniczną kasę i wrzucił banknot do szufladki.

- Podobno pieniądze nie śmierdzą. Dziwię się czasami.

Nic nie odpowiedziałem. Załatwił jeszcze paru klientów, którzy zaraz odeszli. Noc szybko robiła się chłodna.

- Nie próbowałbym się dostać na Royal Crown - poradził sprzedawca. - To dla sprytnych lisków, co nie tracą głowy. Ty mi wyglądasz na szpicla, ale to już twoja rzecz. Mam nadzieję, że dobrze pływasz.

Odszedłem, zastanawiając się, dlaczego w ogóle do niego podchodziłem. Głos wewnętrzny. Słuchaj go, a dostaniesz po nosie. Niedługo człowiek budzi się cały pełen wewnętrznych głosów. Nie może inaczej zamówić kawy, tylko zamyka oczy i na ślepo szuka palcem w menu. Głos wewnętrzny.

Zrobiłem rundę, chcąc sprawdzić, czy nikt się za mną nie posuwa w jakiś szczególny sposób. Potem wyszukałem restaurację, w której nie śmierdziało fryturą, z czerwonym neonem i barem cocktailowym za trzciniową zasłoną. Jakaś cizia rodzaju

męskiego, z uhennowaną fryzurą, wiedła przy małym fortepianie, lubieżnie łaskocząc klawisze i śpiewając "Schody do gwiazd" głosem, który opuszczał połowę tonów.

Wlałem w siebie wytrawnego martini i pospieszyłem za trzciniową zasłonę do sali jadalnej.

Obiad za osiemdziesiąt pięć centów smakował jak zniszczona torba listonosza. Podał mi go kelner o wyglądzie zbira, który by mnie trzasnął za dwadzieścia pięć centów, za sześćdziesiąt podciąłby mi gardło, za półtora dolara plus narzut handlowy pogrzebał na morzu w beczce cementu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Jak za ćwierć dolara, była to miła przejażdżka. Taksówka wodna, stara, odmalowana i oszklona w trzech czwartych długości łódź, prześliznęła się między zakotwiczonymi jachtami i wyminęła szeroką piramidę usypaną z kamienia na cyplu falochronu. Fala uderzyła w nas znienacka i zakolysała łódkę jak korkiem. Ale tak wczesnym wieczorem człowiek miał mnóstwo miejsca na wypadek morskiej choroby. Płynęły ze mną tylko jakieś trzy pary i mężczyzna przy silniku, krzepko wyglądający obywatel, który siedział na lewym pośladku, przechylony trochę ze względu na czarną kaburę wetkniętą do prawej kieszeni na biodrze. Jak tylko odbiliśmy od brzegu, te trzy pary przyssały się do siebie na dobre.

Patrzyłem w tył, na światła Bay City, i starałem się utrzymać w żołądku zjedzony obiad. Rozrzucone punkciki światła zbiegły się razem i ułożyły w wysadzaną klejnotami bransoletę wyłożoną na wystawie nocy. Potem jasność się przyćmiła i światła ukazywały się już tylko i ginęły jako pomarańczowa łuna nad ruchomą falą. Fala była długa, gładka i równa, bez białych czap i kołysało akurat tyle, że się cieszyłem, że nie podlałem swojego obiadu whisky w barze. Taksówka ślizgała się teraz na fali w górę i w dół ze złowrogą miękkością jak tańcząca kobra. W powietrzu było zimno; takiego zimna i wilgoci marynarze nigdy nie pozbywają się z kości. Czerwone promienie neonu otaczającego Royal Crown rozplynęły się gdzieś na lewo i zbladły w śliskich szarych cieniach morza, a potem rozbłysły na nowo, jasno jak nowe szklane kulki.

Ominęliśmy ten statek szerokim łukiem. Pięknie wyglądał z daleka. Po wodzie dobiegały do nas zwiewne tony muzyki, a muzyka nad wodą zawsze brzmi pięknie. Zdawało się, że Royal Crown siedzi na swoich czterech kotwicach mocno jak molo. Pomost dla podpływających łodzi oświetlony był jak podjazd teatru. Potem wszystko to zbladło w oddali i z nocy zaczął się ku nam przemykać drugi statek, starszy i mniejszy. Ten nie był wart oglądania. Był to przebudowany dalekomorski frachtowiec o obrośniętych i zardzewiałych blachach kadłuba, z nadbudową ściętą na wysokości burt, nad którymi dwa kikuty masztów sterczały na tyle tylko, żeby służyć jako anteny radiowe. Montecito też był oświetlony i muzyka unosiła się nad ciemnym morzem.

Pary jadące ze mną oderwały przyssawki od twarzy, spojrzały na statek i rozchichotały się.

Taksówka zatoczyła szerokie koło, przechyliła się na tyle, żeby dostarczyć dreszczyku pasażerom, i podpłynęła pod pachołki przy pomocy. Silnik zwolnił obroty i odpalił w mgłę. Leniwy promień reflektora omiół koło w odległości mniej więcej pięćdziesięciu jardów od statku.

Taksiarz przycumował do pomostu i czarnooki chłopak w szafirowej marynarskiej kurtce z błyszczącymi guzikami, z wesołym uśmiechem i gębą gangstera wyciągnął dziewczętą z łodzi. Ja byłem ostatni. Niedbałe, ale skrupulatne spojrzenie, jakim mnie obrzucił, powiedziało mi o nim coś niecoś. Niedbałe, ale dobrze wymierzone pchnięcie w sprzączkę na moim ramieniu powiedziało mi więcej.

- Nic z tego - stwierdził po cichu. - Nic z tego.

Miał miękki niski głos starego pirata silącego się na słodycz. Kiwnął brodą w stronę taksiarza. Ten zarzucił krótką pętlę na pachołek, obrócił odrobinę koło sterowe i wdrapał się na pomost. Stał za mną.

- Nie ma na statku miejsca dla gacków, chłopczyku. Przykro nam i tak dalej - wymruczał przymilnie marynarz.

- Mogę wam pokazać. To tylko moje ubranie. Chcę się zobaczyć z Brunette'em w interesie.

Okazał łagodne zdumienie.

- Pierwszy raz o nim słyszę - uśmiechnął się. - No, ruszaj.

Taksówkarz uchwycił mnie hakiem przez prawe ramię.

- Chcę się widzieć z Brunette'em - powtórzyłem.

Mój głos zabrzmiał słabo i krucho jak pisk starszej pani.

- Nie dyskutujmy - powiedział czarnooki. - Nie jesteśmy w tej chwili ani w Bay City, ani nawet w Kalifornii, a według pewnych wiarygodnych opinii nawet nie w Stanach Zjednoczonych. Znikaj.

- Nazad do łodzi - warknął za mną taksiarz. - Winien ci jestem ćwierć dolara. Odbijamy.

Wsiadłem z powrotem do łodzi. Marynarz popatrzył na mnie z tym swoim milkliwym, ulizanym uśmiechem. Przyglądałem mu się, aż uśmiech, twarz i wszystko znikło i stał

się cały tylko ciemną sylwetką na tle oświetlonego pomostu. Przyglądałem mu się i ręce mnie swędziały.

Droga z powrotem wydawała się dłuższa. Nie mówiłem nic do taksjarza i on nie mówił nic do mnie. Kiedy wysiadłem na molo, podał mi z powrotem ćwierć dolara.

- Do innego razu - powiedział zmęczonym głosem - kiedy będziemy mieli więcej miejsca, żeby cię wykidać.

Słyszając te słowa, kilku pasażerów czekających, aby wsiąść do łodzi, wytrzeszczyło na mnie oczy. Minałem ich, wyszedłem z małej poczekalni na tratwie i ruszyłem w stronę niskich stopni od strony lądu.

Jakiś wysoki, rudy drab w brudnych tenisówkach, wysmolonych spodniach i resztkę podartego niebieskiego marynarskiego swetra, umazany czymś czarnym na brodzie, oderwał się od barierki i wpadł na mnie niechcący.

Zatrzymałem się. Wydał mi się za duży. Był ode mnie trzy cale wyższy i jakieś trzydzieści funtów cięższy. Ale czas już był, żebym dał komuś w zęby, choćby miała mi tylko od tego zdrętwieć ręka.

Było prawie ciemno i stał niemal zupełnie pod światło.

- O co chodzi, szefie? - zaciągnął. - Nie powiodło się na tej arce rozpusty?

- Idź, ześcibol sobie koszulę - poradziłem mu. - Brzuchem świecisz.

- Nie jest tak źle - odpowiedział. - Problem w tym, że pod takim lekkim ubrankiem spluwa ci sterczy.

- Co ci każe pchać w to swój nos?

- Chryste, nic mi nie każe. Czysta ciekawość. Bez obrazy, kolego.

- No, to zjeżdżaj mi z drogi, do diabła.

- Ma się rozumieć. Odpoczywam tu sobie.

Uśmiechnął się niełatwym, zmęczonym uśmiechem. Głos miał miękki, senny, delikatny, zważywszy jego wzrost, brzmiał zaskakująco. Przypomniało mi to miękki głos innego olbrzyma, którego w dziwny sposób polubiłem.

- Potraktowałeś mnie nie tak, jak trzeba - powiedział ze smutkiem. - Mów mi Czerwony.

- Odsuń się, Czerwony. Najlepsi popełniają pomyłki. A czuję, że i ja łatwo ją mogę popełnić.

W zamyśleniu rozejrzał się na boki. Pchnął mnie w kąt baraku na tratwie. Wyglądało na to, że jesteśmy tu mniej więcej sami.

- Chcesz się dostać na Monty? Da się zrobić. Jeżeli masz powód.

Ludzie w jaskrawych ubraniach i z wesołymi minami minęli nas w drodze do taksówki. Poczekalem, aż przejdą.

- Na ile cenisz ten powód?

- Pięćdziesiąt dolarków. Dziesięć ekstra, jak mi zafarbujesz łódź.

Zacząłem się odsuwać.

- Dwadzieścia pięć - opuścił po cichu. - Piętnaście, gdybyś wracał z przyjaciółmi.

- Nie mam żadnych przyjaciół - powiedziałem i odszedłem.

Nie próbował mnie zatrzymywać.

Skręciłem na prawo cementowym chodnikiem, którym jeździły tam i z powrotem elektryczne wagoniki, trzęsąc się i skrzypiąc jak wózki dla niemowląt i trąbiąc klaksonikami, które mogłyby wystraszyć jakąś przyszłą mamę. U stóp pierwszego mola znajdował się ogłuszająco hałaśliwy salon z loteryjką, już po brzegi zatłoczony klientami. Wszedłem i stanąłem pod ścianą z grającymi. Czekalo tam na wolne miejsca siedzące mnóstwo innych ludzi.

Popatrzyłem, jak na tarczy wychodzą numery, posłuchałem, jak krupierzy je wywołują, próbowałem wysledzić podstawionych przez firmę graczy, ale to mi się jakoś nie udało i wyszedłem.

Zmaterializował się przy mnie wielki niebieski kształt zalatujący smołą.

- Nie masz forsy... czy tylko skąpisz? - zapytał mnie prosto w ucho łagodny głos.

Jeszcze raz mu się przyjrzałem. Miał oczy, jakich się nie spotyka, o jakich się tylko czyta. Oczy fioletowe. Prawie fioletowe. Jak dziewczyna, jak piękna dziewczyna. Skórę gładką jak jedwab. Leciutko zaróżowioną, ale z takich, co się w ogóle nie opalają. Za delikatną. Nie był taki wysoki jak Myszka Malloy, ale wyglądał na bardzo szybkiego w nogach. Był większy niż Hemingway i o wiele lat młodszy. Jego rude włosy miały odcień, który połyskuje złotem. Ale poza oczami twarz miał zwyczajną, chłopską, bez śladu aktorskiej przystojności.

- W czym robisz? - zapytał. - Prywatne oko?

- Czy muszę ci mówić? - warknąłem.

- Tak też sobie myślałem - powiedział. - Dwadzieścia pięć to za dużo? Nie masz bieżącego rachunku?

- Nie.

Westchnął.

- To i tak był szczeniacki pomysł. Rozszarpia cię tam na kawałki.

- Nie zdziwiłbym się. A w czym ty robisz?

- Tu wpadnie dolarek, tam drugi. Pracowałem kiedyś jako glina. Wykończyli mnie.

- Dlaczego mnie to mówisz?

Zrobił zdziwioną minę.

- To prawda.

- Musiałeś i im mówić prawdę.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Czy znasz faceta nazwiskiem Brunette?

Nieznaczny uśmiech pozostał na jego twarzy. Trzy mechaniczne loteryjki stały obok siebie rzędem. Tu nie tracono czasu. Jakiś wysoki mężczyzna o ptasiej twarzy i woskowych, zapadniętych policzkach, ubrany w wygnieciony garnitur, zbliżył się i oparł o ścianę nawet nie rzucając na nas okiem. Czerwony lekko pochylił się do niego i zapytał:

- Czy możemy służyć jakąś informacją, szefie?

Wysoki o ptasiej twarzy wyszczerzył zęby i odsunął się. Czerwony wyszczerzył zęby w uśmiechu i zatrzęsł budynkiem opierając się z powrotem o ścianę.

- Poznałem faceta, który mógłby cię przyjąć - powiedziałem.

- Szkoda, że jest ich tak niewiele - zauważył poważnie. - Taki duży kosztuje. Nic nie jest na jego miarę. Trzeba go wyżywić, ubrać, a jeszcze mu nogi z łóżka wystają. Tak to jest. Może ci się zdawać, że ta dziura nie nadaje się do rozmowy, ale jest przeciwnie. Jakby się nawinał szpicel, to bym go poznał, a reszta patrzy w te numerki

i poza nimi świata nie widzi. Mam łódź i podwodną przepustkę. To znaczy, mogę ją pożyczyć. Na wybrzeżu jest nie oświetlone moło. Znam na Montym wrota do ładowni, które mogę otworzyć. Od czasu do czasu wożę tam ładunek. Pod pokładem nie ma ich wielu.

- Mają ruchomy reflektor i wartowników - przypomniałem.

- Z tym możemy sobie poradzić.

Wyjąłem portfel, wysunąłem przy samym brzuchu dwadzieścia pięć dolarów i złożyłem je ciasno. Fioletowe oczy obserwowały mnie jakby nie patrząc.

- W jedną stronę?

Skinąłem głową.

- Mówiłem piętnaście.

- Ceny się podniosły.

Zasmolona ręka wchłonęła banknoty. Bezszelestnie odszedł. Rozpłynął się w upalnym mroku za drzwiami. Mężczyzna o ptasiej twarzy zmaterializował się po mojej lewej ręce i powiedział cichym głosem:

- Zdaje się, że znam tego w marynarskim ubraniu. To twój kumpel? Chyba już go gdzieś widziałem?

Oderwałem się od ściany i zostawiłem go nie odpowiadając, skręciłem za drzwiami na lewo i udałem się za głową wysokiego, posuwającą się od latarni do latarni sto stóp przede mną. Po paru minutach skręciłem na placzyk między kioskami dwóch barów. Pojawił się za mną ten z ptasią twarzą. Wędrował z oczami wbitymi w ziemię. Podszedłem do niego.

- Dobry wieczór - powiedziałem. - Stawiam ćwierć dolara, że zgadnę twoją wagę. - Otarłem się o niego. Pod wygniecioną marynarką miał pistolet.

Jego oczy spojrzały na mnie obojętnie.

- Czy chcesz, żebym cię przymknął, synku? Czuwam na tym odcinku nad zachowaniem porządku i prawa.

- A kto je w tej chwili zakłóca?

- Ten twój kumpel wyglądał mi na znajomka.

- I słusznie. Bo to glina.

- O, cholera - zaklął bez gniewu ten z ptasią twarzą. - To stąd go znam. Dobranoc.

Zawrócił i odszedł tam, skąd przybył. Głowa wysokiego tymczasem znikła. Nie zmartwiło mnie to. Nigdy bym się nie martwił o nic, co by zależało od tego chłopaka.

Powoli poszedłem dalej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Szedłem tam, gdzie się kończyły latarnie elektryczne, łoskot i klaksony małych tramwajowych wagoników, zapach rozpalonej frytury i prażonej kukurydzy, wrzask dzieciarni i zapowiadaczy iluzjonów, gdzie się urywało wszystko i zostawał tylko zapach oceanu oraz niespodziewanie czysta linia brzegu i spieniony przybój na wymytych kamykach plaży. Szedłem teraz chyba zupełnie sam. Hałasy zostały za mną, ostre nieuczciwe światło stało się migotliwą łuną. Ujrzałem ciemną wskazówkę mola czarno sterczącego w morze wśród nocy. To musiało być ono. Skręciłem i wszedłem na molo.

Czerwony wynurzył się ze skrzyni u pierwszych słupów i zadzierając głowę powiedział:

- W porządku. Idź prosto aż do stopni. Muszę ją wyprowadzić i rozgrzać.

- Śledził mnie szpicel z nabrzeża. Ten facet z salonu loteryjki. Musiałem się zatrzymać i pogadać z nim.

- To Olson. Od drobnych kradzieży. To też dobry chłop. Tylko od czasu do czasu ściga jakiś drobiazg i zwali na kogoś, żeby wykonać plan. A to już chyba trochę za wiele dobroci, co?

- Powiedziałbym, że jak na Bay City to akurat w sam raz. Ruszajmy. Zaczynam mieć pietra. Nie chcę, żeby ta mgła się rozeszła. Nie wygląda na wielką mgłę, ale będzie nam na rękę.

- Jeszcze jej dosyć zostanie, żeby nas zasłonić przed reflektorem - odpowiedział Czerwony. - Mają na pokładzie pistolety maszynowe. Idź na koniec mola. Zaraz tam będę.

Wtopił się w mrok, a ja wyszedłem na czarne deski, ślizgając się po śliskim od rybiej łuski pomoście. Daleko na końcu była niska, brudna barierka. W kącie tuliła się jakaś para, Wynieśli się, mężczyzna kłął.

Przez dziesięć minut przysłuchiwałem się chlapaniu wody o słupy. W ciemności zagwizdał jakiś nocny ptak, moje pole widzenia przeciął niewyraźnie szary zarys skrzydła i zniknął. Wysoko w górze brzęczał samolot. Potem w oddali szczeknął

silnik, zahuczał i huczał teraz jak sześć ciężarówek naraz. Po chwili hałas zelżał, ściszył się i nagle zupełnie ustał.

Mijały dalsze minuty. Cofnąłem się do zejścia w morze i zszedłem po stopniach ostrożnie jak kot po mokrej podłodze. Z nocy wysunął się ciemny kształt i coś zadudniło. Odezwał się głos:

- Wszystko gra. Wsiadaj.

Wszedłem do łodzi i usiadłem obok Czerwonego za osłoną. Łódź pomknęła po wodzie. Rura wydechowa nie hałasowała teraz, słychać było tylko wzdłuż burt gniewne bulgotanie. Znowu światła Bay City stały się dalekim blaskiem poza wznoszącą się i opadającą wrogą falą. Znow jaskrawo oświetlony Royal Crown odsunął się w bok; wdzięcząc się niby modelka na obrotowej scenie. I znow wynurzyły się z czarnego Pacyfiku bramy pocziwego Montecito, omiatanego wokoło reflektorami jak światłem latarni morskiej.

- Boję się - powiedziałem nagle. - Boję się jak cholera.

Czerwony zdławił silnik i łódź zaczęła ślizgać się po fali, jakby to woda pod spodem się poruszała, a ona stała w miejscu. Odwrócił twarz i spojrzał na mnie.

- Boję się śmierci i rozpacz - mówiłem. - Czarnej wody i twarzy topielców, i czaszek z pustymi oczodołami. Boję się umierania, zapadania w nicość, boję się, że nie znajdę tego Brunette'a.

Czerwony zachichotał.

- Aleś mnie nabrał. Ładnie sobie dodajesz odwagi, nie ma co. Brunette może być wszędzie. Na którymś ze statków w jednym ze swoich klubów, na wschodzie, w Reno i w domu w rannych pantoflach. To wszystko, czego ci trzeba?

- Szukam faceta nazwiskiem Malloy, wielkiego drania, który niedawno wyszedł ze stanowego mamra w Oregon po ośmiu latach za skok na bank. Ukrywał się w Bay City.

Opowiedziałem mu o tym. Powiedziałem mu dużo więcej, niż chciałem. Musiały to sprawić jego oczy.

- Miejscami trzyma się to kupy - orzekł - a miejscami nie. Niektórych rzeczy mógłbym nie wiedzieć, inne wiem. Jeżeli ten Sonderborg prowadził melinę, handlował papierosami z marihuaną i wysyłał chłopaczków, żeby obdzierali z klejnotów bogate babki dzikie w oczach, to trzyma się kupy, że miał układ z zarządem miasta, ale to nie znaczy, że wiedzieli o wszystkim, co on robi, albo że każdy glina wiedział o jego układzie. Blane mógł wiedzieć, a ten Hemingway, jak go nazywasz, nie wiedział. Blane jest nieuczciwy, a ten drugi to tylko zakuty glina, ani dobry, ani zły, ani

przekupiony, ani uczciwy, taki, co ma kupę odwagi i jest na tyle tępym, jak ja, żeby myśleć, że służba w policji to dobry sposób zarabiania na życie. Ten doktorek od czubków nie pasuje ani tak, ani siak. Kupił sobie ochronę na najlepszym rynku, w Bay City, i posłużył się nią, kiedy musiał. Człowiek nigdy nie ma pojęcia, co mu leży na żołądku albo czego się boi. Może jest ludzki i zdarzyło mu się kiedyś wpaść z którąś z klientek. Te bogate paniusie nie są z drewna, łatwo je poderwać. Toteż ja tak tłumaczę twój pobyt u Sonderborga: po prostu Blane wiedział, że Sonderborg dostanie pietra, jak się dowie, kim jesteś... a Sonderborgowi pewno opowiedzieli to samo, co i tobie, że cię znaleźli na ulicy zawianego... więc Sonderborg nie będzie wiedział, co z tobą zrobić, będzie się tak samo bał wypuścić cię czy uziemić, bo jak już minie kawał czasu, to Blane może wpaść do niego i podnieść hałas. Tyle co do tej sprawy. Po prostu nawinałeś im się pod rękę i załatwili cię. Blane mógł wiedzieć i o Malloyu. Nie wykluczyłbym tego, jeśli o niego chodzi.

Słuchałem i przyglądałem się światłu reflektora: omiatało powoli morze, a na prawo kursowała tam i z powrotem taksówka wodna.

- Wiem, jak oni sobie kalkulują - mówił Czerwony. - Cały kłopot z policjantami nie polega na tym, żeby byli tępym czy zepsucim, czy zawzięcim, tylko że im się zdaje, że jako policjanci zyskują coś, czego przedtem im brakowało. Może kiedyś tak było, ale już nie jest. Za wielu nad nimi siedzi spryciarzy. W ten sposób dochodzimy do Brunette'a. On nie kręci tym miastem. Nie może sobie tym zawracać głowy. Wyłożył ciężką forszę na wybranie burmistrza, żeby dali spokój jego taksówkom wodnym. Jeżeli chce czegoś w szczególności, dostaje. Tak jak teraz niedawno, kiedy jednego z jego znajomków, prawnika, przymknęli za prowadzenie wozu po pijanemu i Brunette zrobił z tego tylko nieostrożne prowadzenie. Musieli zmienić raport, a to też przestępstwo. To ci daje pewien obraz. On robi w ruletce, a dzisiaj jedno łączy się z drugim. Może więc też handlować papierosami z marihuaną albo dostawać jakiś procent od faceta, któremu powierzył ten interes. Może znać Sonderborga albo i nie. Ten interes z klejnotami nie wchodzi w grę. Zastanów się, do czego tamci się posunęli za osiem tysięcy. Śmiech pomyśleć, że Brunette miałby mieć z tym coś wspólnego.

- Taaak - powiedziałem. - I zamordowali jednego człowieka... pamiętasz?

- On tego nie zrobił ani nie kazał zrobić. Gdyby to była robota Brunette'a, nie znalazłbyś ciała. Nigdy nie wiadomo, co może się znaleźć w kieszeniach nieboszczyka. Po co to ryzyko? Widzisz, co ja robię dla ciebie za te dwadzieścia pięć dolarów? Co mógłby działać Brunette za swoją forszę?

- Czy mógłby kazać kogoś zabić?

Czerwony pomyślał chwilę.

- Mógłby. Prawdopodobnie zdarzało mu się to. Ale on nie jest krwiożerczy. Ci faceci od ciemnych interesów to nowy typ człowieka. Myślmy o nich w ten sam sposób, jak myślimy o dawnych kasiarzach albo narwanych narkomanach. Ci wyszczekani komisarze policji z radia wrzeszczą na całe gardło, że to podle dranie, zdolne zabijać kobiety dzieci, a wołać litości na widok munduru policji. Powinni mieć więcej rozsądku i nie karmić ludzi taką bzdurą. Są zgniłki wśród policjantów i są zgniłki wśród przestępców, ale nigdzie ich wielu nie ma. A co do tych u samej góry, jak Brunette, to nie wspięli się tam po trupach. Zawdzięczają swoją pozycję odwadze i głowie, i nie mają do tego odwagi grupowej, jak policjanci. Ale przede wszystkim jednak to ludzie interesu. To, co robią, robią dla pieniędzy. Tak jak i ludzie interesu. Czasami ktoś fatalnie wejdzie w drogę. OK. Sprzątną go. Ale dobrze się namyślą, zanim to zrobią. I za co, do cholery, ja ci robię ten wykład?

- Taki facet jak Brunette nie ukrywałby Malloya - powiedziałem. - Po tym, kiedy Malloy zabił dwie osoby.

- Racja. Chyba że miałby jakiś inny powód oprócz pieniędzy. Chcesz wracać?

- Nie.

Czerwony poruszył rękami ster. Łódź nabrała szybkości. - Niech ci się nie zdaje, że ja lubię tych drani - zakończył. - Łby bym im poukręcał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Obracający się reflektor wysyłał blady mglisty promień światła, który ledwie muskał fale na mniej więcej sto stóp wokół statku. Prawdopodobnie obliczony był głównie na pokaz. Szczególnie o tej porze nocy. Ktokolwiek by planował abordaż na któryś z tych statków-ruletek, potrzebowałby nie tyle jakiej pomocy i zabrałby się do tego około czwartej rano, kiedy tłum rzedł i zostawało tylko paru zajadłych szulerów, a załoga była już całkiem otępiała ze zmęczenia. Nawet wówczas nie najlepszy byłby to sposób zarobkowania. Raz go już próbowano.

Jedna z taksówek dobiła do pomostu, wylądowała gości i zawróciła do brzegu. Czerwony utrzymywał swoją wyścigówkę na jałowych obrotach tuż poza zasięgiem reflektora. Gdyby go podnieśli o parę stóp, ot, dla żartu... Ale nie zrobili tego. Światło niespiesznie przemknęło, matowa woda nabrała blasku, łódź prześliznęła się do wewnątrz kręgu i szybko wsunęła się pod burtę statku pod dwoma olbrzymimi, pokrytymi szlamem rufowymi kotwicami. Podpłynęliśmy bokiem do wytłuszczonych blach kadłuba tak potulnie jak hotelowy szpicel podsuwający się do jakiegoś rozrabiaki, żeby go wyrzucić z hallu.

Wysoko nad nami zamajaczyły żelazne podwoje, które z pozoru znajdowały się za wysoko, żeby się można było do nich dostać, i wyglądały na za ciężkie, żeby się dały otworzyć, jeśli się już człowiek do nich dostanie. Łódź ocierała się o zgrzybiałe burty

Montecito, a fale miękko chlapały o kadłub pod naszymi nogami. Wielki cień wyrósł w mroku koło mnie, w górę śmignęła zwinięta lina, trzepnęła o coś, zahaczyła, a koniec opadł w dół i plusnął w wodę. Czerwony wyłowił go bosakiem, mocno naciągnął i uczeplił do czegoś na pokrywie silnika. Było na tyle mglisto, że wszystko wydawało się nierealne. Wilgotne powietrze było zimne jak popioły miłości.

Czerwony nachylił się nade mną, aż jego oddech połaskotał mnie w ucho:

- Za wysoko sterczy. Dobrze stuknąć, a zatrzepotałby śrubami w powietrzu. Ale i tak musimy wleźć po tych blachach.

- Nie mogę się doczekać - powiedziałem wstrząsając się.

Czerwony położył mi ręce na sterze, nastawił dławik, nastawił ster, tak jak chciał, i kazał mi trzymać łódź bez ruchu. Do samych blach umocowana była żelazna drabina, wyginająca się razem z kadłubem, ze szczablami pewno tak śliskimi jak natłuszczony drag.

Wspinaczka po tej drabinie wyglądała równie kusząco, jak spacer po gzymsie biurowca. Czerwony wyciągnął do niej ręce, wytarłszy je przedtem porządnie, żeby się trochę pozbyć smoły. Podciągnął się w górę bezszelestnie, nawet nie stęknąwszy, tenisówkami odnalazł metalowe szczable i wypiął się do tyłu prawie pod kątem prostym, żeby wzmocnić zaczepienie.

Światło reflektora zataczało teraz koła z dala od nas. Odbijało się od wody i zdawało mi się, że moja twarz staje się w nim widoczna jak płomień, ale nic się nie działo. Potem doszło do mnie tępe skrzypnięcie ciężkich podwoi nad głową. Leciutki odbłask żółtawego światła przesaczył się w mgłę i rozpląnął. Ukazała się połowa luku załadowczego. Musiał nie być zasunięty od wewnątrz. Zastanowiłem się, dlaczego.

Szept był ledwie słyszalny, nie rozróżniało się w nim słów. Puściłem ster i ruszyłem w górę. Była to najtrudniejsza podróż w moim życiu. Wylądowałem zdyszany i zasapany w zatęchłej ładowni, zarzuconej skrzynkami, baryłkami, zwojami lin i stertami porzewiających łańcuchów. Po kątach piszczwały szczury. Żółte światło wydobywało się z wąskich drzwiczek w głębi.

Czerwony przytknął usta do mojego ucha.

- Stąd idziemy prosto do przejścia do kotłowni. Będą mieli jeden zapasowy kocioł pod parą, bo na tym starym serze nie mają diesli. Jeden facet pewno będzie na dole. Załoga w gali zwija się na pokładach dla gości, jako krupierzy, kapusie, kelnerzy itede. Oni wszyscy muszą się niby to zaciągać na statek. Z kotłowni pokażę ci wentylator bez kraty. Wychodzi na pokład służbowy, na który wstęp jest wzbroniony. Ale możesz na nim robić, co chcesz... dopókiś żywy.

- Musisz mieć krewnych na pokładzie - powiedziałem.

- Widziałem dziwniejsze rzeczy. Prędko wracasz?

- Powinienem głośno chlupnąć, jak będę spadał ze służbowego pokładu - ciągnąłem wyjmując portfel. - Zdaje mi się, że to już warte więcej. Trzymaj. Zajmij się ciałem jak swoim własnym.

- Nie jesteś mi winien ani centa więcej, szefie.

- Płacę za drogę z powrotem... nawet gdybym nie skorzystał. Bierz forszę, zanim się rozpłaczę i zmoczę ci koszulę.

- Chcesz, żeby ci tam trochę pomóc?

- Trzeba mi tylko zręcznego języka, a mój własny jest jak ogon jaszczurki.

- Schowaj swoją forszę - powiedział Czerwony. - Zapłaciłeś mi za drogę z powrotem. Mam wrażenie, że się boisz. - Wziął mnie za rękę. Jego ręka była silna, twarda, ciepła i trochę lepka. - Wiem, że się boisz - szepnął.

- Przejdzie mi - odpowiedziałem. - Nie tak, to inaczej.

Odwrócił się ode mnie z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie mogłem rozszyfrować w tym oświeceniu. Poszedłem za nim między skrzynkami i baryłkami, przekroczyliśmy wysoki żelazny próg drzwi zanurzając się w długie mroczne przejście pełne okrętowego zapachu. Stamtąd wydobyliśmy się na pomost ze stalowej kraty, śliski od smaru, i zeszliśmy po stalowej drabince, na której trudno się było utrzymać. Teraz powietrze pełne było leniwego syku naftowych palników, który głużył wszystkie inne dźwięki. Przez zwały milczącego żelastwa skierowaliśmy się ku temu sykowi.

Za rogiem natknęliśmy się na niskiego czarniawego Włocha w fioletowej jedwabnej koszuli. Siedział na biurowym krześle powiązanym drutem, pod nagą wiszącą żarówką, i pomagając sobie czarnym palcem oraz okularami w drucianej oprawie, odziedziczonymi pewno po dziadku, czytał wieczorną gazetę.

Czerwony podszedł do niego bezszelestnie i cichym głosem powiedział:

- Cześć, Malutki. Jak tam bambinos?

Włoch rozdziawił usta ze szczękiem i sięgnął ręką w rozpięcie fioletowej koszuli. Czerwony uderzył go w kąt szczęki i podtrzymał. Delikatnie położył go na podłodze i wziął się do darcia na strzępy fioletowej koszuli.

- To go bardziej zaboli niż rozkwaszony nos - wyjaśnił mi po cichu. - Ale idzie o to, że przy włożeniu przez wentylator robi się kupę hałasu, który tu strasznie słychać na dole. Na górze nie usłyszą nic a nic.

Związał i zakneblował zręcznie Włocha, złożył jego okulary i umieścił w bezpiecznym miejscu, a potem podeszliśmy do tego wentylatora bez kraty. Zajrzałem w górę i nie zobaczyłem nic poza ciemnością.

- Do zobaczenia - powiedziałem.

- Może trzeba ci trochę pomóc?

Otrząsnąłem się jak mokry pies.

- Trzeba mi kompanii żołnierzy. Ale albo zrobię to sam, albo nic nie zrobię. Bywaj.

- Jak długo zabawisz? - w jego głosie wciąż brzmiało zatroskanie.

- Godzinę albo mniej.

Popatrzył na mnie i przygryzł wargę. Potem skinął głową.

- Czasami człowiek musi - powiedział. - Jak ci starczy czasu, to wpadnij do tego salonu gry.

Odszedł po cichu, zrobił cztery kroki i wrócił.

- Ten otwarty luk ładowniczy - wyjaśnił. - Za wiadomość o nim możesz coś utargować. Wykorzystaj to.

Szybko oddalił się.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Zimny przeciąg ciągnął w dół wentylatorem. Droga w górę dłużyła mi się. Po trzech minutach, które wydały mi się godziną, wytknąłem ostrożnie głowę z wylotu w kształcie trąby. W pobliżu majaczyły okryte plandeką szalupy. W ciemności pomrukiwały niskie głosy. Reflektor powoli zataczał swoje koło. Znajdował się gdzieś jeszcze wyżej, pewno na ogrodzonym barierką pomoście na szczycie jednego z przysadzistych masztów. Pewno jest tam również ktoś z załogi z karabinem maszynowym, a może nawet z lekkim browningiem. Ładne przyjęcie, ładna pociecha, kiedy się wyszło z tak gładko otworzonej ładowni.

W oddali tętniła muzyka jak fałszywy bas tandetnego radia. Nad głową widziałem lampę na maszcie, a przez wyższe warstwy mgły złośliwie spoglądało w dół parę gwiazd.

Wylazłem z wentylatora, wysunąłem z szelek pod pachą swój 38 i zgiętą ręką przycisnąłem do boku, osłaniając rękawem. Posunąłem się o trzy bezszelestne kroki i wyteżyłem słuch. Nic się nie stało. Pólgłosem prowadzona rozmowa ucichła, ale nie

z mojego powodu. Umieściłem ją teraz między dwiema szalupami. A wśród ciemności i mgły, tajemniczo jak zawsze, skupiło się jeszcze tyle światła, żeby zapalić błysk na ciemnej stali karabinu maszynowego ustawionego na wysokim trójnogu i wycelowanego w dół, za burtę. Obok stało nieruchomo dwóch mężczyzn, nie paląc, i ich głosy wróciły do prowadzonej prawie szeptem rozmowy, szeptem nie materializującym się w słowa.

Za długo słuchałem tego szeptu. Inny głos odezwał się wyraźnie poza mną:

- Przepraszam, ale gościom na służbowy pokład wstęp wzbroniony.

Odwrociłem się, nie za szybko, i spojrzałem mu na rękę. Zamajaczyły mi jasno, puste.

Skinąłem głową i odszedłem na bok, tak że skraj szalupy nas zasłonił. Tamten podszedł za mną po cichu, jego buty nie wydały ani szmeru na wilgotnym pokładzie.

- Chyba zabłądziłem - powiedziałem.

- Chyba tak. - Miał młody głos, wcale nie twardy. - Ale u dołu schodów są drzwi. Drzwi z zatraskiem. To dobry zamek. Kiedyś nie było drzwi, tylko łańcuch z tabliczką. Przekonaliśmy się, że bardziej niespokojni goście przełazą tamtędy.

Dużo mówił, albo żeby być grzecznym, albo żeby zyskać na czasie. Nie wiedziałem. Zauważyłem:

- Ktoś musiał zostawić drzwi otwarte.

Głowa ukryta w cieniu skinęła. Znajdowała się niżej niż moja.

- Może pan zobaczyć, którądy się wchodzi. Jeżeli ktoś nie zamknał, szef się nie ucieszy. Jeżeli były zamknięte, będziemy chcieli się dowiedzieć, którądy pan wszedł. Z pewnością domyśla się pan.

- To się wydaje proste. Chodźmy na dół pogadać z nim.

- Pan przyjechał w towarzystwie?

- W bardzo miłym towarzystwie.

- Nie powinien pan opuszczać swojego towarzystwa.

- Wie pan, jak to jest... Wystarczy się odwrócić, a już kto inny stawia jej drinka.

Zachichotał. A potem leciutko poruszył brodą w górę i w dół.

Zrobiłem unik, na czworakach uskokczyłem w bok, a świnięcie pończochy westchnęło przeciągle i jałowo w spokojnym powietrzu. Wyglądało na to, że wszystkie miejscowe pończochy celowały we mnie. Wysoki zaklął.

- No, dalej, odstawiajcie bohaterów - powiedziałem.

Głośno odciągnąłem bezpiecznik.

Zdarza się, że i zły aktor wstrząśnie widownią. Wysoki stanął jak wryty, widziałem, jak mu się pończocha zakołysała u przegubu ręki. Ten, z którym przedtem rozmawiałem, zastanowił się bez pośpiechu.

- W ten sposób nic nie zyskasz - powiedział poważnie. - Nigdy nie wydostaniesz się ze statku.

- Pomyślałem o tym. Pomyślałem też o tym, jak ci niewiele zależy. Wciąż była to szczeniacka scena.

- A czego chcesz? - zapytał spokojnie.

- Mój pistolet działa głośno - powiedziałem. - Ale nie musi działać. Chcę pogadać z Brunette'em.

- Pojechał do San Diego w interesach.

- Pogadam z jego zastępcą.

- Niezły jesteś - powiedział ten uprzejmy. - Zejdźmy na dół. I podniesiesz spluwę do góry, zanim wyjdziemy za te drzwi.

- Schowam spluwę, jak już będę miał pewność, że przejdę przez te drzwi.

Roześmiał się lekko.

- Na miejsce, Slim. Ja się tym zajmę.

Leniwie poszedł przodem, a ten wysoki jakby się rozpląnął w ciemności.

- To chodź za mną.

Przeszliśmy gęsiego przez pokład. Zeszliśmy w dół po okutych miedzią śliskich schodkach. Na dole były grube drzwi. Otworzył je i przyjrzał się zamkowi. Uśmiechnął się, pokiwał głową, przytrzymał drzwi przede mną, więc wyszedłem i wsadziłem pistolet do kieszeni.

Drzwi za nami zamknęły się ze szcęknięciem.

- Jak dotąd, wieczór upływa spokojnie - powiedział.

Przed nami była połączona nisza, a za nią sala gry, niezbyt zatłoczona. Wyglądała bardzo podobnie do wszystkich sal gry. W głębi znajdował się krótki przeszklony bar i kilka wysokich stołków. Pośrodku schody prowadzące w dół, przez które falami dobiegała muzyka, to głośniejsze, to ciszsze. Posłyszałem koło obracającej się ruletki. Ktoś rozdawał karty jednemu klientowi. W pokoju nie było więcej jak sześćdziesiąt osób. Na stole do faraona leżał plik banknotów wystarczający na początek banku. Klientem był jakiś starszawy siwy mężczyzna, który słuchał z grzeczną uwagą, ale nic więcej.

W łuku niszy pojawiło się dwóch mężczyzn w smokingach idących cicho, niedbałym krokiem. Robili wrażenie, że na nic nie zwracają uwagi. Należało tego oczekiwać. Zbliżyli się do nas i ten szczupły, niski, który wszedł ze mną, zaczekał na nich. Już byli dobrze poza łukiem niszy, kiedy rękami odnaleźli boczne kieszenie u spodni, oczywiście w poszukiwaniu papierosów.

- Od dzisiaj wprowadzamy tu pewną reorganizację - oznajmił niski. - Zdaje mi się, że nic nie macie przeciwko temu?

- Ty jesteś Brunette - powiedziałem nagle.

Wzruszył ramionami.

- Jasne.

- Nie wyglądasz tak krwiożerczo.

- Mam nadzieję.

Ci dwaj w smokingach grzecznie wzięli mnie między siebie.

- Tutaj - powiedział Brunette. - Możemy swobodnie pogadać.

Otworzył drzwi i wprowadzili mnie do doku.

Pokój wyglądał jak kabina i nie jak kabina. Dwie brązowe lampy kołysały się na pierścieniach nad ciemnym biurkiem, które nie było z drzewa, ale pewno z plastyku. W głębi stały dwie prycze z nie heblowanego drzewa. Niższa była zasłana, a na wyższej leżało kilkanaście albumów z płytami. W kącie stało wielkie radio z adapterem. Oprócz tego znajdował się tam fotel pokryty czerwoną skórą, czerwony dywan, stojące popielniczki, taboret z papierosami, karafką i kieliszkami i mały bar ustawiony poprzecznie w kącie naprzeciwko prycz.

- Siadaj - powiedział Brunette i wszedł za biurko.

Na biurku leżało mnóstwo urzędowych papierów, z długimi kolumnami cyfr odbitymi na maszynie do księgowania. Usiadł w dyrektorskim krześle z wysokim oparciem, przechylił je lekko i przyjrzał mi się. Potem z powrotem wstał, zdjął płaszcz i szalik i odrzucił je na bok. Usiadł znowu. Wziął pióro i podrapał się nim w ucho. Miał koci uśmiech, ale ja lubię koty.

Nie był ani młody, ani stary, ani gruby, ani szczupły. Częste przebywanie na morzu albo w jego pobliżu dało mu zdrową, świeżą cerę. Włosy miał kasztanowate i falowały mu się w naturalny sposób, tym bardziej jeszcze na morzu. Miał wąskie czoło intelektualisty i w oczach subtelną groźbę. Były żółtawe. Ręce miał ładne, nie wypielęgnowane aż do przesady, ale dobrze utrzymane. Ubrany był w smoking ciemnogrnatowy, jak sądzę, bo wyglądał bardzo czarno. Pomyślałem, że perłę nosi za dużą, ale to mogło być wywołane zazdrością.

Popatrzył na mnie dosyć długo, zanim powiedział:

- Ma broń.

Jeden z tych aksamitnych zbirów oparł mi o plecy coś, co chyba nie było wędką. Macające ręce zabrały mi pistolet i szukały dalej.

- Coś jeszcze? - zapytał głośno.

Brunette potrząsnął głową.

- Nie teraz.

Jeden ze zbirów pchnął moją pukawkę przez biurko. Brunette odłożył pióro, wziął do ręki nóż do papieru i lekko zakręcił moim pistoletem na bibule.

- No - powiedział cichym głosem, patrząc gdzieś przez moje ramię. - Czy muszę tłumaczyć, czego sobie teraz życzę?

Jeden z nich szybko wyszedł i zamknął drzwi. Drugi siedział tak cicho, jakby go nie było. Nastąpiła długa chwila ciszy, przerywanej odległymi odgłosami rozmów, tonami muzyki i w dole głuchym, niemal niewyczuwalnym dudnieniem.

- Napijesz się?

- Chętnie.

Goryl nalał nam dwa kieliszki przy małym barze. Nie starał się robić tego dyskretnie. Postawił kieliszki jeden po jednej, drugi po drugiej stronie biurka, na czarnych szklanych podstawkach.

- Zapalisz?

- Dziękuję.

- Może być egipski?

- Jasne.

Zapaliliśmy. Popiliśmy. Alkohol miał smak dobrej szkockiej whisky. Goryl nie pił.

- Otóż chcę... - zacząłem.

- Przepraszam, ale to przecież jest dosyć nieistotne.

Miękki koci uśmiech i leniwe, półprzymknięte żółte i oczy.

Drzwi się otworzyły i wrócił ten drugi, a z nim ten marynarz z gębą gangstera. Zerknął raz na mnie i na twarzy pobiełał jak ostryga.

- Nie przeszedł koło mnie - powiedział szybko, wykrzywając usta z jednej strony.

- Miał broń - powiedział Brunette, szturchając moją spluwę nożem do przecinania papieru. - Ten pistolet. Na służbowym pokładzie, że tak powiem, wetknął mi go w żebra.

- Nie koło mnie, szefie - powiedział marynarz tak samo szybko.

Brunette trochę szerzej otworzył swoje żółte oczy i uśmiechnął się do mnie.

- No jak?

- Wyrzuc go - powiedziałem. - Zgnieć tę pluskwę gdzie indziej.

- Taksjarsz może zaświadczyć - warknął marynarz.

- Schodziłeś z pomostu od pół do szóstej?

- Nawet nie na minutkę, szefie.

- To nie odpowiedź. Cesarstwo może się zawalić w minutę.

- Nawet nie na sekundę, szefie.

- Ale można go kupić - wtrąciłem i roześmiałem się.

Marynarz zrobił jeden miękki, posuwisty krok boksera i pięść jego śmignęła jak pejcz. Niemal dosięgła mojej skroni. Dał się słyszeć głuchy stuk. Pięść jakby mu zwiędła w połowie drogi. Zwalił się w bok, uczeplił rogu biurka i przewalił się na wznak. Miło było patrzeć, jak załatwiają dla odmiany kogoś innego.

Brunette nadal uśmiechał się do mnie.

- Mam nadzieję, żeś go nie skrzywdził. Wciąż jeszcze pozostaje sprawa tych drzwi na pokład.

- Przypadkiem nie zamknięte.

- Nic innego nie przychodzi ci do głowy?

- Nie w takim tłumie.

- Porozmawiam z tobą sam na sam - powiedział Brunette nie patrząc na nikogo poza mną.

Goryl chwycił marynarza pod rękę, przewiółł go przez kabinę, a jego towarzysz otworzył jakieś wewnętrzne drzwi. Wyszli. Drzwi się zamknęły.

- W porządku - zaczął Brunette. - Kim jesteś i czego chcesz?

- Jestem prywatnym detektywem i chcę pogadać z facetem zwanym Myszka Malloy.

- Dowiedz mi, że jesteś prywatnym detektywem.

Wylegitymowałem się. Rzucił mi portfel z powrotem przez biurko. Jego opalone od wiatru wargi uśmiechały się nadal i uśmiech ten stawał się teatralny.

- Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa - powiedziałem: - Morderstwa popełnionego na człowieku, który nazywał się Marriott, na skale w pobliżu twojego klubu "Belvedere", wieczorem w zeszły czwartek. Tak się składa, że to morderstwo się łączy z innym morderstwem, popełnionym na kobiecie przez tego Malloya, gangstera bankowego po odsiadce i faceta zdolnego do wszystkiego.

Kiwnął głową.

- Wciąż cię nie pytam, co to ma wspólnego ze mną. Zakładam, że dojdiesz do tego. A może mi powiesz, jak się dostałeś na mój statek.

- Powiedziałem ci.

- To nie była prawda - powiedział łagodnie. - Nazywasz się Marlowe, co? To było kłamstwo, Marlowe. Wiesz o tym. Ten chłopak z pomostu nie łże. Starannie dobieram swoich ludzi.

- Kawalek Bay City należy do ciebie - mówiłem. - Nie wiem, jaki duży to kawałek, ale dosyć na to, czego ci trzeba. Facet nazwiskiem Sonderborg prowadził tam melinę. Handlował papierosami z marihuaną, organizował napady i ukrywał spalonych

facetów. Oczywiście, nie dawałby rady bez powiązań. Nie przypuszczam, żeby sobie radził bez ciebie. U niego chował się Malloy. Wyniósł się. Malloy ma mniej więcej siedem stóp wzrostu i trudno go schować. Myślę, że mógłby się wygodnie ukryć na statku-ruletce.

- Jesteś głupi - powiedział miękko Brunette. - Powiedzmy, że chciałbym go ukryć, dlaczego miałbym to ryzykować tutaj? - Pociągnął powoli ze swojego kieliszka. - Ostatecznie, robię w czym innym. Wystarczy mi kłopotów z utrzymaniem jakiejś takiej obsługi taksówkowej. Pełno na świecie miejsc, gdzie się może ukryć przestępca. Jeżeli ma pieniądze. Nic lepszego nie możesz wymyślić?

- Mógłbym, ale po cholere.

- Nic dla ciebie nie mogę zrobić. Więc jak się dostałeś na statek?

- Ani mi się śni ci mówić.

- Boję się, że będę musiał zmusić cię do powiedzenia, Marlowe. - W świetle padającym z okrętowych lamp zaśniły mu zęby.

- Ostatecznie, to się da zrobić.

- Jeżeli ci powiem, podasz kartkę Malloyowi?

- Jaką kartkę?

Sięgnąłem po leżący na biurku portfel, wyciągnąłem z niego wizytówkę i odwróciłem ją. Odłożyłem portfel i wziąłem ołówek. Napisałem pięć słów na odwrocie wizytówki i pchnąłem ją przez biurko. Brunette wziął ją i przeczytał, co napisałem.

- Dla mnie nie ma to sensu - powiedział.

- Będzie miało sens dla Malloya. Pochylił się i przyjrzał mi się.

- Nie mogę cię rozgryźć. Ryzykujesz własną skórą, żeby tu przyjść i oddać mi kartkę dla jakiegoś typa, którego nawet nie znam. Nie ma w tym sensu.

- Tylko w tym wypadku, jeżeli go nie znasz.

- Dlaczego nie zostawiłeś spluwy na brzegu i nie przyjechałeś tu normalną drogą?

- Za pierwszym razem zapomniałem. A potem już wiedziałem, że ten osiłek w przebraniu marynarza nigdy mnie nie wpuści. Wtedy natknąłem się na faceta, który znał inną drogę.

Jego żółte oczy zapaliły się jakby nowym płomieniem. Uśmiechnął się i nie odpowiedział.

- Ten drugi nie jest żadnym przestępcą, ale kręcił się od jakiegoś czasu po plaży z otwartymi oczami. Masz wrota do ładowni nie zasunięte od wewnątrz i wentylator, z którego wyjęto kratę. Po drodze na służbowy pokład trzeba tylko dać po głowie jednemu facetowi. Lepiej sprawdź listę swojej załogi, Brunette.

Miękko potarł jedną wargę o drugą. Jeszcze raz spojrzał na moją wizytówkę.

- Na pokładzie tego statku nie ma nikogo nazwiskiem Malloy - powiedział. - Ale jeżeli mówisz prawdę o tych wrotach do ładowni, kupuję.

- Idź i zobacz.

Wciąż nie podnosił oczu.

- Jeżeli jakimś sposobem będę mógł oddać tę kartkę Malloyowi, dostanie ją. Sam nie wiem, dlaczego sobie tym zawracam głowę.

- Sprawdź te wrota do ładowni. Chwilę siedział zupełnie nieruchomo, a potem pochylił się do przodu i pchnął pistolet w moją stronę.

- Czego ja nie robię - powiedział zamyślonym głosem, jakby był sam. - Kręcę całymi miastami, wybieram burmistrzów, przekupuję policję, handluję pokątnie morfiną, ukrywam przestępców, napadam na stare baby uduszone sznurami pereł. Co za zabawa! - roześmiał się krótko. - Co za zabawa!

Wzięłem swój pistolet i wsadziłem go z powrotem pod pachę. Brunette wstał.

- Nic nie obiecuję - powiedział nie spuszczając ze mnie oka. - Ale wierzę ci.

- Na pewno nie.

- Sporo ryzykowałeś, żeby usłyszeć w zamian tak mało.

- Racja.

- Więc... - zrobił jakiś gest bez znaczenia, po czym wyciągnął rękę przez biurko.

- Uściśnij rękę idiocie - powiedział miękko.

Podąłem mu rękę. Jego dłoń była mała, twarda i trochę gorąca.

- Nie powiesz mi, jak się dowiedziałeś o tej otwartej ładowni?

- Nie mogę. Ale ten, kto mi o tym powiedział, to uczciwy człowiek.

- Mógłbym cię zmusić - powiedział i natychmiast potrząsnął głową. - Nie. Już raz ci uwierzyłem. Jeszcze raz ci uwierzę. Siedź spokojnie i wypij jeszcze kieliszek.

Nacisnął brzęczyk. Otworzyły się drzwi w głębi i wszedł jeden z jego grzecznych osiłków z ochrony.

- Zostań tu. Daj mu się napić, jakby chciał. Ale grzecznie.

Facet z ochrony usiadł i łagodnie się do mnie uśmiechnął. Brunette szybkim krokiem wyszedł z kancelarii. Zapaliłem. Dopilem. Ten z ochrony dołączył mi do kieliszka. Wypiłem i to i wypaliłem jeszcze jednego papierosa.

Brunette wrócił, umył ręce w kącie i z powrotem zasiadł za biurkiem. Skinął głową na osiłka z ochrony. Tamten po cichu wyszedł.

Żółte oczy zbadaly mnie.

- Wygrałeś, Marlowe. A mam na liście załogi stu sześćdziesięciu czterech ludzi. No...
- wzruszył ramionami. - Możesz wracać taksówką. Nikt ci nie będzie robił trudności. A co do twojej kartki... mam pewne kontakty. Posłużę się nimi. Dobranoc. Pewno powinienem ci podziękować. Za dowód.

- Dobranoc - powiedziałem, wstałem i wyszedłem.

Na pomoście dla taksówek stał już ktoś inny. Pojechałem na brzeg inną taksówką. Poszedłem do salonu gry i wśród tłumu oparłem się o ścianę.

Po paru minutach pojawił się Czerwony i oparł się o ścianę koło mnie.

- Łatwe, co? - zapytał po cichu na tle wyraźnych, grzmiących głosów krupierów wywołujących numery.

- Dzięki tobie. Kupił. Jest zaniepokojony. Czerwony rozejrzał się na boki i przysunął usta jeszcze bliżej do mojego ucha.

- Znalazłeś swojego?

- Nie. Ale mam nadzieję, że Brunette znajdzie sposób, żeby mu przesłać parę słów.

Czerwony odwrócił głowę i znowu popatrzył na stoły.

Ziewnął i oderwał się od ściany. W salonie znów pojawił się ten z ptasim profilem. Czerwony podszedł do niego, powiedział: - Cześć, Olson - i o mało go nie przewrócił, przepychając się obok.

Olson popatrzył za nim kwaśno i poprawił kapelusz. Potem złośliwie splunął na podłogę.

Kiedy tylko wyszedł i ja wyszedłem. Wróciłem na parking w pobliżu torów, gdzie zostawiłem samochód.

Wróciłem do Hollywood, odstawiłem samochód i wszedłem na górę, do swojego mieszkania.

Zdjąłem buty i chodziłem w skarpetkach, czując podłogę palcami. Jeszcze wciąż się zdarzało, że mi drętwiały.

Potem usiadłem na brzegu rozłożonego tapczanu i starałem się wykalkulować czas. To się nie da zrobić. To może zająć całe godziny albo i dni, zanim się znajdzie Malloya. Może w ogóle nie da się go znaleźć, dopóki policja go nie złapie. Jeżeli go w ogóle złapią żywego.

Było około dziesiątej, kiedy wykręciłem numer pani Grayle w Bay City. Pomyślałem, że to pewno za późno, żeby ją zastać, ale okazało się, że nie. Przebrnąłem przez pokojówkę i kamerdynera i wreszcie usłyszałem na linii jej głos. Sądząc po nim, była zawiana i dojrzała na wieczór.

- Obiecałem zadzwonić - powiedziałem. - Trochę późno, ale miałem mnóstwo pracy.

- Znow jakiś napad? - głos jej ochłódl.

- Może nie. Czy twój szofer jeszcze pracuje?

- Pracuje dotąd, dokąd mu każę.

- Nie wpadłabyś po mnie? Będę się starał wcisnąć w garnitur.

- To miłe z twojej strony - zaciągnęła. - Czy naprawdę powinnam tak się wysilać?

Naprawa jej organów mowy to była rzeczywiście mistrzowska robota ze strony Anthora... jeżeli kiedyś naprawdę wymagały naprawy.

- Pokażę ci mój sztych.

- Jeden sztych?

- To kawalerka.

- Słyszałam, że coś takiego istnieje - zaciągała dalej, ale zaraz zmieniła ton. - Nie udawaj, że jesteś taki trudny do zdobycia. Jesteś pięknie zbudowany, młodzieńcze. I nie słuchaj, gdyby ci ktoś mówił, że tak nie jest. Podaj mi jeszcze raz swój adres.

Podałem jej adres i numer mieszkania.

- Drzwi do sieni są zamknięte - wyjaśniłem - ale zejść na dół i odsunąć zasuwkę.

- Świetnie. Nie będę potrzebowała wytrycha.

Położyła słuchawkę, pozostawiając mnie dziwnemu uczuciu, że rozmawiałem z kimś nierzeczywistym.

Zeszedłem do sieni, odsunąłem zasuwkę, a potem wykąpałem się, włożyłem piżamę i położyłem się na tapczanie. Mógłbym spać przez tydzień. Zwlokłem się jeszcze raz i zasunąłem zasuwkę u drzwi do mieszkania, czego przedtem zapomniałem zrobić. Jak przez wysoką zaspę przedarłem się do kuchni i wystawiłem kieliszki i butelkę szkockiego likieru, który przechowywałem na okazję jakiegoś uwiedzenia wyższej klasy.

Z powrotem położyłem się na tapczanie.

- Módl się - powiedziałem na głos. - Została tylko modlitwa.

Zamknąłem oczy. Zdawało mi się, że w czterech ścianach mojego pokoju czuje się pulsowanie statku, że w ciszy kapie mgła i szeleści morski wiatr. Czułem zatęchły smród nie używanego luku. Czułem zapach smaru silnikowego i zobaczyłem Włocha w fioletowej koszuli czytającego w świetle nagiej żarówki przy pomocy okularów dziadka. Wspinałem się bez końca kanałem wentylatora. Wspiałem się na sam szczyt Himalajów i wyszedłem na górę, gdzie znalazło się naokoło mnie pełno facetów z karabinami maszynowymi. Rozmawiałem z niskim i jakimś bardzo ludzkim człowiekiem o żółtych oczach, facetem od ciemnych interesów, a może i czegoś gorszego. Pomyślałem o olbrzymie z rudymi włosami i fiołkowymi oczyma, który był chyba najmilszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem.

Przestałem myśleć. Zamigotały mi światełka pod zamkniętymi powiekami. Zgubiłem się w przestrzeni. Byłem złoconą pończochą po powrocie z nieudanej wyprawy. Byłem skrzynką dynamitu za sto dolarów, która wybuchła wydając taki dźwięk, jak lombardzista oglądający dolarowy zegarek. Byłem żuczkiem o różowym łebku, który wspinał się po ścianie ratusza.

Spałem.

Obudziłem się pomału, niechętnie i spojrzałem na refleks światła lampy na suficie. Coś się po cichu poruszało po pokoju.

Ruchy te były szybkie, ciche i ciężkie. Przysłuchiwałem się im. Potem powoli odwróciłem głowę i zobaczyłem Myszkę Malloya. Był półmrok i poruszał się w półmroku tak bezszelestnie, jak już kiedyś. Pistolet w jego ręku miał oleisty, rzeczowy połysk. Kapelusz zsunął na tył kędzierzawej głowy i węszył nosem jak pies myśliwski.

Zobaczył, że otworzyłem oczy. Miętko podszedł do brzegu tapczanu i stanął patrząc w dół na mnie.

- Dostałem twoją kartkę - powiedział. - Jak wychodziłem z tamtej knajpy, nikt mnie nie widział. Ani jednego gliny na ulicy. Jak to jest zasadzka, to dwóch nas wyniosą w koszykach.

Przesunąłem się trochę na tapczanie, a on szybko pomacał pod poduszką. Twarz miał tak samo wielką i bladą i jego głęboko osadzone oczy wciąż były w jakiś sposób łagodne. Dziś miał na sobie płaszcz. Pasował na niego w tych miejscach, gdzie na nim leżał. Na jednym ramieniu rozpruty był szew, prawdopodobnie po prostu pękł przy wkładaniu. Płaszcz musiał być największego rozmiaru, ale jeszcze nie dosyć obszerny na Myszkę Malloya.

- Liczyłem na to, że do mnie wpadniesz - powiedziałem. - Żaden glina nic o tym nie wie. Po prostu chciałem z tobą pogadać.

- To gadaj.

Bokiem przysunąłem się do stołu, położyłem na nim pistolet, ściągnąłem płaszcz i usiadłem w moim najlepszym fotelu. Fotel zaskrzypiał, ale wytrzymał ten ciężar. Powoli oparłem się i ułożyłem pistolet tak, żeby mieć go w pobliżu prawej ręki. Wygrzebałem z kieszeni paczkę papierosów, wytrząsnąłem jednego i włożyłem go sobie do ust bez pomocy palców. Na paznokciu kciuka rozbliła mu zapalka. Ostry zapach dymu popłynął przez pokój.

- Jesteś chory czy co? - zapytał.

- Odpoczywam tylko. Miałem ciężki dzień.

- Drzwi były otwarte. Czekasz na kogo?

- Na babkę.

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

- Może nie przyjdzie - dodałem. - Jeżeli przyjdzie, spławię ją.

- Co za babka?

- Och, taka jedna. Jeżeli przyjdzie, spławię ją. Wolę pogadać z tobą.

Leciutki uśmiech ledwie poruszył jego usta. Palił jakoś dziwnie, jakby papieros był za mały, żeby go mógł wygodnie utrzymać w palcach.

- Skąd ci przyszło do głowy, że jestem na Montym? - zapytał.

- Podsunął mi to jeden glina z Bay City. To długa historia i pełna zagadek.

- Gliny z Bay City mnie szukają?

- Co by ci to przeszkadzało?

Znów leciutko się uśmiechnął. Potrząsnął delikatnie głową.

- Zabiłeś kobietę - powiedziałem. - Jessie Florian. To był błąd.

Zastanowił się. Potem przytaknął.

- To bym wyłączył - szepnął.

- Ale to wszystko popsuło - ciągnąłem. - Ja się ciebie nie boję. Nie jesteś mordercą. Nie miałeś zamiaru jej zabijać. Z tamtego... tam na Centralnej... mógłbyś się jakoś wykręcić. Ale nie z tego walenia jej głową o łóżko, aż mózg wypłynął na twarz.

- Cholernie ryzykujesz, bracie - powiedział miękko.

- Kiedy się zważy, jak się ze mną obchodzono, to już mi nie zależy. Nie miałeś zamiaru jej zabijać, co?

Oczy miał niespokojne. Głowę przechylił, jakby nasłuchiwał.

- Już chyba czas, żebyś zrozumiał, jaką masz krzepę.

- Już za późno - stwierdził.

- Chciałeś, żeby ci coś powiedziała - mówiłem dalej. - Złapałeś ją za szyję i potrząsałeś. Już nie żyła, kiedy zacząłeś walić jej głową o łóżko.

Nie spuszczał ze mnie oczu.

- Wiem, co chciałeś z niej wydobyć.

- Gadaj.

- Kiedyśmy ją znaleźli, był ze mną glina. Musiałem się wycofać.

- Na długo?

- Dosyć długo - odpowiedziałem. - Ale nie na dzisiaj.

Nie spuszczał ze mnie oczu.

- OK. Jak się dowiedziałeś, że jestem na Montym?

Już mnie przedtem o to pytał. Chyba zapomniał.

- Nie wiedziałem. Ale najłatwiej byłoby ci uciec morzem. Z tymi powiązaniem, jakie oni tam mają w Bay City, mogłeś się dostać na jeden z tych statków. Stamtąd miałeś już drogę wolną. Z odpowiednią pomocą.

- Laird Brunette to równy chłop - powiedział pusto. - Tak mówią. Sam nigdy z nim nie gadałem.

- On ci oddał kartkę.

- Cholera, ma mnóstwo kontaktów, mogły mu w tym pomóc, koleś. Bierzmy się do tego, o czym pisałeś na tej kartce. Coś mi mówiło, że nie łżesz. Inaczej bym nie ryzykował i nie przyłaził tutaj. Dokąd idziemy?

Zduślił papierosa i przyglądał mi się. Na ścianie majaczył jego cień, wielki jak cień olbrzyma. Był taki wielki, że wydawał się nieprawdziwy.

- Skąd ci przyszło do głowy, że to ja rozwalilem łeb Jessie Florian? - zapytał nagle.

- Ze śladów na jej szyi. Stąd, że na pewno chciałeś z niej coś wydusić i że jesteś taki silny, że możesz zabijać ludzi mimo woli.

- I ci gówniarze powiązali to ze mną?

- Nie wiem.

- Czego od niej chciałem?

- Myślałeś, że ona może wiedzieć, gdzie jest Velma.

Skinął głową w milczeniu i wciąż nie spuszczał ze mnie oczu.

- Ale nie wiedziała - dodałem. - Velma była dla niej za sprytna.

Do drzwi ktoś leciutko zapukał.

Malloy pochylił się trochę do przodu, uśmiechnął i wziął do ręki pistolet. Ktoś spróbował nacisnąć klamkę. Malloy powoli wstał, przysiadł w rozkroku i zaczął nasłuchiwać. Potem oderwał oczy od drzwi i spojrzał na mnie.

Usiadłem, spuściłem nogi z tapczanu na podłogę i wstałem. Malloy przyglądał mi się w milczeniu, bez ruchu. Podeszedłem do drzwi.

- Kto tam? - zapytałem przysuwając usta do framugi.

Głos należał niewątpliwie do niej:

- Otwórz, głuptasie. To księżna Windsoru.

- Chwileczkę.

Obejrzałem się na Malloya. Brwi miał zmarszczone. Podeszedłem tuż do niego i szepnąłem:

- Nie ma innego wyjścia. Wejść do schowka za tapczanem i czekać. Spławię ją.

Wysłuchał mnie i pomyślał. Nic nie można było wyczytać z jego miny. Znalazł się teraz w sytuacji człowieka, który bardzo niewiele ma do stracenia. Nie znał uczucia strachu. W tej wielkiej postaci nie było miejsca na strach. Wreszcie skinął głową, zgarnął kapelusz i płaszcz i wszedł do schowka. Drzwi się zamknęły zostawiając jednak małą szparkę.

Rozejrzałem się, czy nie zostawił po sobie śladów. Nie było nic poza niedopałkiem papierosa, którego mógł wypalić każdy. Wróciłem do drzwi i otworzyłem. Malloy zasunął je na nowo, wchodząc.

Stała za nimi półuśmiechnięta, w wieczorowym płaszczu ze srebrnych lisów, o którym mi już mówiła, osłaniającym ją wysoko po szyję. U uszu wisały jej szmaragdowe kolczyki, ginące prawie w miękkim białym futrze. Miękkie palce zaciskała na małej wieczorowej torebce.

Uśmiech na jej twarzy zamarł, kiedy mnie zobaczyła. Obejrzała mnie od stóp do głów. Oczy miała teraz zimne.

- Więc to tak - powiedziała złowieszczo. - Piżama i szlafrok. Żeby mi pokazać ten piękny sztych. Ależ jestem głupia.

Odstąpiłem o krok i przytrzymałem drzwi.

- To wcale nie tak. Już się ubierałem, kiedy wpadł do mnie pewien policjant. Właśnie wyszedł.

- Randall?

Skinąłem głową. Kłamstwo popełnione skinieniem głowy pozostaje kłamstwem, ale jakże łatwo je popełnić. Zawahała się chwilę i przeszła koło mnie, zamiatając perfumowanym futrem.

Zamknąłem drzwi. Powoli przeszła przez pokój, pusto popatrzyła na ścianę i szybko się odwróciła.

- Postawmy sprawę jasno - powiedziała. - Nie jestem aż taki wycieruch. Nie puszczam się na kuchenne romanse. Był taki czas w moim życiu, że miałam tego aż za wiele. Lubię pewien fason.

- Napijesz się czegoś, zanim pójdziesz?

Wciąż jeszcze stałem przy drzwiach, oddzielony od niej szerokością pokoju.

- A czy wychodzę?

- Odniosłem wrażenie, że ci się tu nie podoba.

- Chciałam jasno postawić sprawę. W tym celu muszę być trochę wulgarna. Nie jestem dziwką, która nie przebiera. Można mnie mieć... ale nie na każde zawołanie. Owszem, napiję się.

Wyszedłem do kuchenki i przygotowałem dwa kieliszki niezbyt pewnymi rękami. Wniosłem je i podałem jej jeden. Ze schowka nie dobiegał żaden dźwięk, nie słychać było nawet oddechu.

Wzięła ode mnie kieliszek, spróbowała alkoholu i spojrzała na ścianę w głębi.

- Nie lubię, jak mnie mężczyźni przyjmują w pizamie - powiedziała. - To dziwne. Ty mi się podobałeś. Bardzo. Ale mogę to sobie wybić z głowy. Zdarzało się już.

Skinałem głową i wypilem.

- Większość mężczyzn to podłe zwierzaki - ciągnęła. - Prawdę mówiąc, świat jest dosyć podły, gdybyś mnie o to pytał.

- Pieniądze chyba pomagają.

- Tak się zdaje, kiedy się nie zawsze miało pieniądze. W gruncie rzeczy pieniądze stwarzają nowe problemy - uśmiechnęła się dziwnie. - I zapomina się, jak ciężkie były te dawne.

Wyjęła z torebki złotą papierośnicę, a ja podszedłem i podałem jej zapaloną zapalrkę. Wypuściła lekki kłęb dymu i przyjrzała mu się półprzymkniętymi oczyma.

- Usiądź tu przy mnie - poprosiła nagle.

- Najpierw trochę porozmawiajmy.

- O czym? Och... o moich nefrytach?

- O morderstwie.

Nic nie drgnęło w jej twarzy. Wypuściła następny kłęb dymu, tym razem ostrożniej, nie tak szybko.

- To wstrętny temat. Czy musimy?

Wzruszyłem ramionami.

- Lin Marriott nie był wcale świętoszkiem - powiedziała - mimo to jednak nie chcę o tym mówić.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie chłodno, a potem wsunęła rękę do otwartej torebki po chusteczkę.

- Jeśli o mnie idzie, nie sądzę, żeby służył jako wtyczka jakiemuś gangowi bajterów - powiedziałem. - Policja udaje, że tak myśli, ale oni mnóstwo udają. Nie sądzę nawet, żeby był w jakimś prawdziwym sensie szantażystą. Dziwne, co?

- Rzeczywiście.

Głos jej był teraz bardzo, bardzo chłodny.

- No, tak tylko mówię - zgodziłem się i dopilem swojego drinka. - Bardzo to miłe z pani strony, że pani do mnie przyszła. Ale zdaje się, że trafiliśmy na nieodpowiedni nastrój. Ja, na przykład, nie sądzę nawet, że Marriotta zabił jakiś gang. Nie sądzę, żeby jechał do tego kanionu odkupić nefrytowy naszyjnik. Nie sądzę nawet, żeby ten naszyjnik w ogóle został skradziony. Myślę, że Marriott jechał do tego kanionu po to, żeby tam zginać, choć ludził się, że jedzie pomóc w morderstwie. Ale z Marriotta bardzo był kiepski morderca.

Pochyliła się trochę do przodu i jej uśmiech stał się odrobinę szklisty. Nagle, właściwie nie zmieniając się, przestała być piękna. Wyglądała już tylko jak kobieta, która jakieś sto lat temu mogła być niebezpieczna, dwadzieścia lat temu wyzywająca, a dziś reprezentowała drugą klasę Hollywood.

Nic nie powiedziała, prawą ręką poklepując tylko zameczek swojej torebki.

- Bardzo kiepski morderca - powtórzyłem. - Jak Szekspirowski Morderca Drugi w tej scenie z "Ryszarda III". Ten gość, który miał jeszcze jakieś resztki sumienia, a jednocześnie potrzebował pieniędzy, i w końcu zupełnie nie był zdolny do czynu, bo nie potrafił się zdecydować. Tacy mordercy są bardzo niebezpieczni. Winni być usunięci... czasami przy pomocy pończochy.

Uśmiechnęła się.

- A jak sądzisz, kogo to on miał zamordować?

- Mnie.

- W to bardzo trudno uwierzyć... żeby ktoś mógł ciebie tak zniechęcić. I powiadasz, że wcale nie skradziono mojego naszyjnika. Czy masz na to wszystko jakieś dowody?

- Tego nie powiedziałem. Mówiłem, że takie są moje przypuszczenia.

- To nie bądź taki głupi i nie gadaj o nich.

- Dowód - mówiłem dalej - to zawsze rzecz względna. Rozstrzyga prawdopodobieństwo. A to już sprawa wymowy dowodu. Istniał dosyć nikły motyw zamordowania mnie... tylko tyle, że szukałem śladu dawnej kabaretowej szansonistki z Central Avenue akurat wtedy, kiedy właśnie wyszedł z więzienia i też zaczął się za nią rozglądać pewien przestępca, Myszka Malloy. Może mu pomagałem. Najwidoczniej odnalezienie jej było możliwe, inaczej nie byłoby warto wmawiać w Marriotta, że trzeba mnie zabić, i to zabić szybko. I najwidoczniej, gdyby tak nie było, on by nie uwierzył. Ale istniał dużo bardziej przekonujący motyw zabicia Marriotta i tego motywu on nie docenił z próżności, miłości czy chciwości, czy też ze wszystkich tych powodów na raz. Bał się, ale nie o siebie. Bał się aktu przemocy, w którym miał brać udział i za który mógł zostać skazany. A z drugiej strony walczył o swój chleb powszedni. Więc zaryzykował;

Urwałem. Skinęła głową i powiedziała:

- To bardzo interesujące. Gdyby się wiedziało, o czym mówisz.

- A wie się.

Spojrzelśmy na siebie. Znowu zanurzyła prawą rękę w torebce. Dobrze wiedziałem, co tam trzyma. Ale nic jeszcze nie było widać. Na wszystko trzeba czasu.

- Dosyć tych żartów - powiedziałem. - Jesteśmy tu sam na sam. Wszystko, co jedno z nas powie, ma takie same prawa jak to, co powie drugie. Dziewczyna zaczynająca w rynsztoku zostaje żoną milionera. Podczas tej wspinaczki poznaje ją stara nędzarka... pewno usłyszała jej śpiew w radio, poznała ją po głosie i poszła odwiedzić... i staruchę trzeba było uciszyć. To jednak wyszło tanio, bo stara niewiele wiedziała. Ale człowiek, który z nią załatwiał cały interes, wypłacał jej co miesiąc pieniądze, rozporządzał zabezpieczeniem hipotecznym na jej dom i mógł ją wyrzucić na bruk, gdyby zaczęła podskakiwać... ten człowiek wiedział wszystko. On kosztował duże pieniądze. Ale to też nie miało wielkiego znaczenia, dopóki nie wiedział nikt inny. Tymczasem pewnego dnia wychodzi z więzienia facet zwany Myszką Malloyem i zaczyna się dowiadywać różnych rzeczy o swojej dawnej dziewczynce. Bo ten stary głupiec był w niej zakochany... i jest nadal. Tu dopiero zaczyna się zabawa, zabawa tragiczna. I mniej więcej w tym samym czasie zaczyna coś węszyć jakiś prywatny szpicel. Więc to słabe ogniwo w łańcuchu, Marriott, przestaje być luksusową

zabawką. Staje się groźbą. Wywęszą go i rozszarpiają. To tego rodzaju chłopak. Topi się na ogniu. Więc został zamordowany, zanim się stopił. Dostał wystarczającą dawkę świńskiej narkozy. Od ciebie.

Wyjęła rękę z torebki. Rękę z pistoletem. Wycelowała we mnie z uśmiechem. A ja poprzestałem na tym, że nie zrobiłem nic.

Ale to nie było wszystko. Ze schowka wyszedł Myszka Malloy ze swoim coltem 45, dziś wyglądającym jak zabawka w jego wielkiej włoskiej dłoni.

Na mnie ani nie spojrział. Patrzył na panią Lewin Lockridge Grayle. Pochylony był do przodu, jego usta uśmiechały się do niej i odezwał się miękko:

- Wydawało mi się, że poznaję ten głos - powiedział. - Słuchałem go osiem lat... o ile pamiętam. Lubilem twoje rude włosy. Cześć, laleczko. Dawno cię nie widziałem.

Skierowała pistolet na niego.

- Ty sukinsynu, odczep się ode mnie - rozkazała.

Zatrzymał się jak wryty i opuścił pistolet. Dzielilo go od niej jeszcze parę kroków. Oddychał ciężko.

- Anim nie pomyślał - powiedział cichym głosem. - Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. To ty wydałaś mnie glinom. Ty. Mała Velma.

Cisnąłem poduszką, ale spóźniłem się. Posłała mu pięć kuł w brzuch. Zrobiły nie więcej hałasu niż palce wsuwane w rękawiczkę.

Potem odwróciła się i strzeliła do mnie, ale już nie miała naboju. Rzuciła się na pistolet Malloya na podłodze. Udało mi się znowu trafić poduszką... przebiegłem na drugą stronę tapczanu i odtrąciłem ją, zanim zdążyła zrzucić poduszkę z twarzy. Podniosłem colta i wróciłem z nim za tapczan.

Malloy stał jeszcze, ale już się chwia. Dolna warga mu opadła i gmerał rękami po brzuchu. Opadł bezwładnie na kolana i bokiem zwałił się na tapczan, twarzą w dół. W pokoju rozległo się rżenie.

Chwyciłem słuchawkę, zanim zdążyła się poruszyć. Oczy miała matowoszare, jak na pół zamarznięta woda. Rzuciła się do drzwi i nie starałem się jej zatrzymać. Zostawiła drzwi otwarte na oścież, więc kiedy skończyłem rozmowę, poszedłem i zamknąłem je. Odwróciłem mu trochę głowę na tapczanie, żeby się nie udusił. Wciąż żył, ale z pięcioma kulami w brzuchu nawet taki Myszka Malloy nie pożyje długo.

Wróciłem do telefonu i zadzwoniłem do Randalla do domu.

- Malloy - powiedziałem. - U mnie w mieszkaniu. Dostał pięć strzałów w brzuch od pani Grayle. Dzwoniłem do dyżurującego szpitala. Pani Grayle uciekła.

- Więc musiałeś zagrać sprytnego - powiedział tylko i odłożył słuchawkę.

Wróciłem do tapczanu. Malloy klęczał teraz obok i próbował wstać. W jednym ręku ścisnął wielki kłęb pościeli, z twarzy lał mu się pot. Powieki drgały mu powoli, uszy miał prawie czarne.

Wciąż klęczał i próbował wstać, kiedy przyjechała pierwsza karetka. Trzeba było czterech mężczyzn, żeby go położyć na nosze.

- Ma pewną szansę... jeżeli to kaliber 25 - powiedział lekarz pogotowia tuż przed wyjściem. - Wszystko zależy od tego, gdzie trafiony. Ale ma szansę.

- On nie skorzysta z tej szansy - powiedziałem.

I nie skorzystał. Umarł w nocy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

- Powinieneś był zaprosić wszystkich na obiad - powiedziała Anna Riordan spoglądając na mnie przez szerokość swego jasnobrązowego dywanu. - Lśniące srebro i kryształy, biały, wykrochmalony obrus... jeżeli takich jeszcze używają w lokalach, w których się wydaje prozowane obiady... świece, panie w najlepszych klejnotach, panowie w białych krawatach, obsługa dyskretnie czuwająca z butelkami wina owiniętymi w serwety, gliny trochę niezręczne w wypożyczonych frakach, zresztą jak każdy w takiej sytuacji, podejrzani, sztucznie uśmiechnięci, z roztrzęsionymi rękami, a ty u szczytu stołu opowiadałbyś swoją historię po trochu, pomaleńku, z tym swoim czarującym uśmiechem i robionym angielskim akcentem jak Philo Vance.

- Taak. A nie dałabyś mi małego coś niecoś, żebym miał czym zająć rękę, kiedy ty będziesz się dalej mądrzyła?

Wyszła do kuchni, zadzwonił lód, wróciła z dwoma wysokimi kieliszkami i usiadła z powrotem.

- Twoje przyjaciółki muszą płacić całkiem słone rachunki za alkohol - powiedziała i umoczyła usta w kieliszku.

- I nagle zemdłał kamerdyner - ciągnąłem dalej. - Tylko że to nie on popełnił morderstwo. Zemdłał dla kawału.

Pociągnąłem łyk swojego drinka.

- Ta historia jest inna - powiedziałem. - To nic gładkiego i sprytnego. To historia tragiczna i krwawa.

- Więc uciekła?

Skinałem głową.

- Jak dotąd, nie złapali jej. Wcale nie wracała do domu. Musiała gdzieś mieć melinę, gdzie mogła się przebrać i ucharakteryzować. Ostatecznie przecież żyła w ciągłym niebezpieczeństwie, jak marynarze. Była sama, kiedy przyszła do mnie. Bez szofera. Przyjechała małym wozem i zostawiła go kilka przecznic dalej.

- Złapią ją... jeżeli naprawdę chcą.

- Nie bądź taka. Wilde, prokurator okręgowy, to uczciwy facet. Kiedyś dla niego pracowałem. Ale co dalej, jak ją złapią? Przeciwno sobie mają dwadzieścia milionów dolarów, piękną buzię i Lee Farrella albo Rennenkampa. Strasznie trudno będzie dowieść, że zabiła Marriotta. Mają tylko coś, co się wydaje dosyć uzasadnionym motywem, i mają jej przeszłość, jeżeli się do niej dogrzebią. Pewno nie była karana, inaczej w ten sposób by nie zagrała.

- A co z Malloyem? Gdybyś mi wcześniej o nim powiedział, od razu bym wiedziała, kto ona jest. Ale, ale, jak ty do tego doszedłeś? Na obu tych fotografiach jest inna kobieta.

- Tak. Nie przypuszczam nawet, żeby stara Florian wiedziała, że je zrobiono. Była jakby zdziwiona, kiedy jej podsunąłem pod nos zdjęcie Velmy... to, na którym było jej nazwisko. Ale może wiedziała. Mogła je właśnie po to schować, żeby mi je sprzedać później. Wiedząc, że to nieszkodliwe zdjęcie jakiejś innej dziewczyny, którą podsunął Marriott.

- To tylko domysły.

- Tak musiało być. Tak samo musiało być i z tym: Marriott zadzwonił do mnie i sprzedał mi tę bajeczkę o okupie za klejnoty, bo byłem u starej Florian i pytałem o Velmę. A kiedy zabito Marriotta, zabito go dlatego, że to on był tym słabym ogniwnem w łańcuchu. Pani Florian nawet nie wiedziała, że Velma została panią Lewin Lockridge Grayle. Nie mogła o tym wiedzieć. Za tanio ją kupili. Grayle mówi, że wyjechali do Europy wziąć ślub i że wyszła za niego pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Nie chce powiedzieć, gdzie się to odbyło ani kiedy. Nie chce powiedzieć, jakie jest jej prawdziwe nazwisko. Nie chce powiedzieć, gdzie ona jest. Nie przypuszczam, żeby wiedział, ale gliny w to nie wierzą.

- Dlaczego nie chce powiedzieć?

Anna oparła brodę na splecionych palcach i spojrzała na mnie spod ocienionych rzęsami powiek.

- Bo tak za nią szaleje, że mu obojętne, na czyich kolanach siadywała.

- Mam nadzieję, że się jej przyjemnie siedziało na twoich - powiedziała zjadliwie.

- Uwodziła mnie. Trochę się mnie bała. Nie chciała mnie zabijać, bo to kiepska sprawa zabijać kogoś, kto jest swojego rodzaju policjantem. Ale pewno na koniec by próbowała, tak samo jak zabiłaby Jessie Florian, gdyby jej w tym nie wyręczył Malloy.

- Założę się, że to miło być uwodzonym przez przystojne blondynki - wtrąciła Anna. - Nawet jeżeli trochę ryzykowne. A ryzykowne chyba jest zawsze.

Nic nie odpowiedziałem.

- Myślę, że nic jej nie mogą zrobić za zabicie Malloya, bo on miał pistolet.

- Nic. Nie przy jej stosunkach.

Oczy o złotych plamkach zlustrowały mnie poważnie.

- Myślisz, że chciała zabić Malloya?

- Bała się go - powiedziałem. - To ona go wydała osiem lat temu. Zdaje się, że wiedział o tym. Ale on by jej nie skrzywdził. On też był w niej zakochany. Owszem, myślę, że miała zamiar pozabijać wszystkich tych, których musiała zabić. Miała o co walczyć. Ale czegoś takiego nie można robić bez końca. I do mnie strzeliła w moim mieszkaniu... ale już nie miała naboju. Powinna mnie była zabić wtedy na wybrzeżu, kiedy zabiła Marriotta.

- On się w niej kochał - powiedziała Anna miękko. - Mówię o Malloyu. Nie przeszkadzało mu, że przez osiem lat do niego ani nie napisała, ani go nawet nie odwiedziła, kiedy siedział w więzieniu. Nie przeszkadzało mu, że go wydała za nagrodę. Pierwsza rzecz, kiedy wyszedł na wolność, kupił sobie szykowne ubranie i zaczął się rozglądać za nią. Więc na przywitanie wsadziła w niego pięć kulek. On sam zabił dwoje ludzi, ale on się w niej kochał. Co za świat.

Dopiłem swojego drinka i przybrałem spragniony wyraz twarzy od nowa. Anna zignorowała go. Mówiła dalej:

- I Grayle'owi musiała powiedzieć, skąd się wzięła, i jemu to nie przeszkadzało. Wyjechał i ożenił się z nią pod innym nazwiskiem, i sprzedał swoją stację radiową, żeby zerwać z ludźmi, którzy mogli ją znać, i dał jej wszystko, co można dostać za pieniądze... a ona co mu dała?

- To trudno powiedzieć. - Potrząsnąłem lodem na dnie kieliszka. I to mi nic nie dało. - Przypuszczam, że dała mu swego rodzaju zadowolenie, że on, dosyć stary mężczyzna, może mieć młodą, piękną i olśniewającą żonę. Kochał ją. Ale po licho o tym gadamy? Takie rzeczy wciąż się zdarzają. Nie sprawiało mu różnicy, co robiła czy z kim się zabawiała, czy czym kiedyś była. Kochał ją.

- Jak Myszka Malloy - powiedziała cichym głosem Anna.

- Wybierzmy się na przejażdżkę nad wodę.

- Nie powiedziałaś mi o tym Brunecie i o wizytówkach w ustnikach tych papierosów z marihuaną ani o Amthorze, ani o doktorze Sonderborgu, ani o tym nikłym śladzie, który cię naprowadził na drogę do wspianego rozwiązania.

- Zostawiłem u pani Florian jedną ze swoich wizytówek. Postawiła na niej mokry kieliszek. Taką wizytówkę znaleźli w kieszeni u Marriotta, ze śladem mokrego kieliszka, i w ogóle. A Marriott nie był nieporządny. To już stanowiło jakąś poszlakę. Kiedy, się znalazła jedna rzecz podejrzana, nietrudno było się doszukać dalszych powiązań, takich na przykład, że to Marriott rozporządzał zabezpieczeniem hipotecznym na dom pani Florian, żeby jej pilnować. Co do Amthora, okazało się, że to znany ptaszek. Nakryli go w jednym z nowojorskich hoteli, podobno to przestępca międzynarodowy. Jego odciski palców ma Scotland Yard, a także Paryż. Jak, u licha, zdążyli to wszystko pozbierać od wczoraj czy też od przedwczoraj, nie wiem. Szybko działają, jak im się chce. Myślę, że Randall musiał mieć to napięte już od dawna i bał się, że go wyprzedzę. Ale Amthor wcale nie był zamieszany w zabójstwo. Co do Sonderborga, to jeszcze go nie znaleźli. Myślą, że też jest karany, ale nie mają pewności, muszą go przedtem złapać. A ten Brunette... takiemu nic się nie da przypiąć. Mogą go wezwać przed Sąd Najwyższy, a on odmówi wszelkich zeznań, powołując się na Konstytucję. Nie musi sobie zawracać głowy opinią. Ale w Bay City porządnie się zakotłowało. Szef policji wyleciał, połowę inspektorów przeniesiono do służby patrolowej, a pewien miły chłopak, Czerwony Norgaard, który pomógł mi się dostać na Montecito, odzyskał pracę. Wszystko to robi burmistrz, co godzina zmieniając portki, dopóki trwa kryzys.

- Bez takich wstawek nie możesz się obejść?

- Pazur szekspirowski. Przejedźmy się. A najpierw się jeszcze napijmy.

- Możesz wypić mój kieliszek - powiedziała Anna.

Wstała i przyniosła mi swojego nie napoczętego drinka. Stała przede mną z szeroko otwartymi oczami i trochę przestraszona.

- Jesteś taki wspianły. Taki dzielny i zdecydowany, i tak niewiele za to dostajesz. Walą cię pończochą, duszą cię, miażdżą ci szczękę i pompują w ciebie morfinę, a ty

tylko kiwasz łączników na boisku i strzelasz bramkę, kiedy oni mają już dosyć. Jak to się dzieje, że jesteś taki cudowny?

- Śmiało - warknąłem. - Do rzeczy.

- Niech to licha - powiedziała z zadumą Anna. - Mógłbyś mnie pocałować.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Poszukiwanie Velmy zajęło z górą trzy miesiące. Nie chcieli uwierzyć, że Grayle nie wie, gdzie ona jest, i że nie pomagał jej w ucieczce. Toteż każdy glina i wszyscy reporterzy od sensacji węszyli tylko tam, gdzie się można ukryć za pieniądze. A tymczasem ona swojej kryjówki nie zawdzięczała pieniądzom. I sposób, w jaki się ukryła, okazał się bardzo prosty, kiedy już ją znaleziono.

Któregoś dnia wieczorem pewien detektyw z Baltimore zaszedł do jednego z nocnych lokali, gdzie posłuchał orkiestry i popatrzył na przystojną, czarnowłosą i czarnobrewą szansonistkę, która wkładała w swoje piosenki całe serce. Oko miał bystre jak obiektyw, co jest równą rzadkością jak różowa zebra. Tknęło go coś w jej twarzy i tknięta struna nie przestała wibrować.

Wrócił na komendę, wydobył listę poszukiwanych i wziął się do przerzucania kartoteki. Kiedy doszedł do tego, czego szukał, przyglądał się dłuższą chwilę. Potem poprawił słomkowy kapelusz na głowie, wrócił do tego lokalu i złapał dyrektora. Udali się do garderób i dyrektor zapukał do jakichś drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Detektyw odsunął dyrektora na bok, wszedł do środka i zamknął drzwi.

Musiał wywęszyć marihuanę, bo właśnie paliła, ale wtedy nie zwrócił na to uwagi. Siedziała przed potrójnym lustrem i oglądała odrosty na włosach i brwiach. Były to jej własne brwi. Detektyw uśmiechnięty przeszedł przez garderobę i wręczył jej rysopis.

Oglądanie rysopisu na pewno zajęło jej prawie tyle samo czasu, ile zajęło jemu na komendzie. Można było mnóstwo rzeczy przemyśleć, kiedy ona była zajęta patrzeniem na rysopis. Detektyw usiadł, założył nogę na nogę i zapalił papierosa. Miał dobre oko, ale przechytrzył sprawę. Za mało znał kobiety.

Na koniec ona pośmiała się trochę i powiada:

- Spryciarz z ciebie, gliniarzu. Myślałam, że mam głos, którego się nie zapomina. Kiedyś rozpoznał mnie po nim jeden znajomy, słysząc go po prostu w radio. Ale śpiewam już z tą orkiestrą od miesiąca... według programu dwa razy na tydzień... i nikogo nawet nie tknęło.

- Głosu nawet nie słyszałem - powiada tamten, i dalej się uśmiecha.

- Przypuszczam, że możemy ubić pewien interes - ona na to. - Wiesz przecież, że to może przynieść kupę forsy, jak się człowiek zabierze do sprawy, jak należy.

- To nie ze mną - powiada detektyw. - Przykro mi.

- No, to chodźmy - odpowiedziała, wstała, wzięła torebkę i płaszcz z wieszaka. Podeszła do niego z tym płaszczem, żeby jej pomógł włożyć. A on wstał i podał jej płaszcz, jak przystało na dżentelmena.

Wtedy wykręciła się, wyciągnęła pistolet z torebki i strzeliła do niego trzy razy, przez ten płaszcz, który jej podawał.

Kiedy wyważyli drzwi, miała jeszcze dwa naboje. Byli już w połowie drogi, zanim ich użyła. Użyła ich obydwo, choć ten drugi strzał musiał być już sprawą czystego odruchu. Schwycili ją, zanim upadła, ale głowa zwisała jej już bezwładnie.

- Ten szpicel dożył następnego dnia - powiedział Randall opowiadając mi całą historię. - Mówił, kiedy mógł. Stąd się wszystkiego dowiedzieliśmy. Nie mogę pojąć, jak mógł być taki nieostrożny, chyba że rzeczywiście miał zamiar dać się namówić na ubicie jakiegoś interesu. To mu mogło zaćmić rozum. Ale oczywiście wolałbym tak nie myśleć.

Powiedziałem, że przypuszczam, że tak to było.

- Strzeliła sobie prosto w serce... dwa razy - mówił Randall. - A słyszałem, jak eksperci w sądzie przysięgali, że to niemożliwe, choć przez cały czas wiedziałem, że może się tak zdarzyć. I wiesz co?

- Co?

- Głupia była, żeby go zabijać. Nigdy byśmy jej nie dowiedli winy przy jej urodzie i pieniądzech, i przy tym, co by wymyślili ci adwokaci za grubą forszę. Mała dziewczynka z knajpy dopina małżeństwa z bogaczem, a te sępy, które ją dawniej znały, nie dają jej spokoju. Coś w tym stylu. Cholera, taki Rennenkamp ściągnąłby do sądu cały pułk starych szmat, dawnych chórzystek, które by łkając wyznały, że szantażowały ją od lat, i zrobiłby to tak, żenić byś im nie mógł dowieść, a przysięgli daliby się nabrać. Sprytnie to urządziła, ukrywając się o własnych siłach i nie wplątując w to Grayle'a, ale sprytniej byłoby wrócić do domu, kiedy ją nakryli.

- O, dałeś się wreszcie przekonać, że nie wplątywała w to Grayle'a? - zapytałem. Przytaknął skinieniem głowy. Zapytałem:

- Myślisz, że miała jakiś specjalny powód?

Wlepił we mnie oczy.

- Przyjmę go, cokolwiek to będzie.

- Była morderczynią - powiedziałem. - Ale mordercą również był Malloy. I on wcale nie był skończonym łotrem. Może ten detektyw z Baltimore wcale nie był takim świętoszkiem, jak mówi raport. Może ujrzała jakąś szansę... nie ucieczki, już wtedy była zmęczona tym kluczeniem, ale szansę dla tego jedyne go mężczyzny, który kiedyś rzeczywiście jej dał szansę.

Randall gapił się na mnie z otwartymi ustami i brakiem przekonania w oczach.

- No, nie musiała w tym celu zabijać policjanta - powiedział.

- Nie twierdę, że to była święta czy choćby trochę porządna dziewczyna. Wcale nie. Nie zabiłaby się, gdyby jej nie przycisnął do muru. Ale dzięki temu, co zrobiła i jak to zrobiła, nie musiała tu wracać na rozprawę. Pomyśl o tym. A kogo by ta rozprawa najbardziej dotknęła? Dla kogo byłaby najcięższa do zniesienia? I niezależnie od tego, czyby wygrał, przegrał czy odwlekl, kto by za to przedstawienie zapłacił najwyższą cenę? Stary człowiek, który nie kochał mądrze, ale bardzo mocno.

- To tylko sentymentalizm - stwierdził ostro Randall.

- Jasne. Tak to zabrzmiało w moich ustach. Pewno zresztą myślę się w tym wszystkim. To do zobaczenia. Czy mój różowy żuczek tu wrócił?

Nie rozumiał, o czym mówię.

Zjechałem windą na parter i wyszedłem schodami ratusza. Dzień był chłodny i bardzo pogodny. Wzrok sięgał daleko... ale nie tak daleko, jak daleko odeszła Velma.